

Hej, słodziaki! Wielka sprawa!

Po milionie wersji ostatecznych (wiliaaaaa123\_wersost4) mogę już to zrobić: wrzucam wam połówkę książki. To 'maszynopis' (czyli robocze), a może nie powinnam używać cudzysłowu, bo 1) pisałam na Julianie 2) bez autokorekty. Format PDF jedynie, ale litery duże, więc dacie radę :) Kto chce pozostałe strony, niech do mnie pisze.

**GATUNEK: young adults light fantasy** (bardziej dla bab niż dla ludzi ale się nie zrażajcie). Jeśli nie jesteś w grupie docelowej, to się nie zdziw, że się nie spodoba ;)

Krzyczące błędy, brykające przecinki i rozbiegana składnia niech was nie zdziwią. To niehumanitarne, trzymać je w klatce (później jest znacznie lepiej, nie sugerujcie się tą stroną)

Co mam zrobić z całością, to jeszcze zobaczę. Czy szukać wydawcy, czy robić to samej, bo finansowo wychodzi na to samo, ale wiecie, w dobie selfpublishingu to mało cool samemu wydać i to forma życiowego przegrywu.

Uprzedzam, że nie mam ani >15 ani +40 lat żeby mieć ambicje na Wielką Literaturę, a motto mego życia to 'ma być łatwo'. Liczę, że będzie się czytać gładko :) (Nie wiem czemu obie grupy wiekowe mają ze sobą tyle wspólnego, ale coś jest na rzeczy :P)

## JESZCZE RAZ

### CZEŚĆ 1

Postawmy sprawę jasno: “zdrowia” to mi życzyć nie trzeba.

Dobre zdrowie – fajna sprawa, mogłoby się wydawać. Nigdy nie choruję, kości się szybko zrastają, a po ranach nie pozostają blizny. Ale „supermoce” nie są „super” pod każdym względem i posiadają tyle wad, co i zalet.

Nikomu nie jest mnie żal. Troska w głosie na mój widok?

Yhm–yhm.

Nigdy.

Nie boję się chorób. Nie łapię żadnej. Pasożyty, bakterie, wirusy – to wszystko szybciotko znika z mojego ciała, zniszczone przez super – skuteczny układ immunologiczny. Zwykle traktuję swoją siłę jak fatum („*weź sprawdź, czy ten pręt jest wciąż gorący, nic ci się przecież nie stanie*”), ale pod wieloma względami wygodnie jest być takim „superbohaterem”, który zamiast rzucać kulami ognia albo przenosić góry, po prostu jest w stanie przeżyć i nie bolą go zęby.

Telepata, co umiera w wieku kilkunastu lat od zapalenia wyrostka robaczkowego, władca piorunów, który chudnie od tasiemczycy, zmiennokształtny, który ma łuszczycę, płanetnik z zapaleniem płuc. Nie no, nawet mam fajną moc, tylko jest taka mało romantyczna. Z pewnością lepsza niż gubienie skarpetek.

Czy gdybym była niezwykła w inny sposób – *lepszy sposób* – władając pogodą, czytając w myślach albo latając – nie byłoby to również przekleństwem? Bo te *poważne* niezwykłe cechy budziłyby prawdziwy lęk, a jeśli nie lęk, to ogromnie dystansujący podziw. Byłabym jeszcze bardziej samotna.

Bywam czasem samotna również dlatego, że ludzi mi podobnych po prostu nie ma. Nie mogę więc przyjść na herbatkę do kogoś, kto przenika przez ściany. Chodzić na spacer z kimś, kto kontroluje zwierzęta. Pożalić się koleżance szybkiej jak wiatr i jej kumplowi, co się teleportuje.

Wystarczy, by dziecko było rude, by go inne dzieciaki wytykały palcami. A co ja mam powiedzieć? Niepokojąca zdrowa, rudawa i z piegami na nosie.

To już do końca mam przechłapane.

No bo to w końcu piegi.

\*\*\*

Osiem lat temu. Budzę się w tamtym parku, w królewskich lasach. Jestem naga, nie wiem ile mam lat, przez mgłę pamiętam swoje imię, nie wiem skąd się wzięłam. Nie znam języka, nie rozumiem głosów. Znaleziona przez nudzącego się księcia staje się swego rodzaju ciekawostką, rozrywką młodszego rodzeństwa w tamtych dniach. Martwią się o mnie, gdy patrzę dużymi oczami próbując cokolwiek zrozumieć z tego, co mówią. Nigdy by się nie martwili, gdybym była brzydka. Dobrej wtedy nie ma, to znaczy jest, ale pojechała nad wybrzeże ze swoją piastunką i jedną ze starszych sióstr. Rodzeństwo znajduje mi kogoś do pomocy z językiem. Cieszę się jak dziecko, gdy zaczynam rozpoznawać słowa i mogę sama nazywać przedmioty i czynności. Nauka idzie szybko. Wraca Dobra, moja rówieśniczka, przy niej zupełnie się rozgaduję. Po pół roku bardzo sprawnie się komunikuję ze wzorowym akcentem – w końcu innego akcentu nigdy nie poznałam, po roku przestaję robić błędy gramatyczne, po dwóch znam więcej słów niż przeciętny

człowiek w Pałacu. Czytać i pisać bardzo szybko nauczyłam się sama. Nie wiem czemu poszło tak łatwo. Po prostu poszło. Samo z siebie.

– Wilka, uważaj! – odwracam się i niestety dostaję piłką w twarz. Przewracam się. Łzy napływają mi do oczu.

– Wszystko w porządku? – pyta się Dobromił. – Chyba już czas, byście, moje drogie panie, przestały się w to bawić.

Pocieram policzek. Dobra otacza mnie ramieniem.

– Zaraz przestanie boleć, chodź, pójdziemy zagrać w lotki.

Dobra ma dwanaście lat. Tylko dlatego nie planowano jej zamążpójścia, bo chwilowo skończyły się odpowiednie partie do parowania. Miała pewnie jeszcze ze sześć lat do zyskania miana starej panny. Na razie ją utrzymywano bez pośpiechu, a nuż się przyda do awaryjnego umocnienia dobrych relacji z jakimś rodem. Mogłyśmy spędzać dużo czasu razem.

Skaczemy po łóżku. Przypadkiem z niego spadam.

– W porządku?! – słyszę.

– Nie wiem... – odpowiadam, kostka straszliwie boli. Ale po pół godziny opuchlizna schodzi. Jest już dobrze.

Zacinam się nożem.

– Prawie sobie odcięłaś palucha... Masz chusteczkę. Przyłóż sobie. Ale ci krew leci... Musisz uważać...

Po kwadransie nie ma śladu, nawet nie widać miejsca, gdzie się skaleczyłam. Dobrze wiem, że powinno być. Chusteczkę trzymam wokół palca znacznie dłużej, niż potrzeba.

Najpierw się tego wstydzę. A potem boję. Dwórki między sobą rozmawiają o chłopakach i mężczyznach, o tym, za kogo chciałyby wyjść.

– Kochana, ty jesteś taka piękna! Każdy by chciał ciebie mieć! – mówi jedna, niewiele starsza ode mnie.

– Będiesz mieć takie śliczne dzieci! – dodaje kolejna.

– Czemu? – pytam się tępo.

– Jak żona ładna, to i córka ładna i syn przystojny... – wypominają mi, jakbym była głupia. Serce mi bije mocniej. Jak żona magicznie zdrowieje, to i córka i syn, kołacze się mi w tyle głowy.

– Myślicie, że mogliby mnie dać Dobromiłowi? – pytam z oczekiwaniem, że może jest szansa! Dobry, mój wybawicielu, jakbym mogła, to bym sobie powiesiła twój obraz na ścianie!

– Gdzie tam... – pierwsza ucina moje rozmyślenia. –  
Dwórkę księciowi? Głupiaś?

To mniej więcej ten moment, kiedy rozumiem, że „ona magicznie zdrowieje, to i córka i syn” nie jest niczym dobrym. Nikt mnie za to nie pokocha. Będę jak maciora.

*”Zobaczmy, ile urodzi dzieci i jak zdrowe będą!”* – chce mi się płakać, gdy wyobrażam sobie te słowa. – *„Dobromił, twoja żona będzie musiała pod groźbą śmierci zaakceptować podmienionego syna. Lepszy, zdrowszy. Wojownik z niego będzie.”* Jestem superbohaterem, który nigdy nie będzie ludziom potrzebny, ale świat zawsze będzie go porządał.

Któregoś dnia Prawowida przynoszą ciężko rannego. Jest poturbowany przez wielkiego odyńca. Wszyscy są całym sercem zatroskani. Król odwiedza go często, po raz pierwszy mam okazję dłużej mu się przyjrzeć. Jest wyniszczony. Zmęczony. Stary. Ale głównie patrzę na Prawego. Dojrzały, umięśniony mężczyzna, a jego obrażenia potrzebują tak długiego czasu, by zniknąć...

Dobra zabiera mnie na jazdę konną. Drugi już raz. Nie chcę ponownie wsiadać na tego zwierzaka, konie wydają mi się strasznie duże i nieprzewidywalne. Jak na moje potwierdzenie, jeden z nich się płoszy, ucieka do stajni, w

której korytarzu stoję ja. Koń mnie przewraca i zdeptuje. Ktoś zostawił, ostatni dureń, miecz oparty o ścianę. Zarysowuje mi policzek.

„*Biedna Wilka! Chodź, opatrzymy ci to!*” – tego nie mogę usłyszeć, bo się wyda. Zakrywam twarz, krzyczę do Dobrej jeżdżącej po manezu, że idę przejść się po okolicy i pokarmić królewskie wierzchowce. Zaszywam się przed ludźmi tak długo, aż palcami wyczuwam, że na policzku już nic nie ma. Słyszę krzyki, kilka osób mnie szuka.

– Gdzieś ty była?!

– Przysnęłam.

Przychodzi wilgotna jesień i wszyscy wokół pociągają nosami i kaszlą. Ja nie. Niektórzy lądują w szpitalu, nadworni lekarze biegają od komnaty do komnaty, a najważniejsi ludzie, łącznie z królewskim rodzeństwem zostają wysłani na wieś, by się nie zarazić.

Zostaję w Pałacu.

– I jak się dziś czujesz, kochana? – mówi troskliwie piastunka Dobrej, której, tak jak mi, nie pozwolono wyjechać. Sama kaszle.

– Fatalnie...



– Biedactwo. Napij się – wręcza mi kubek ze śmierdzącymi ziołami. Potulnie piję. Piastunka wychodzi.

Tak naprawdę czuję się doskonale. Pod łóżkiem trzymam cebulę. Wkładam ją sobie do nosa, pocieram śluzówkę, lecą mi łzy i nos się na chwilę zatyka. Uderzam się po twarzy z całych sił, by wywołać zaczerwienienie, które może utrzyma się choć dwie minuty, na czas odwiedzin piastunki czy lekarza. By wyglądać nędzniej nacieram sobie włosy jakimś tłuszczem z jedzenia, które mi przynieśli. Jestem przerażona, że się wyda, że nie jestem normalna.

Potem jeszcze kilka razy symuluję choroby i dochodzę w tym do perfekcji. Gdy nadchodzi fala ospy, przypalam sobie skórę, mówię, że rozdrapałam sobie wypryski. Ryczę w poduszkę jak bóbr. Dobrej mówię, że przyśnił mi się koszmar.

– Dziwne. – Prawie czternastoletnia Dobra również jest chora, przykładą dłoń do mojego czoła. – Nie masz gorączki. Ja to takie złe sny mam, gdy mam gorączkę...

Wkrótce kończę piętnaście lat. Pojawia się chłopak. Nie jest źle urodzony, ale też nie za wysoko, więc schadzanie się z nim – gdyby zostało odkryte – byłoby akceptowalne, a ja nie dostałabym łatki puszczalskiej pałacowej dziwki. Odmawiam „legnięcia razem”, padają ostre słowa, jest trochę

kotłowaniny. Uciekam upokorzona. Granitowe schody są wyślizgane tysiącami kroków. Gdy ląduję na dole, ręka jest już złamana. Puchnie wyraźnie, muszę sobie podwiązać chustą. Nie udaje mi się ukryć przed innymi dwórkami i Dobrą. Czuję ból prowadzący prawie do omdlenia – kości zrastają mi się tu i teraz, tu i teraz próbują się ze sobą złączyć, dopasować. Uczucie szybkiego zrastania jest dokładnie takie samo, jak uczucie łamania, tylko trwa nie sekundę, a kilkadziesiąt godzin.

– O nie, złamałaś ją sobie! I to jak okropnie! A lekarz dopiero za dwa dni...

Ich zatroskanie mnie nie pociesza. Wyjdzie na jaw, jak szybko się wyleczyłam. Zmuszam się do ponownego złamania sobie ręki. Nikt się o tym nie dowiaduje, więc i nikt mnie z tego powodu pociesza. Po wizycie lekarza ręka jest usztywniona.

– Pani Młyn! – śmieją się koleżanki z drewnianego stelażu wokół mojej ręki. – A widzisz? Nastawianie wcale tak bardzo nie bolało!

Nocą wymykam się do komnaty w suterenie, którą wywalczyła dla mnie Dobra. Powiedziała wszystkim, że chciałabym się nauczyć lepiej gotować i sobie tam

poeksperymentować kulinarnie. Za dnia gotowałam, nocą jak zahipnotyzowana odkrywałam dziwne zachowania różnych substancji. Wlałam dwie z nich do jednej czarki. Buchnęło, ostry zapach wżerał mi się w śluzówkę. Odskokczyłam do tyłu, prawie coś zbiłam, ale mimo koszmarnego bólu rozrywającego oczy w ciszy skupiłam się na ratowaniu szkielec ceramicznych naczyń. Kwas wylał mi się na twarz i dłonie. Zagryzłam zęby i nie pozwoliłam na żadne stłuczenie, żaden hałas. Nie chciałam, by ktokolwiek się dowiedział o tym co robię i o tym, co mi się stało.

Znikam na cały dzień, by nikt nie zauważył.

– Słoneczko? A co ty kochana taka wymęczona? Czytałaś od wczoraj do rana?

Mam przekrwione oczy jak wampir i poniszczoną skórę, która desperacko próbuje się naprawić.

– Nie mogłam zasnąć. Od słońca chyba. Spaliłam się wczoraj...

– Ze swoją cerą musisz uważać. Przecież ci mówiłam.

\*\*\*

Pierwszy dzień w Puszczy z moją Grupą. Wtedy było nas znacznie więcej.

Bale, przyjęcia, Królestwo, przyjaźń z Dobrą – to wszystko jest już przeszłością. Po czterech latach życia w Pałacu zostałam zmuszona do przebycia drogi, której przebycia nie miałam prawa przeżyć.

– Przeszłaś sama?! – Lidia jest zszokowana. – Przez pół Pustki?! I żyjesz?

– Żyję...

– Twarda jesteś. Ja bym choćby tygodnia sama nie wytrzymała... Zemdlałabym od gorąca i się już nie podniosła.

Śmiga strzała. To będzie z trzeci tydzień naszej znajomości. Zrywamy się do biegu. Jestem boso, nie mam siły biec dostatecznie szybko ani zwinnie, uskakuje mi kostka, zdzieram sobie łokieć i udo na korze zwałonego dębu. Marek mnie łapie pod bark i razem uciekamy.

– Nikomu nic się nie stało?! – krzyczy Daniel. – Wszyscy cali?

– Tak! – odkrzykuje kilka głosów.

– Nowa sobie kostkę zwichnęła! – mówi Marek. – Boli cię?

– Nie – kłamię, ale do oczu napływają mi łzy. –  
Rozmasuję sobie i przejdzie.

Chłopak poświęca mi dużo uwagi. Przez ostatnie dni co i raz daje mi powód do nabierania rumieńców. Troszczy się bardzo, oddaje swój koc, cały czas rozmawia, tłumaczy różne rzeczy związane z nowym miejscem, w którym przypadło mi żyć, poświęca dużo uwagi. Niestety teraz troska nie jest tym, czego potrzebuję.

– Ojej! Ale sobie zdarłaś skórę... I na udzie również...  
Musimy jak najszybciej to przemyć.

Nie udaje mi się już tego ukryć. Serce wali mi młotem, jak szalone. Nim dochodzimy do strumienia, strupki już tylko odpadają. Patrzą się na mnie zdziwieni. Na razie tylko trochę zaniepokojeni.

– Nowa! – krzyk Daniela tydzień później. – Spierdalaj w tej chwili!

Mam w pamięci to, co z Prawowidem zrobił dzik. Jestem wątła, rachityczna, mizerna. Nie zdążam wskoczyć na drzewo, nie jestem w stanie podnieść się na gałęzi. Nigdy nie musiałam.

– Zabijcie go! – krzyczę rozpaczliwie, gdy wielkie zwierzę bierze mnie w szable. Jak się czuję? Dokładnie tak jak

ten, kto właśnie zostaje ciężko poturbowany przez wściekłą  
świnie. Czyli jak mantrę w głowie powtarzam: *niech to się  
skończy, niech odpłynę, niech zemdleję, niech to się skończy...*  
Tracę przytomność i z bólu i z przerażenia.

Gdy się budzę, mają grobowe miny i siedzą wymęczeni  
przy palenisku i rozłożonym zwierzęciu. Po nim poznaję, że  
nie minęło dużo czasu. „*Jak się czujesz?*” już nie pada. Coraz  
częściej słyszę za to: *weź się w garść, zaraz ci minie. Mi jest  
gorzej. Ale ty masz szczęście. Obrywasz, twoja wina, bo nie  
ćwiczysz. Nie, trzy godziny treningu to nie jest dużo. Zrób to  
za nas, jak się poranisz, to i tak nic się nie stanie. Bez  
przesady, jutro nie będzie śladu. Połamiałaś się? Ojej. Ale  
wieczorem będziesz mogła przyjść na spotkanie? Uderzyłaś się  
przypadkiem w tartaku? E–*

\*\*\*

Cztery gorące lata upłynęły od czasu, kiedy w ciągu  
jednej chwili z bogatego i wygodnego Pałacu zostałam  
wyrzucona w podróż przez górzystą pustynię, by zostać  
opuszczoną i ledwo doczołgać się do Puszczy, czyli wielkich  
drzewiastych przestrzeni za Pustką.

Ile ja się napłakałam... Całe życie skreślone.

– Przygoda... – mówiłabym do siebie idąc przez pustynię, ale miałam gardło zbyt wychnięte. – Podróże... Nie o to mi chodziło.

Przygoda i podróże. Infantylnie marzenia nastolatki a prawdziwy świat to dwie różne rzeczy.

Nie byłam fanką dworskiego życia, ale skłamałabym mówiąc, że nie przywykłam do luksusów. Przywykłam do nich! Kto by nie przywykł! To było jedyne życie, jakie poznałam. Łatwo jest się rozleniwzić, skoro się nie poznało twardego życia.

W Pałacu miałam tyle pragnień. W moich fantazjach wykorzystywałam wiedzę, moje przeczucia i umiejętności, by budować naukę i pomagać ludziom. Marzyłam też o beztroskich chwilach, podczas których oddawałbym się przejażdżkom i polowaniom na króliki i kuropatwy. Chciałam poznawać inne kultury. To tyle w fantazjach podlotka. W rzeczywistości dni w Pałacu dłużyły się, mijały jeden po drugim, łuk dwórcy nie przystoił, za to w końcu przyszła era, gdy musiałam się nauczyć tkać na krośnie i śpiewać. Rzeczywistość rozprawiła się również z moją chęcią pomocy

ludziom: to właśnie za ciekawość i próbę rozwoju nauki wyrzucili mnie z Królestwa.

Przeżyłam Pustkę – czyli tę kamienną górzystą pustynię – i dotarłam do krainy, którą pokochałam. Mogłoby się wydawać, że skoro jestem już wolna, mogę zacząć podróżować (bez zdychania z odwodnienia) i odkrywać co nowsze krainy, a na pewno bardziej eksplorować tę, w której już jestem. Próbować odkryć, co takiego znajduje się za Puszcza.

To nie tak. Czy w Królestwie, czy w Puszczy, dzień upływa za dniem. Trzeba się ogrzać i ochłodzić, trzeba się napić, trzeba coś zjeść, znów ogrzać albo ochłodzić. Trzeba przeżyć do następnego dnia. Chciałoby się mieć domek, mieć przyjaciół, mieć ogródek, biały płótek, kwiatki, stadko gęsi... Tak umierają marzenia o podróżach i nauce. Szuka się ludzi, bo ile można podróżować samotnie jedynie ze zwierzakiem wlekącym się kilkaset metrów za plecami?

\*\*\*

\*\*\*

\*\*\*



Dużo się zmieniło w naszej osadzie w ciągu ostatnich miesięcy. Skończyliśmy budowę zimowych zabudowań. Pięciu krytych ujęć wodnych, by choć część rodzin nie musiała wychylać nosa z domu w trakcie zimy.

Ocieplanie *wszystkich* budynków, w których mają mieszkać ludzie.

Do tego część najśłabszych domów obudowaliśmy drewnianymi wiatami. To znaczy dodaliśmy spadzisty dach i ściany. Pod tymi wiatami skrywane jest siano, a w części będą przebywać zwierzęta. Liczymy, że zapobiegnie to przymarzaniu ludzi do ścian w trakcie snu. Podstawowe ocieplenie dodatkowe to po prostu drewno na opał układany pod dachem przy ścianach. W zeszłym roku niektórzy musieli odsuwać łóżka, a część mieszkańców wszystkie ławy zsuwała do środka albo pod piec.

Budynków mamy łącznie ze trzysta dwadzieścia. Każdy z nich dostał numerkę, co zdecydowanie ułatwia liczenie i rozdzielanie zadań. Przy trzech tysiącach ludzi (ilu ich jest, tego już nie wiem. Trzeba będzie ich spisać wreszcie) to daje średnio jakieś dziesięć osób w jednym budynku, czasem są to dwie, czasem dwadzieścia. (Muszę zauważyć, że obecność numerków wymagała nauki pisania i czytania, większość

naszych ludzi coraz lepiej sobie z tym radzi). Domów co roku musi powstać kilkadziesiąt (!), więc to nie jest prosta rzecz.

Co tam jeszcze... o, mamy nowe sauny. Kolejne ziemianki. I ziemniaki. Zdecydowanie ułatwią przeżycie zimy.

Mamy sławojki całkiem nieźle rozmieszczone i kilka już wcielonych w życie pomysłów jak zrobić, by zimą bez problemu do nich dojść i nie wrócić z zapaleniem pęcherza. Stoczyłam olbrzymią batalię w sprawie defekacji. Nie żartuję. To poważna sprawa. Zaczęłam od absolutnego zakazu robienia na terenie osady kupy gdzie popadnie. Nie wolno też sikać to tu, to tam, choć z tym to mniejsza presja jest, bo siki w lesie szybko się ulatniają. Latryny nie mogą powstawać koło strumieni i ujęć wodnych i budynków, więc zanim ktoś się zajmie za ich samowolną budowę, ma poprosić o zatwierdzenie. Po skorzystaniu należy umyć ręce. Mimo tego, że mamy bardzo dobre mydła, poległam na całej linii. Tłumaczyłam o co chodzi z tymi całymimi pasożytami i bakteriami i doszłam do wniosku, że łatwiej będzie udoskonalić tworzenie alkoholu na większy procent. Od tego czasu zdecydowanie mniej osób się drapie i rzadziej rzygają.

Z tymi latrynami to naprawdę skomplikowana sprawa. Na przykład wypadałoby, aby na piętnaście osób przypadała

jedna. Absolutnie nie do wykonania. Zaczęliśmy więc robić takie złożone: jedna dziura, cztery stanowiska. Oczywiście żadnych siedzeń. Dzieciaki są zaprężnięte do zbierania chrustu, ściółki, trocin. Nie ma problemu z namawianiem ich do tego, biorą sobie wóz, kucyki i mają pozwolenie do grupowego zwiania na cały dzień.

Rany, jakie to było ciężkie do wywalczenia. Były bunty, wyśmiewanie, odwracanie się na pięcie. Ale wszystko zaczęło działać i smród mniejszy i pasożytów mniej i ludzie się przekonali. Przy takiej ilości mieszkańców higiena to podstawa.

Przymierzam się w marzeniach do lodowni, ale jakoś nigdy nie ma na to czasu. Pracy jest koszmarnie dużo, wraz z każdym przybyłym człowiekiem coraz więcej, bo przecież nowy mieszkaniec to konieczność wygospodarowania miejsca do spania, materaca, naczyń, ubrań... Poznanie tego człowieka, znalezienie odpowiedniej funkcji, wprowadzenie w rytm. Na szczęście praca dodatkowych ludzi daje więcej zysków niż strat, więc chętnie przyjmujemy nowych. Poza tym, w kupie siła, a w pracy potęga!

Kiedyś przy ognisku wybuchła wielka dyskusja. Kłótnia właściwie. Siedziało z pięćdziesiąt osób, jak nie więcej.

– Kobiety są lepsze! – kiedy padło to hasło z ust Jani, zmartwiłam się, czy się krew nie poleje. To nie wyglądało na zapowiedź merytorycznej debaty. – Nie widzicie, jakie prace wykonujemy, bo są podstawowe! Najważniejsze!

No pięknie. Już było jasne, że mimo zmęczenia muszę przy tym ognisku zostać i kontrolować sytuację. By nie mieć kilkudziesięciu trupów.

Dla Grupy sprawa oczywista – nie ma lepszych, czy gorszych. Ale temat jest w naszej osadzie trudny. Kobiet mamy bardzo mało, bo z obozów na Pustce łatwiej ucieka się na obrzeżach, a na obrzeżach siedzą głównie mężczyźni. Proporcje są boleśnie niewyrównane. Tym bardziej dziewczyny czują, że są niedoceniane, że wypruwają sobie flaki pracując non stop niezauważane. Mężczyźni mówią, że wykonują prace niebezpieczne, ryzykowne, że kto by nosił te belki, z których zbudowane są domy, kto by stawiał te mury, kto by polował. Pojawiły się krzyki, gestykulacja zahaczająca o chęć zaatakowania.

Musiałyśmy interweniować z Różą. Jako liderki wyciszyłyśmy tę kłótnię, choć z punktu widzenia dyskusji nie było to wcale takie dobre – koniec końców „wygrały baby”. Zrugaliśmy ich, że każdy jest cenny, co więcej, jak facet chce

wyplatać koszyki i być garncarzem, to niech będzie, a jak kobieta chce polować, niech poluje, co przecież dużo z nas robi! Rozesłałyśmy wszystkich po domach, zgasiłyśmy ognisko, by nie kusiło i następnego dnia zagoniłyśmy wszystkich do morderczej roboty, żeby nie znaleźli siły na rozmowę.

Mimo niedostatku cycków, najważniejsze było dbanie o proporcje w zawodach i funkcjach. Daniel zgłaszał, że ma zdecydowanie za mało ludzi do eksplorowania i patrolowania i że w razie większego ataku po prostu sobie nie poradzimy. Karol odpowiadał, że oddelegowanie większej ilości osób do ochrony znacząco spowolni pracę w całym obozie, a już przy dodatkowej setce całkowicie ją sparaliżuje.

Stało na tym, że jesteśmy po prostu dramatycznie za małą osadą i że raczej powinniśmy robić narady, jak w ogóle pozyskiwać ludzi, a nie czy pozyskiwać kobiety, czy mężczyzn. Mała ilość osób przy wielu zadaniach wymusza pomieszanie ról. To jest dobre. Jeśli brakuje pary do zwiadu, zgłasza się jakaś dzielniejsza dziewczyna, jeśli drwal nie pada od ciężkiej fizycznej pracy, idzie pomagać przy szyciu sienników.

Nie mieliśmy nigdy buntu.

Boję się dnia, w którym ktoś będzie chciał przejąć władzę. Mam nadzieję, że nikt nie zburzy naszej idylli, choć rozrastające się miasteczko nie ma szans na wieczność zachować spokoju i ładu.

\*\*\*

Daniel przychodzi wieczorem do naszego domku – wszyscy w piątkę, w Grupie, mieszkamy razem. Mówimy na siebie Grupa, bo od naszej Grupy wszystko się zaczęło.

– Jak mi się, kurwa, nie chce... – stwierdza uwalając się na fotelu. Sam go sobie zbudował. Powiedział, że kiedyś na czymś takim siedział i że było to najwspanialsze uczucie na świecie. Postanowił i sobie zbudować fotel. Miesiąc dłubania po godzinach i oto miał swoje marzenie.

Patrzemy na niego wszyscy i ponownie po sobie i decyzja zapada w ciągu ułamka sekundy. Jak nam się nie chce! Mamy serdecznie dosyć.

Jest wczesna jesień. Jest ciepło i noce są ciepłe, ale czujemy już, że zbliża się czas spoczynku, który dla ludzi spoczynkiem w ogóle nie jest. Rośliny wolniej rosną, niektóre jeszcze lub już nie owocują, kwiaty przekwitły, a te

zapowiadające zimę szaleją i wiemy po tym, że już niedługo, może za dwa, a może za cztery miesiące przyjdą okrutne chłody. Będą krótkie, poprzedzone przedzimiem. Potrwają może ze dwa miesiące, choć wszystko w tych porach roku zależy od tego, kiedy się zaczynają. Potem męczący głodny przednówek i wiosna. Sześć miesięcy. Kolejne pięć miesięcy pełni lata.

Dobrze, bo słonecznie? No nie. Skwar koszmarny i susza. Ale to wszystko to są wspomnienia zeszłego roku. Poprzedni był nieco inny. Właściwie nigdy do końca nie wiemy, czego się spodziewać.

O rany, jak my się napracowaliśmy! Wszyscy w całej naszej osadzie. Ale nasza piątka najbardziej. No, może czwórka, bo Kilka jest wciąż dzieckiem, a jest w Grupie jako maskotka i nie o wszystkim przy niej rozmawiamy. Pojawiła się w Grupie znacznie wcześniej przede mną. To było osiem lat temu. Została przygarnięta i już tak została.

Więc Kilka nie napracowała się tak jak ja, jak Karol, jak Daniel, jak Róża, zawsze była młodszą siostrą. Bo my poza zasuwaniami przy budowach, zbiorach, poza ciągłym szkoleniem siebie i innych, zmuszaniem ludzi do nauki

liczenia, czytania i pisanie i podciągania się... poza tym wszystkim musimy dowodzić. I to jest najtrudniejsze.

To sprawia, że gdy Daniel wraca jako ostatni do domu, zasypia w ciągu kwadransa, po wrzuceniu w siebie czegośkolwiek. Bo jest pod ciągłą presją wydawania rozkazów, kontrolowania ludzi, ukierunkowywania ich i dbania, by nie pozdychali. Jest silnym dowódcą. Szkoli właściwie wszystkich, bo każdy ma obowiązek umieć się bronić, ale ma też swoją elitę, która nas chroni, a jeśli nie chroni, po prostu kontroluje okolicę, eksploruje dalsze rejony i szuka potrzebnych nam materiałów lub ludzi. Ma olbrzymi posłuch. Olbrzymią wiedzę. Jest bardzo mądry, w taki głęboki, filozoficzny sposób i „*jak mi się, kurwa, nie chce*”, jeśli się zastanowić, też jest całkiem mądre, na bardzo bezpośrednim poziomie. Nie trzeba zawsze mówić zagadkami, by oddać kwintesencję sytuacji.

Daniel mężczyznom, a szczególnie młodym chłopakom i tym niedoświadczonym, imponuje. Jest wysoką kupą mięśni. Radzi sobie prawie z każdym.... jak nie fizycznie, to psychicznie. I doskonale motywuje, w każdego wierzy. Dzięki niemu i ja zaczynam powolutku wierzyć w moje umiejętności. Ale nigdy nie musiałam walczyć na śmierć i życie, więc nie



dość, że nie mam doświadczenia w prawdziwej walce, to na dodatek uczę się dopiero od nieco ponad trzech lat i nie miałam żadnego większego sprawdzianu. Daniel czasem mnie zmusza do strasznych rzeczy, do brutalności, na którą nigdy bym się nie zdobyła. Więc mężczyźni inspiruje, a dziewczyny po prostu sobie nie radzą z jego wyglądem i zachowaniem. Nie musi im rozkazywać. Wystarczy, że poprosi, a dostanie to w ciągu sekundy.

Róża czasem zielenieje z zazdrości i bywa, że nie bez powodu. Teraz rzuca swojemu chłopakowi spojrzenie pełne nadziei.

– Też mi się nie chce... Odpocznijmy, błagam. Ucieknijmy razem. Gdziekolwiek. Zostawmy to wszystko, niech sobie sami radzą.

Daniel i Róża są ze sobą od... chyba od zawsze. Chyba jeszcze z Królestwa. Wtedy tylko się znali, a trudy zesłania zbliżyły ich do siebie.

Kocham ich! Pasują do siebie, oboje wysocy, włosy blond. Dwa bardzo silne i głośne charaktery, możnaby się spodziewać – idealny materiał na „skłócone małżeństwo”. Nie. Trudno ich zobaczyć w kłótni. Po prostu bije od nich wzajemne uwielbienie.

Róża w obozie pełni funkcję... zarządcy? Zawsze z podkładką, papierami i piórem w ręku. Każdy jej dzień to bieganie od człowieka do człowieka, rozwiązywanie najdziwniejszych problemów, znajdowanie potrzebnych rzeczy, a jak się okaże, że ich nie ma, to zlecenie ich zdobycia lub zrobienia. Pilnowanie.

Czasem za dużo bierze na siebie. To ona daje nam znać, że czegoś potrzeba – jakiegoś warsztatu albo budynku, albo sprzętu. Zazwyczaj jedyne co możemy zrobić, to sobie to zapisać w głowie, bo po prostu nie da się zrobić tylu rzeczy. Głupie przygotowanie skóry do dalszego szycia to gros pracy!

No i Róża ma też inne zajęcia na głowie. Zajęcia są trzy i zdecydowały niedawno, że najwyższy czas dorosnąć. Jako że jesteśmy najważniejsi w osadzie, Zajęcia postanowiły na nasz obraz zająć osobny domek tylko dla siebie i jeszcze zaciągnęły dwóch facetów do pomocy przy budowie domku, a w praktyce nie do pomocy, a do całkowitego wybudowania.

Róży się wszyscy nieco boją, potrafi wprowadzić niezły zamordyzm, jeśli coś się jej nie spodoba. Ludzie się przy niej godzą nie dlatego, że chcą, ale dlatego, że łączy ich wspólny strach przed nią. Nie dziwię się. I ja się jej czasem boję. Ale z drugiej strony, jeśli Róża pociesza, to po prostu wie się, że

wszystko będzie dobrze. Właściwie każdego z nas ludzie się trochę boją. No, Karola się nie boją. Radosny, znający każdego człowieka, zażegnujący konflikty zanim nawet powstały. Ciepły. Ale w naszej grupie lekko w tyle. Nie wysuwa się przed szereg. Większość naszych decyzji przyjmuje z aprobatą, a prawdę powiedziawszy niewiele od niego zależy. Jednak... uśmiechem sprawia, że ludzie ciężiej pracują, uspokajają się, lepiej współpracują. Można więc powiedzieć, że od niego wiele zależy – czy ta społeczność kreowana przez Różę, Daniela i mnie będzie w ogóle działała. Mam jednak niejednokrotnie wrażenie, że zakłada maskę. Uśmiech przy ludziach schodzi z jego twarzy, gdy się odwraca.

Lubię jego towarzystwo, często sobie żartujemy, ale jeszcze częściej się przy sobie wyciszamy.

Ogólnie to ja za dużo nie mówię.

Nie trzeba zawsze gadać. Róża tego na pewno nie zrozumie.

Wracając do mojej Grupy. Kilka to prawa ręka Róży. Trochę taka dziewczyna na posyłki, trochę opiekunka do Zajęc. Wzdycha do niej pół facetów Daniela, bo jest pewna siebie i jak na młody wiek naprawdę nieźle się leje. Zjednała

sobie serca, gdy ktoś ją kiedyś klepnął w pupę, a ona bardzo sprawnie przywaliła mu pięścią w krtań i dokończyła kopniakiem. Był z tego spory konflikt, ale może dobrze. Ustaliliśmy, że nie należy nikogo gwałcić, skoro nie można nawet klepnąć w tyłek. Poza tym Kilka jest drobniutka, ma wręcz chłopięcą urodę i wielkie czarujące oczy. Słodziak!

A ja? Właściwie to nie wiem do końca, jaka jest moja funkcja. To znaczy, oczywiście wiem, bo jestem przywódcą ostatniego głosu. Ale w jakiś dziwny sposób. Ludzie utrzymują ode mnie dystans, nie udaje mi się z nimi spoufalać. Musztruję ich wszystkich planami i w ich pojęciu idiotycznymi pomysłami. Ale są zmuszani do ich zrealizowania i te moje pomysły działają! Gdy dodać do tego mój niepokojąco dziewczęcy wygląd, natychmiast leczące się rany oraz głos, który uskrzydliłby kamień w strachu przed zmiążdżeniem wzrokiem i przeraziłby smoka obawą przed zamordowaniem – okazuje się, że oni po prostu traktują mnie jak kogoś, kogo lepiej się słuchać, bo *nie wiadomo, czym jest*.

Potrafę się popłakać z samotności.

No dobrze, wszyscy mnie szanują, choć nie wszyscy się mnie boją. A może na odwrót? Albo po prostu ani jedno, ani drugie. Ostatnio, gdy puściłam komuś poetyczny pęczek

epitetów, zza moich pleców rozległ się krzyk: „Wilka, wojnę domową rozpętasz!” i gromkie śmiechy. Ludzie Daniela, jak widać, nie utrzymują zbyt dużego dystansu. Z drugiej strony, jeśli się zdenerwuję, natychmiast ich to stawia do pionu.

I dzieci do mnie przychodzą i się chwalą wszystkim czym da się pochwalić albo wypytyują ciekawsko i to jest super! Kocham je wszystkie! Mogłabym tylko z nimi spędzać czas. A Zajęcia Róży to już w ogóle mi wchodzą na głowę.

Oczywiście wszystkie decyzje podejmujemy wspólnie w trójkę, przy czujnych uwagach Karola. On nigdy nie upiera się przy swoim. Z kolei Kilka przez przesadę i egzaltację i dziecinność jest ignorowana. Różnica między nami wszystkimi jest taka, że jeśli mi się coś bardzo nie spodoba, to klamka zapadła i tego nie zrobimy. A jeśli chcę, żeby coś zostało zrobione, to zostanie zrobione. Nigdy nie zawiodłam, nigdy nie dałam plamy.

Rzecz w tym, że jestem tym zmęczona koszmarne. Zagubiłam się. Uciekłam w Królestwa, ale czuję, że budując lepsze miejsce i tak nie odbiegłam zbyt daleko. Co chwilę podejmuję decyzję o zabiciu kogoś. To boli i pozostaje w pamięci do końca życia. Brakuje mi tego dawnego spokoju

wśród małej grupki zaufanych przyjaciół... I najwyraźniej nie tylko mi.

– Ja serio mówię. Co wy na to, żeby wyjechać na dzień lub dwa? – rzuca Róża. Siedzi przy kominku i ceruje swoją bluzę z kapturem. Szanujemy ubrania.

– Na dobrą sprawę, to możemy i na trzy dni pójść. Dwie noce. – Stwierdza Karol. A myślałam, że śpi. – Ale pojutrze dopiero. Musimy najpierw prace rozdzielić.

– Jak nam zrobią rebelię, to może i dobrze, nie będziemy musieli wracać – kwituje Daniel niby żartem, ale wyraża tym głębokie pragnienie nas wszystkich. A moje szczególnie.

Jest jedno takie miejsce, fajne całkiem. Jest tam małe jezioro. Dawno nie byliśmy, no może oprócz Daniela, który krąży wokół naszej osady i czasem przejeżdża w okolicy.

– Mam ochotę to wszystko rzucić i niech się ci ludzie sami o siebie martwią – stwierdzam umęczona. Leżę na plecach na moim łóżku przysuniętym blisko kominka. Nie jest zimno, ale latem rzadko kiedy niepotrzebnie rozpalamy ogień, więc cudownie odpocząć przy jego ciepłym blasku i trzaskach i gorącym powietrzu.

– Jakby nie ten ostatni dom, to bym normalnie wyszła stąd – kontynuuję, – zabrała koc, kilka dzbanów piwa, coś do

zarcia, dała nogę, wywalila się na trawę w pierwszym lepszym miejscu, gdzieś nad wodą i żeby nie było nikogo słycać.

Uwalałabym się w trupa i leżała tak, aż by mnie ktoś z was nie zaciągnął znowu do osady, by zasuwać jak niewolnik.

– Czyli postanowione! – cieszy się Kilka, niezbyt przejęta moim wywodem. – Robimy wypad!

Uf, myślę sobie. Całe szczęście. Z tym piwem nie żartuję. Upijemy się.

I jeszcze spalimy liśćmi płonnika. To nazwa zwyczajnego mchu w Królestwie. Po tej stronie gór ma swój wizualny odpowiednik i niezwykle właściwości, które szybko doceniliśmy. Dość powiedzieć, że ostatnim razem po jego wypaleniu Daniel udawał kuropatwę, a Kilka opowiadała mi historię z poprzedniego życia, kiedy była gwiazdym pyłem. Mogłam sobie to wszystko oglądać z pełną świadomością, jeśli tylko odczekałam minutę. Innych trzymało i kilka godzin, mnie najwyżej kilkadziesiąt sekund. Raz mieliśmy niemały problem. Była olbrzymia susza i jakiś kretyń postanowił zrobić pożar na mszystej polanie. Chyba nie muszę dalej opowiadać.

O świcie następnego dnia jak zwykle idę poćwiczyć i pobiegać, bo są rzeczy, których nie mogę odpuścić. Dołącza

się Daniel oraz jego „satelici”: Tiana, Rady i ten trzeci, Tod. Doszedł do nas ledwo dwa tygodnie temu. Jest więc nowy, ale też bardzo ambitny i z dużym doświadczeniem w snuciu opowieści, graniu na gitarze, śpiewaniu, układaniu wierszy oraz zabijaniu. Podobnie jak Rady, obaj przybyli do nas wraz z dużymi grupami dezerterskimi. Rady był (jest...) młodym, zbyt ciekawskim dowódcą zwiadu, co postanowił zwiedzić krainy znacznie dalsze niż było w planach zatwierdzonych przez jego przełożonych. W pierwszych dniach dostarczył nam niemałych problemów, by po tygodniu stać się najlepszym przyjacielem Daniela. Tod z kolei przyjął dowództwo z miejsca i z ulgą. Odszedł z obozów wojskowych wraz z sześcioma rodzinami, które również nie chciały dłużej żyć w tamtej rzeczywistości. Daniel od razu zaczął ich obu, Radego i Toda, trzymać blisko siebie.

Więc biegniemy w piątkę i nagle Rady wywała mnie bez uprzedzenia, za to z komentarzem, że muszę zacząć przeczuwać takie sytuacje. Idealny przykład „ludzie Daniela nie utrzymują dystansu”. Chyba od niego się tego nauczyli. Obiecuję sobie, że następnym razem pobiegam sama, albo z kilkoma dziećmi. Dzieci nieźle motywują, nie ma



możliwości, by się zmęczyły. Prędzej ja dostanę zadyszki, niż któreś z obozowych Zajęć.

Dzień mija nam niestety jak zwykle, czyli pracowicie. To wyłącznie praca organizacyjna, więc zmęczymy się „tylko” psychicznie, bez dużych zakwasów. Łazimy po całym miasteczku i okolicach, patrzymy, co trzeba zrobić, gadamy z ludźmi, jak wyglądają ich potrzeby przedzimowe. Oczywiście przez te trzy dni mało kto cokolwiek konkretnego zrobi. Pewnie będą się byczyć podobnie jak my.

Poza ludźmi z obrony. Nienaganna dyscyplina robi swoje i nie zejda z posterunków, nie opuszczą patroli i punktów kontrolnych i nie odpuszczą szkolenia innych. Przywódca obrony uprzejmie dzieli ich na trzy grupy i każda z nich dostanie osobny dzień wolnego. Reszta w tym czasie co ma robić? A niech sobie sami wymyślą, macha na nich ręką Daniel. Rady pomoże.

Rozumiem go. No ile można wskazywać każdemu każdy jego krok?!

Po krótkim śnie pakujemy się i idziemy. Mało rzeczy mamy, takie podręczne plus pierwsze z brzegu jedzenie i picie. Tak jest! Wielka Piątka idzie na piknik.

Daniel, Róża i Kilka idą przodem, a ja zostaję nieco z tyłu.

– Pamiętasz, jak fajnie było ostatnim razem? – Karol zrównuje się ze mną.

– Taaa... – odburkuję z przekąsem.

Skakaliśmy na linie do jeziora, jakbyśmy byli dziećmi. Gdy miałam już skoczyć, Karol wpadł na genialny pomysł dołączenia się w ostatniej chwili. Efekt tego był taki, że zatoczyliśmy małe kółeczka ledwo odrywając się od skarpy i nie mając innego wyboru, wylądowaliśmy w najgorszym błocie.

– Się nie waz tym razem.

– Daję ci gwarancję, że sobie odpoczniesz od bycia śliczną – puszcza mi zadziorne spojrzenie.

Chyba jednak nie będzie miał takiej okazji, bo po kilkunastu godzinach i licznych przerwach (na bardzo ważne uzupełnianie płynów, choć może niekoniecznie w formie wody – urlop to urlop) w końcu znajdujemy upragnione miejsce z dala od błota. Trawiasty stok. Jest i miłe miejsce z boku pod drzewami na spanie. Bardzo czyste.

Wieczór spędzamy na robieniu niczego. Daniel z Różą znikają na dobrą godzinę, jak nie więcej. Karol z Kilką grają

w kamyczki nie przejmując się dziecinnością tej zabawy. Kilka robi do niego maślane oczka. Któregoś dnia wprost zapytała Róży, co ma zrobić, by Karol przestał patrzeć na nią jak młodszą siostrę, a jak na dorosłą kobietę, która go całym sercem pragnie. Róża ją równo zjechała, mówiąc całkiem słusznie, by nie zachowywała się jak skończona idiotka i nie wyskakiwała z żadnym „kocham cię”, bo nic z tego nie wyjdzie, a tylko będą kwasy w Grupie.

Z kolei Karol też nie bardzo miał co zrobić z Kilką. Była urocza, rozgadana, rozbiegana. Ciężko zignorować. Róża go dosłownie złapała za kołnierz i zagroziła kastracją, jeśli dotknie się do Kilki. Argumentacja ta sama – zejda się ze sobą, pokłóca i w efekcie ostatecznym Grupa się osłabi.

Róża była niezłą przyzwoitką.

W stosunku do mnie również. Ale raz nie posłuchałam Róży, był czas, gdy spędzaliśmy z Karolem za dużo czasu sam na sam. Myślałam, że jest „moment”, wygłupiłam się i całe moje szczęście, że trafiłam do szufladki „przyjaciółka/jest w porządku”, a nie do kosza „nie istnieje/unikać”.

\*\*\*

Następnego dnia mogłabym mieć lekkiego kaca, ale moje ciało nigdy nie pozwoliło mi na takie doświadczenia. Praktycznie już w trakcie picia trzeźwieję, więc moje zapewnienia, że „pójdę i upiję się w trupa” to jedynie poetyka. Reszta leży na trawie i od rana robi NIC, tak samo jak poprzedniego dnia. Róża wyciągnęła wielką połamaną szarlotkę i teraz ją wszyscy żujemy.

Chmury przesuwają się nad nami leniwie, jedna przypomina mi skrzyżowanie żaby z kubkiem.

Wszyscy jesteśmy bardzo skupieni na tych chmurach nad nami. Tamta jak taki dom ziejący ogniem, nie, przepraszam, kura ziejąca ogniem, nie, musisz spojrzeć odwrotnie, no faktycznie, widzę owcę z dwoma świńskimi dupami, mnie ona przypomina Karola, spierdalaj, a to tamto to oko, nie? z tej strony ma brodę, a tam nogi, teraz pięć, jedna zniknęła, dla mnie to bukiet, bo to nie ta chmura, patrz bardziej na prawo, ty mówisz o tej ciemnej co niby jak żubr, a ja o tej co jest obok, taka duża, już nie ważne, rozjechała się, trzeba było wcześniej znaleźć, a nie że bukiet, o, świerszcz wskoczył na mnie.

Potem coś gadamy o tym, że słońce grzeje i że grzeje za bardzo, ale zasadzie mogłoby bardziej i że największe upały

za nami, a potem będzie zimno i że szkoda, że będzie zimno, bo mogłoby być tak ciepło jak teraz, tylko może trochę mniej.

– Ej, Róża... – zaczyna Kilka znudzona jak nigdy dotąd. Nuda to dobre uczucie. Rzadko go doświadczamy. Zarzuca temat o wiele gorszy, niż ten o temperaturze otoczenia. – Ty masz dwadzieścia siedem czy osiem lat?

Mamy kalendarze i zapisaliśmy sobie mniej więcej, kiedy kto się urodził. To jedna z najdurniejszych rozmów świata. Choć prawda, miewamy mały problem z doliczeniem się. Kalendarz wariuje, ilość miesięcy się zmienia, to znaczy zawsze jest ich tyle samo, ale pory roku są zmienne i to wywołuje mętlik.

– Nie zawracaj mi dupy, widzisz, że jestem zajęta... Daniela dręcz o to. Albo tego starucha koło mnie.

To o mnie. *No dzięki, Różyczko. Stara! Stara! W porównaniu do mnie, to ty jesteś próchno!*

Karol wiosną będzie miał urodziny. Wygląda na to, że jesteśmy w tym samym wieku, choć wobec mnie nigdy nie ma pewności. W porównaniu do Róży i Daniela jesteśmy oboje gówniarzami. No cóż, pod względem gówniarstwa nigdy nie przebijemy Kilki. Kiedy dołączyła do Grupy miała lat sześć albo siedem i to tylko zakładając, że sześciolatka znała swój

prawdziwy wiek. Nie poznała Królestwa. Urodziła się już tutaj, po tej stronie gór. Jej matka uciekła i zmarła w terenie, a Kilkę przywiał do Grupy. Teraz ma ze czternaście lat. Została wychowana przez Różę i Daniela. Zawalili sprawę na całej linii.

A Karol to zawsze dokładnie wiedział. Dziewięć lat tutaj, dwanaście w Królestwie. Zazdrościłam Karolowi, że wie co do dnia, kiedy się urodził. Pochodził z dobrego, kochającego domu. Co roku obchodzono jego urodziny, tak samo jak pozostałego rodzeństwa. Nie było to huczne świętowanie, po prostu miłe słowa rano i ciacho wieczorem. Pytaliśmy się go, właściwie za co został zesłany. Przecież jest uosobieniem sympatyczności! „Zabiłem jedną dziewczynę”, odpowiadał niechętnie. „Przypadkiem, ale wystarczało, by był skandal”. Nie drażyliśmy. W przeciwieństwie do obozów na Pustce, tutaj każdy ma prawo zachować to dla siebie, kim był wcześniej i za co go wypędzono.

Daniel z Różą byli pionierami dezercji! Zwiali dwa albo trzy lata po powstaniu obozów. Mogą śmiało mówić, że uciekali, zanim to było modne! Byli przyjaciółmi z tej samej wsi, oboje pod trzydziestkę. Za co zostali zesłani i czemu

oboje razem? Nikt nigdy nie wypowiedział tego na głos, ale nie dało się nie zauważyć, że byli do siebie zbyt podobni.

Róża spodziewała się wtedy pierwszego Zajęcia i, zdaje się, właśnie ze względu na nie postanowili pożegnać się z więzieniem. Z Zajęciami jest dramat, traci się je na różnym etapie, w różnym wieku, z różnych powodów. Pierwsze Zajęcie nawet nie doczekało końca ciąży. Obecnie najstarsze z nich, Pau, ma już dziesięć lat i z racji wieku i charakteru mało jest zainteresowana podejmowaniem jakichkolwiek decyzji i posiadaniem czegokolwiek na swoich barkach. Za to doskonale odnajduje się w roli starszej siostry. Najwyraźniej zadziałał tutaj efekt pierworodnej: poczucie zobowiązania, by opiekować się młodszym rodzeństwem. Pau lubi pomagać. Danna ją wzięła pod skrzydła.

Wiek, w jakim wylądowało się na Pustce i w Puszczy to trochę jak nowe narodziny. Od tego czasu liczy się prawdziwy wiek. Ze standardowego punktu widzenia, ludzie mają po dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt lat. Z innego jesteśmy rówieśnikami.

Ciekawe, że tą trzytysięczną bandą przewodzi nieco ponad dwudziestoletnia dziewczyna, nie? Mają ku temu powody.

Skwar. Rozebrałyśmy się z dziewczynami do bielizny, żeby w pełni napawać się słońcem. Wczoraj podpita błdziłam myślami, a dziś dociera do mnie, że te myśli nie były takie głupie. Może naprawdę czas odejść. Nie mam nad niczym panowania. Czegoś mi brakuje w życiu. Myślę o tym w kółko i w kółko od pół roku. Osiągam nie to, co bym chciała. Cały czas muszę mniej lub bardziej. Trumspringa, chcę zrobić sobie wycieczkę na koniec świata i zostawić za sobą wszystko. Gdyby wszystko się posypało beze mnie, to by to nie był mój problem, bo by mnie tam nie było.

Jestem zmęczona dowodzeniem. Chciałabym odpocząć, myślę jak zdarta płyta. I nie tak odpoczywać, jak teraz. To pozorne lenistwo... to zmarnowany dzień. Jutro wrócę tam, skąd przyszliśmy. Co to za odpoczynek? Trzy dni? A potem niekończąca się praca.

Jakaś przygodę bym chciała.

Nie wiem.

Coś innego bym chciała.

Nie wiem co.

– Idę nad jezioro – rzucam i wstaję z lekkim zatoczeniem, przez chwilę zrobiło mi się czarno przed oczami.



To przyjemne uczucie, czarno przed oczami, gdy wstaję. Jest takie normalne.

– Yhm... – to jest to, co słyszę, pomruk wyrażający „*spoko, rób co chcesz, my tu będziemy dalej leżeć*”. Nawet Karolowi nie chce się ruszyć, mimo że zapowiadał mi kąpiel w szlamie.

Ścieżka jest ledwo wydeptana, taka trochę zwierzęca, trochę ludzka, bo jednak czasem ktoś tu bywa. Miły chłód czuć już kilkaset metrów od bajorka.

Patrzę na taflę wody i widzę moją twarz, karykaturalnie rozmazaną przez rozchodzące się wietrzyste fale. Mam ciemne, rudawe włosy. Więcej nie widzę. Zakwitłe bajoro jest beznadziejnym lustrem.

Jest ciepłutko i rozkoszuję się tym uczuciem jak każde inne stworzenie na tym świecie. Jaszczurki wygrzewają się na odsłoniętych kamieniach, a ja sobie myślę, że te kamienie muszą wręcz parzyć, też bym mogła być taką jaszczurką. Odpuszczam, chwila samej dobrze mi robi. Teraz jest dobrze. Jeszcze dzień i wrócę do naszego koszmarku.

Wstaję z kucek i kieruję się w stronę trzcin. Wchodzę w głąb leśnego oczka i dochodzę do miejsca, gdzie wodorostów

jest już niewiele. W takich warunkach można się kąpać bez obrzydzenia i strachu.

Boję się wody. Ta jest sprawdzona i na jakieś dziewięćdziesiąt procent nic w niej nie siedzi. Nic, co by chciało mnie złapać za kostkę i wciągnąć pod wodę. Woda jest życiem, więc wszystko, co żyje, do niej się garnie. A tam gdzie jest życie, są i drapieżniki. Nie chcę stać się jedną z ofiar.

Najchętniej kąpię się w strumieniach, lub nalewając wody z jeziora do miski. Kiedyś nalałam sobie tę wodę i patrzę, a w niej coś pływa. Ma mniej niż trzy centymetry i macki. Serce podeszło mi wtedy do gardła, bo wiedziałam, co to oznacza.

To maleństwo było niegroźne. Chciało przyssać się do czyjejś nogi, dokładnie tak samo jak robią to pijawki i wraz ze swoim nowym nieświadomym niczego przyjacielem przenieść się do niezamieszkałego jeziora. To trzycentymetrowe maleństwo kiedyś urośnie i będzie mieć ponad dwa metry bez macek – jeśli wielkość akwenu na to pozwoli.

Sadzawka jest płytka, trochę zarośnięta, więc na litość boską – gdyby siedział w nim dwumetrowy drapieżnik, woda by inaczej pachniała. Mimo to, gdy kładę się na kamieniu tuż

przy wodzie, chwytam mocno nadwodny krzew. Spuszczam stopy do wody. Jeśli coś mnie złapie, to nie wiem czy trzymanie się drzewka pomoże, ale na pewno zyskam sekundę na wydanie przeraźliwego krzyku. I wtedy reszta Grupy już będzie wiedziała, by ostrożniej podchodzić do bajorka.

W głębi lasu są miodojady i tygrysy i zabójcze pszczoły, co więcej, są drapieżne drzewa, a mimo to nie boję się spędzać nocy w lesie. Za to woda mnie przeraża.

Gdzieś daleko pluszcze się zielona rybka. Radośnie, mogłabym stwierdzić, rybka pluszcze się radośnie. Dobrze wiem, że to nie radość, a histeryczna ucieczka przed szczupakiem lub innymi drapieżnikami. Oby nie małym stworzonkiem z mackami. Staram się o tym nie myśleć. Wystarczająco zmartwień mam na co dzień.

\*\*\*

Nagle, dotknięta przeczuciem, powoli schodzę z kamienia.

Ktoś jest w pobliżu. To chyba nikt od nas, bo gdyby to był ktoś z Grupy, to zachowywałby się głośno i mnie nawoływał. Ten niepokój to nie jest wyjątkowe, magiczne

przeczucie. Takie rzeczy się wie, kiedy spędza się czas w naturze, kiedy jest się zatopionym w otaczającym świecie.

Ktoś jest niedaleko, ale mnie nie obserwuje. To też bym wiedziała. Takie rzeczy się wie. Jak się nie wie, to jest się w pewnym sensie martwym. Prędzej czy później nie zauważy się kogoś i ten ktoś cię zabije.

Jakie to uczucie, być obserwowanym? Najgorsze na świecie. To poczucie elementarnego zagrożenia. Niepokój znikąd. Ludzie muszą mieć takie wyczucie, by uniknąć drapieżników, także w postaci innych ludzi. To nie szósty zmysł. To nieświadome rejestrowanie mikrodzwięków, nietypowej ciszy, zrywu ptaków.

Schodzę ostrożnie i chowam się między krzakiem a kamieniem. To dobry punkt obserwacyjny. Mija zaledwie kilkadziesiąt sekund, kiedy przechodzi obok mojej kryjówki mężczyzna. Jest ostrożny, ale nie na tyle, by mnie zauważyć. Nie zbliża się do wody, tylko obserwuje.

Bardzo dobrze wie, że ktoś był tu przed chwilą. Na pewno czuje, że go obserwuję. To okropne uczucie. Trochę mi przykro, że jestem tego przyczyną.

Nie kojarzę jego ubrań. My się wszyscy wyróżniamy, nasze ciuchy wychodzą spod ręki kilkunastu czy

kilkudziesięciu dziewczyn, a wiele osób, jak ja, szyje wyłącznie dla siebie pod wymiar. To wyraźnie ktoś z wojska, dezerterski na pewno. Raczej nie jest to nikt od tych złych, od świrów. Zachowuje się niepewnie. Zza głazu widzę, że nie chciałabym się z nim sama zmierzyć. Mogłabym spróbować uciec, biorąc pod uwagę jego posturę. Kiedy myślałam o mackatym paskudztwie, to sobie pomyślałam, że Grupa usłyszałaby mój krzyk. Teraz nie mam takiej pewności. Rzucam okiem na podłogę, na obecność kamieni. Jestem bez butów. Ucieczka z tej przyczyny nie będzie taka prosta. Ale on ma bagaż, przez ciężar nie będzie mu łatwo mnie dogonić. A moi przyjaciele i nasze obozowisko nie są daleko.

Nie powinnam czuć się zagrożona, to głupie! To mój teren, teren Wilki, moich przyjaciół i mojej osady i ludzie czują przed nami respekt (o ile to nie te świry). Ale wystarczy mnie oderwać od stada na kilka kilometrów i proszę... już tracę animusz.

Jestem za blisko, wstrzymuję oddech. Ludzie słyszą oddech i słyszą też jego brak. Doskonale wie, że jest obserwowany. Nie rozgląda się zbyt wiele wokół, wiem, że nie chce ujawnić swojej wiedzy. To jak sytuacja, w której oboje mierzymy do siebie z broni, różnica taka, że teraz się nie

widzimy i nie mierzymy. Taka tego odwrotność. Zginam palce u nóg, czy będą w stanie mnie dostatecznie szybko podnieść?

Odwraca się i chce zawrócić. Ma ciemne włosy, brud tułaczki wtarty głęboko w skórę. Ubrany jest lekko, ma ze sobą jedynie niewielki sztylet i plecak. I buty – to już coś. Gdyby został gdziekolwiek pojmany, buty by mu zabrano w drugiej kolejności, zaraz za bronią. Nie był więc pojmany, ale musiał walczyć, ubrania wyraźnie przeszły ciężkie chwile. Wygląda jak jakiś... turysta? Podróżnik? Włóczykij?

Źle trafił.

Tutaj nie, ale kilkadziesiąt kilometrów dalej licznie krążą te świry, co go ustrzelą prędzej czy później. Dziwne, że wciąż żyje. Nie ma łuku. Nie ma butów dobrych do biegania. Nie ma ochrony, ani zapasowych sztyletów ani innej broni. Stawiam na nim krzyżyk.

Przez chwilę się zastanawiam, czy by się nie przydał do naszej drużyny. Ale nie. Nie jestem teraz w pracy. Jestem na urlopie. Nie będę nikogo werbować.

Widzę, że mężczyzna zauważył tę niewielką ścieżynkę, którą przed chwilą przysłałam i odcisniętą trawę nad wodą. Zastanawia się. Może chce podejść do nas, do obozu? Jeśli będzie chciał, to przyjmiemy kolejnego samotnego wilka.

Zwiększy naszą grupę. Ten jest naprawdę ładnie zbudowany. Zbiegły żołnierz na sto procent. Bardzo dużo ich w Puszczy, choć nasza część lasu jest dzika, odległa i przez to nieco rzadziej odwiedzana przez nowych i nieznaną nam. Jeśli będzie się garnał, przywitamy go z otwartymi rękoma.

Każdy z nas w mniej lub bardziej dosłownym sensie zbiegł.

Mężczyzna nie decyduje się pójść ścieżką. Zanim znika w lesie, ostatni raz przystaje i zaniepokojony przygląda się jezioru. Teraz widzę jego twarz. Znam tę twarz i to wcale nie z naszej osady i nie od świrów.

Przebiega mi przez głowę: prosisz, to masz. Wilka, nie ma znaczenia, kto to jest, po prostu masz pretekst, by zwać od obowiązków. Wykorzystaj tę szansę. Mogłaś zobaczyć łosia i powiedzieć Grupie: idę zapolować. Ale masz lepszy pretekst. Możesz sobie kogoś dłużej pośledzić. Dla zabawy. Każdy ma czasem prawo do zabawy.

Włóczykij odchodzi, a ja wreszcie biorę głęboki oddech. Drży mi klatka piersiowa, tak długo wstrzymywałam powietrze racząc się tylko małymi haustami i trochę się poddusiłam. Opuszczam wzrok z ulgi. Nie oszukujmy się, zawsze w takich sytuacjach się nieco boję. Z Włóczykijem

mogłabym mieć większe szanse tylko w przypadku ucieczki lub mojego ataku z zaskoczenia lub gdyby okazał się faktycznie kimś, kto nigdy nikomu nie przyłożył. A nie wyglądał na takiego! Choć zmęczony, nie był wychudzonym wędrowcem.

Chcę jak najszybciej wrócić do obozowiska, ale wciąż nie wstaję ze swojej kryjówki.

Ta twarz nie daje mi spokoju. Znam ją. Widziałam ją.

Zastanawiam się i pewna myśl pączkuje w mojej głowie. Pewne wspomnienie. Widziałam go już przecież. Jak bardzo (lub nie bardzo) jest prawdopodobne, żeby jeden z królewskich braci, ten będący dowódcą wojsk siedzących na Skraju Pustki i Puszczy, postanowił w stroju podróżnika, wręcz niefrasobliwego spacerowicza, urządzić sobie wycieczkę do tych odległych lasów? Samotnie? Może to moja kolejna moc: moc wywoływania kiczowatych sytuacji.

Z drugiej strony, gdyby po lesie łąził księżę, to kogoś musiałyby spotkać. Dlatego, myślę sobie, może powinnam zaufać przeczuciu. Ktoś na niego wpaść musiał. Trafiło na mnie. Oto mam: łosi w tych lasach jak mrówek, ale nie, trafiłam na księcia. Chyba. Wszystko jedno.



Najmłodszy syn Królestwa. Nie robi na mnie wrażenia jego postać, w końcu co jak co, ale wychowałam się wśród całej chmary jemu podobnych. To, co mnie szokuje, to po prostu znikome prawdopodobieństwo, które wystąpiło.

Biorę drugi głęboki wdech. Nasłuchuję. Nikogo więcej nie ma w okolicy. Więc był sam. Jak można być takim idiotą i włązić w te lasy bez łuku? Nie wierzę.

To na pewno był on, ta myśl urasta w mojej głowie do niepodważalnej prawdy. Tak bardzo pragnę oderwania się od codzienności, że nie pozwalam sobie na rozsądek. Że widziałam go dawno, że to dorosły mężczyzna, który w moich oczach na pewno się zmienił. Nie potrzebuję nudnych wątpliwości.

Równy oddech. Bez dobrej broni zginie za dwa, a najpóźniej trzy dni, jeśli nie ma jakiejś sztuczki w zanadrzu, albo ludzi w promieniu kilku kilometrów, albo jeśli nie zna prostej drogi ku Skrajowi, albo jeśli nie trafi na naszych. Moim obywatelskim obowiązkiem jest go ochronić! Akurat wypatrzeć niebezpiecznych ludzi potrafię. Potrafię też zwiać. Mogę więc go pośledzić i w razie zagrożenia ostrzec albo po prostu zostawić.

Będę iść w ciszy, bez Grupy, wreszcie odpocznę od ludzkich głosów. Żadnych decyzji, tylko podążanie.

Jestem zdesperowana.

\*\*\*

W pewnym sensie to przez Wadariwona tutaj trafiłam. Jak to dowódca tutejszych wojsk sprawił, że wylądowałam w Puszczy?

Z pięć lat temu wpadłam na pomysł urządzenia laboratorium w jednej z komnat królewskiego zaplecza. Niektóre związki chemiczne potrafiłam uzyskać, z wieloma miałam problem przez absolutny brak dostępu do sprzętu i półproduktów, nie mówiąc już o takich rzeczach jak „aparatura”, bo nie miałam nawet – hej! – termometra. Tak jest! Siedziałam w czymś, co nazywałam *laboratorium* i nie było tam *termometra*. Miałam mniej niż szesnaście lat i trzy lata świadomości, to za mało by ruszyć zaawansowaną chemię bez nauczyciela, wiedzy i składników.

Kanciapka alchemika–samouka, tak powinnam to nazywać. Cieszyłam się, gdy mi się kolorowe kryształki robiły.

Mniej więcej po półtora roku bezsensownych i bezefektowych doświadczeń do mojego laboratorium wszedł członek królewskiej gwardii. Podobno otrzymał polecenie, by zakazać mi robienia tego, co robię. Chciał mnie skrzywdzić, jakoś jednak nie przeszło mu przez myśl, że stoi w pomieszczeniu pełnym najróżniejszych substancji.

Moje szczęście – część z nich miała silne właściwości żrące.

Moje szczęście – akurat ich używałam.

Nieszczęście gwardzisty – dostał nimi w twarz.

Laboratorium zamknięto w trybie natychmiastowym. Królestwo nie skazało mnie na śmierć, ani nie zniszczyło mi życia. Po prostu wręczono mi worki i krótką informację, że zostaję wysłana za góry. Mam służyć w tamtejszych obozach. Może się do czegoś przydam.

Jednak do obozów nigdy nie dotarłam. Zostawiono mnie w górach i nikt od niego się po mnie nie zjawił. Tak więc sam się przyczynił do mojej obecności w Puszczy.

Potem przez cztery lata zmagalam się z takimi uczuciami:

Złością i poczuciem opuszczenia, gdy nikt się nie stawił i musiałam przejść morderczą drogę sama.

Miłością do lasów, do moich ludzi, przyjaciół i naszej osady.

Poczuciem niespełnionego zobowiązania. Tam, w wojskowo–więziennych obozach, czekano na mnie. Nie byłam anonimowa. Jestem więc poniekąd zdrajcą, dezterem z przymusu.

I zżera mnie ciekawość, jak tam jest.

\*\*\*

Wreszcie udało mi się dobiec do naszego obozowiska.

Moi przyjaciele są jak cztery leniwe koty. Kilka próbuje wydłubać brud spod paznokci. Reszta po prostu leży zakrywając sobie oczy ubraniami. Kocham i nienawidzę tego kociego lenistwa.

Swoją drogą, ciekawe jaką opinię mieliby o nas nasi ludzie, gdyby się dowiedzieli, co robi ich dowództwo podczas swoich prywatnych tajemniczych wypadów.

– Eee... – decyduję się na taki niezbyt konkretny początek rozmowy.

– Hm? – Kilka leniwie podnosi głowę, by zerknąć na mnie. – I co tam, Wii?

Patrzy się na mnie i już wie, że coś jest nie tak.

– Wii?

– Eee... Przejmijcie, proszę, na jakiś czas moje obowiązki – informuję ich bez żadnego wstępu. Nie jestem mistrzem rozmów.

No to mam ich uwagę! Gapią się na mnie, Karol opiera się na łokciu, a cała reszta usiadła i ma w oczach jedno wielkie „eee?”.

– Jakieś wyjaśnienia, Wilia? – pyta się Karol, ale głos ma spokojny. Jak zwykle.

– Wiecie, zobaczyłam przed chwilą zagubionego człowieka. Chcę go sobie tak rekreacyjnie pośledzić.

*Śledzić...* to brzmi tak poważnie.

– Muszę się przejść. Chcę się po prostu ruszyć. Sama i na dłużej.

Moi przyjaciele sznurują usta. Nie podoba im się to, że jedna osoba z Grupy odchodzi *sama i na dłużej*. Mam teraz czwórkę najbliższych przyjaciół, ale na przestrzeni lat liczba była zmienna. Kilka trzykrotnie odchodziła i trzykrotnie wracała, targana nastoletnim buntem i butą. Marka zabito. Równie okrutny los spotkał Lidię. Lidia była dziewczyną Karola, Marek moim byłym chłopakiem, oboje zginęli mniej

więcej w tym samym czasie i to wtedy doszliśmy z Karolem do wniosku, że wspólne zachowanie ciszy jest naprawdę przyjemnym zajęciem. Jasne, że sobie często żartowaliśmy w najlepsze, ale z nikim się tak dobrze nie milczało, jak z nim.

Jak zauważyłam nad jeziorem, mój pretekst do spędzania czasu w ekscytujący sposób jest bardzo ładny. W Puszczy miałam jednego chłopaka (Pałacu nie ma co wspominać). Związek trwał równo osiem miesięcy, a potem został zastrzelony. Chwilę wcześniej zdążyliśmy ze sobą zerwać, więc nie cierpiałam tak bardzo (to znaczy cierpiałam bardzo, ale tylko trochę bardziej niż wszyscy). Potem Karol mnie wyśmiał i ostatecznie pozwoliłam sobie na skrupulatne unikanie związków.

Myślę, że pomogłam Kilce w pewnym stopniu, tłumacząc jej trochę, co się dzieje z jej ciałem i jak obserwować samą siebie, by mniej więcej oszacować, kiedy wstrzymać się z seksem. Dobrze wiemy, że nie jest abstygentką, ale na szczęście do tej pory nie wpadła. Wszyscy traktują mnie jak mądrzącego się dziwaka. Przy czym zwykle mam rację, więc już nie zaprzeczają wszystkiemu, co mówię. Mam kredyt zaufania i nie bez powodu wysunęłam się na prowadzenie.

Czuję się też nieco pewniej w kontaktach damsko–męskich. Wiem, że w razie potrzeby uda mi się do kontaktu nie dopuścić. Daniel z Karolem przed laty zapoczątkowali naukę walki i samoobrony. Na początku była nieporadność, potem spora frajda. Może samoobrona to za mało powiedziane, bo równo się napięprzaliśmy. Do naszej paczki zaczęli dołączać inni i śmialiśmy się, że tworzymy regularny gang. Robiło się nas coraz więcej, w końcu zbudowaliśmy osadę.

Osadę, której z wielu powodów mam szczerze dosyć.

Przyjaciele siedzą przede mną zdziwieni.

Ahoj, przygodo.

\*\*\*

– Wilka, nie – mówi Kilka. Mam ochotę się nią opiekować jak młodszą siostrą. Przy czym wiem, że raczej nie jest osobą wymagającej opieki. Tej wiosny bez zadraśnięcia wyszła ze starcia z miodojadem, którego sama ubiła.

Naprawdę!

– Po prostu nie. Daj spokój – powtarza już poważnie zaniepokojona.

Reszta milczy. Widzieli wiele pożegnań. Znają też mój ton, ton, który mimo niepewności oznacza, że klamka zapadła.

– Chcę upewnić się, że nie zginie. Nic nie powinno mi się stać. A potem może pójdę gdzieś dalej. Potrzebuję wakacji. Każdy z was je miał! Każdy! Ja nigdy nie opuszczałam naszej osady na dłużej niż sześć dni. To obłąd. Dajcie mi chwilę na coś innego. Czuję, że nie mam panowania.

– Zawsze masz panowanie, głupia! – tym razem to Róża się denerwuje. – Zawsze masz panowanie! Trzymasz władzę. O czym ty gadasz?

– Panowanie nad własnym życiem. I spokój. Nie wiem, Róża. Co mam w kółko powtarzać. Potrzebuję jakiejś zmiany.

– ...ciuchy se zmień – burczy pod nosem nabzdyczona Kilka.

Zaczynam się pakować. Nie mam tego dużo, bo i wypad był krótki, nie braliśmy zbędnych rzeczy. Zakładam buty i skarpetki. Pilnuję ich jak oczka w głowie, to cenna rzecz. Przeciągam pleciony pasek, który kryje w sobie dziesięć metrów sznurka. Dwa krótkie noże, które są tu najpopularniejszą i najwygodniejszą bronią i lekki, leśny łuk. Niestety, większość mojej broni wraz z eleganckimi kaburami zostawiłam w osadzie. Ale też nie na wojnę idę.



Jest gorąco, więc kurtkę oplatom wokół pasa, podobnie koc. Żałuję, że nie zabrałam ze sobą czapki. Z każdym dniem noce będą chłodniejsze. Nie będę rozpalać ognisk (pomijając wszystkie względy bezpieczeństwa czy potrzeby, nie wzięłam ze sobą zapalek). Moje ciało jest na tyle silne, by dać sobie radę nocną porą i nie pozwolić na przeziębienie, ale zimno dokucza mi jak wszystkim innym.

Każda minuta jest na wagę złota, gdy planuję kogoś śledzić. Tylko raz czy dwa kogoś śledziłam sama, poza tym wielokrotnie uczestniczyłam w podchodach. Nie jestem w tym zła. Potrafię zwawo biec i uciekać skutecznie. Potrafię wspinać się po drzewach, dobrze skaczę. Doskonale jeżdżę konno, ale teraz muszę sobie to odpuścić. Gdzie jest mój złoty wierzchowiec godny królów, tylko on sam wie. Poza tym koń jest zupełnie bezsensowny przy tropieniu pieszego.

Potrafię dobrze śledzić, dodaję sobie otuchy.

Jedną wolną kieszeń obszernych spodni wypycham orzechami i szarlotką, a drugą zasuszonymi podpłomykami. Trochę mnie martwi to jedzenie, bo za głośno szeleści, dopycham więc jakimiś szmatkami. Część rzeczy ląduje w przylegającym plecaku, choćby małeńki skórzany bukłak, taki nie większy niż litr.

Bukłak... to jedna z niewielu rzeczy, którą zachowałam z czasów mojej morderczej samotnej wędrówki przez góry. To mój największy skarb, zaraz obok notatek i sznurka. To sentymentalne.

W bukłaku jest trochę piwa. Przynajmniej będzie mi weselej, jeśli coś pójdzie nie po mojej myśli. Szkoda, że nie wzięłam płonnika. Gdybym wrogowi zaproponowała jego wspólne wypalenie, byłabym uratowana.

– Wii, możemy pogadać? – prosi Róża. – Jest tyle opcji...

– Tyle opcji? Na przykład?

– Na przykład możesz nigdzie nie iść. Albo dogonić tego człowieka i zaproponować mu spędzenie z nami czasu.

– Doganianie go nic nie zmieni. To dla mnie tylko pretekst, by odpocząć od tych cyrków. I od was, mówiąc krótko. Szczególnie od ciebie, Daniel.

Mam tu na myśli wieloletni repertuar nieprzyjemnych sytuacji, kiedy to wymuszał na mnie zwiększanie mojego autorytetu przez danie się sprać. Brzmi źle? No właśnie.

Patrzą na mnie wciąż zszokowani, bo ledwo godzinę temu poszłam nad jezioro zgrzana słońcem, a gdy wróciłam, powiedziałam im: do widzenia.

– Upewnię się, że facet wie, co robi. Zobaczę, jak rozwinie się sytuacja. Potrzebuję przestrzeni.

– Na jak długo chcesz iść?

– Mogę zniknąć na miesiąc czy dwa. Albo trzy.

Róża się skrzywiła. Pewnie przewidywała tydzień.

Miesiąc lub trzy to nie są wakacje, to opuszczenie.

– I co, teraz tylko my mamy zapieprzać? W trójkę?

– Hej! – wypomina jej Kilka. – Jaką trójkę. Czwórkę.

– No właśnie – przytakuję piętnastolatce. – Czas Kilce przekazać więcej obowiązków.

Główna trójka nie bierze tej sugestii na poważnie. Ale to prawda! W wieku piętnastu lat powinna pełnić ważne i odpowiedzialne funkcje. Tylko że sama jest niepoważna i nie mamy do niej zaufania.

– Pamiętam wszystkie nasze skrytki, hej. W promieniu trzydziestu kilometrów znam każdy kamień. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów każdą rzeczkę i każdą górkę. Są nasze patrole i zwiadowcy, w razie potrzeby poszukam pomocy. Wszyscy znamy zasady zostawiania informacji. Dam sobie radę. Wy też dacie sobie radę, przecież. Jesień idzie. Większość prac zrobionych. Gdy będę potrzebna, to mnie jakoś znajdziecie.

Jedynie co nam zostało do zorganizowania, to przedzimowe święto. Coś jak dożynki, tylko mniej jedzenia, a więcej używek, ognisk, śpiewów i tańczenia.

Kilka rzuca mi się na szyję.

Karol szuka czegoś w swoich rzeczach.

Róża dłubie w uchu.

Daniel dalej milczy.

– Wszystkie dotychczasowe zasady obowiązują, nie? Znacnie plany. – Każdemu daję szybki uścisk. Żegnam się z nimi pośpiesznie. Niech nawet nie mają czasu zareagować. Patrzą, jak odchodzę i już po chwili słyszę ich zażartą dyskusję, kłótnię wręcz. Nagle zmieniłam sytuację w naszej Grupie. Liderka poszła w cholerę. Niemała zmiana.

Może znajdę obieżyświata martwego tuż za zakrętem i za godzinę będziemy się wszyscy śmiać z mojego popołudniowego Odchodzenia, bo mimo zapewnień nie będę wiedziała, co mam dalej ze sobą zrobić.

\*\*\*

Nie zdążam dobiec do tego jeziora, gdzie ostatnio widziałam Włóczykija, gdy dogania mnie cała czwórka z Różą na czele.

– Dobra, Wilka. Gadaj, o co chodzi.

Nie jestem w stanie dyskutować z tym tonem, ale nie chcę zwierzać się na forum.

– Możemy razem pogadać? – Róża zauważa moje wahanie i mówi wszystkim, że przez „razem” ma na myśli oczywiście tylko siebie i mnie. – Kobieta z kobietą, tak?

Karol przewraca oczami i odchodzą kawałek dalej z Danielem, a Kilka jest zbulwersowana, bo nie otrzymała rangi „kobieta”.

– Zmyłaś się w ciągu pięciu minut mówiąc tylko, że uciekasz na trzy miesiące. Mów, co się stało.

– Już ci mówiłam.

– To teraz powiedz prawdę.

Róża nie da mi spokoju!

– Ten człowiek, którego widziałam, to chyba Wadariwon. Kiedyś go widziałam i wiem, że to głupie, ale ten ktoś jest do niego podobny kropka w kropkę. Chciałabym się upewnić, że to on i że nie zginie. Może wywalili go z wojska, był sam. Myślę, że jest niegroźny.

– Wilka, ten facet jest groźny jak sto piekieł – cedzi do mnie zirytowana przyjaciółka. – Jeśli to on. Do kurwy nędzy, walczy ze wszystkimi dookoła. On i jego wojska są jak wilki.

*Są jak wilki.* Więc z moim imieniem do nich pasuję.

– To jedna rzecz. Druga, że to nie on. Nienormalna jakaś jesteś. A trzecia rzecz, jeśli go nie wywalili, tylko sam odszedł, to nie ma najmniejszego powodu, by go wspierać. Podkreślam. Liderów, którzy opuszczają swoich ludzi, nie należy wspierać – wypomina mi ponuro.

– Spadaj. Podjęłam decyzję – mówię przekonana. – Powiedziałam, że chcę wakacji. Nie wiecznych przecież...

Róża odwraca się do chłopaków. Macha na nich i informuje bezpardonowo o moich podejrzeniach. No ślicznie dziękuję za lojalność i dyskrecję, Różyczko–siostrzyczko.

– Wilia, z całym szacunkiem dla twojej osoby, ale zachowujesz się jak skończona idiotka – stwierdza Karol. – Twierdzisz, że obecnie z naszym najbliższym otoczeniu przebywa królewicz, którego ostatni raz widziałaś kiedy? Siedem lat temu?

– Cztery i pół.

– Cztery i pół! Nawet mnie poprawiałaś bez zajknięcia! Jak rozumiem, przez ten cały czas się w nim ostro bujasz.

Przemawia przez ciebie nie chęć niesienia pomocy, ani poczucie zobowiązania, ani oderwanie od rutyny czy jakieś bzdury o szukaniu samej siebie. Przemawia przez ciebie cipa. Cipa!

*Wal się, Karol.*

– Ty się chcesz najzwyczajniej w świecie puścić.

*Wal się, Róża.*

– Serio, to piękna historia i już układa nam się wszystkim w głowie – ciągnie moja siostrzyczka. – Że też wcześniej się nie domyśliłam. Marek był dzielnym mężczyzną, że tyle z tobą wytrzymał. Ale żeby przez lata bujać się w tym samym absolutnie nieosiągalnym człowieku? W sensie, zobaczyłaś jakiegoś przypadkowego faceta w lesie i uważasz, że to książę. Ogarnij się. Jesteś dorosłą kobietą.

Jestem czerwona ze złości. Pewnie wyglądam teraz jak rozwścieczony burak nabity na wykałaczkę.

– Powiedz mi, jaka jest szansa, że to on? – Karol ciągnie to, co zaczęła Róża. – Podpowiem: zerowa. Opuszczasz nas dla jakiegoś babskiego obłędu i zwalasz na nas masę roboty. Jeśli tak można, to ja sobie idę na półroczny spacer.

– Spadaj. Wy wszyscy odpoczywaliście. I tak zrobię co zechcę – odpowiadam jak jakiś obrażony dzieciak.

Ale zaraz się uspokajam. Głęboki wdech... Mam teraz ochotę zabić Różę i Karola, ale zabijanie przyjaciół jest nietaktowne i ogólnie nie należy do dobrych manier.

Zanim cokolwiek mówię, wcina się Daniel.

– Wilka, nie. Gadaliśmy o tobie, o Wadariwonie i jego koloniach. Nie masz żadnych zobowiązań wobec Pustki i Królestwa. Królestwo leży dwa miesiące pieszej drogi stąd, oddziela nas od niego pustynia, kamieni kupa i sami się ciebie w obozach wyparli. Nie masz zobowiązań wobec człowieka, który cię nie zna. Nie masz powodu, by za nim leżeć – mówi na jednym wydechu. – I przyznaję, że to nie on.

– Twierdzisz, że masz tu najpotężniejszego człowieka Pustki i chcesz sobie na niego popatrzeć przez kilka dni. A jak go przyłapiesz na robieniu kupy? – Karol zaczyna się dobrze bawić. – I co wtedy? Czasem się ciebie boję. Ciarki mi przeszły po plecach. Nas też masz ochotę popodglądać?

– Tak jak powiedzieliście, zabuja się ostro – Daniel utwierdza mnie w przekonaniu, że muszę od nich odpocząć. – „Miłość gorsza niż więzienie, z więzienia wyzwolą, z kochania nie zdołają”. Obyśmy cię odbijać nie musieli.



– Serio, Wilia? W księżciu się bujasz? – Karol dalej nabija się ze mnie, nie odpuszcza, świdruje oczami z pobłażaniem. – A na koniu jechał? Siwym może?

Ale zaraz widzę, że pod tymi uśmiechami kryje się coś więcej. Kryje się smutne zrozumienie, że ich sprzeciw na nic się zda. A w przypadku Daniela także nutka złości. Patrzy się na mnie podejrzliwie.

– Słuchaj no... obrażasz mnie, jeśli uważasz, że ktoś taki przemknął mi pod nosem.

– Jedna osoba zawsze może przemknąć. Przecież wiesz to – puszczam mu wymowne spojrzenie, bo te świry coraz częściej podchodzą pod naszą osadę i to w większych grupach.

– Niepokojące jest to, że nie mylisz się zbyt często. Jeśli jest szansa, że to on, to czy nie ja powinienem jako dowódca obrony to zweryfikować...? Jednak? Co?

– Jesteś egoistą. Chciałbyś zachować dla siebie całą zabawę. Zabiję cię, jeśli puścisz czujki.

– Nasi na pewno nie są zbyt daleko, i tak możesz na nich wpaść. Nie przyprowadziłabyś go do nas? Niezależnie od tego, kto to?

– To by było bez sensu. Żeby się dowiedział, że trochę dalej od jego obozów organizują się większe grupy? Jeśli to on, to niech nie wie. Nie przyprowadzę – przeczę głową.

*Daj mi wreszcie spokój. Tylko tego pragnę. Nie mieć przy sobie grubo ponad trzytysięcznej bandy. A ciebie to już w ogóle.*

– Jeśli to on... Przyłączysz się do wojska? – pyta się mnie cicho tak, abym tylko ja usłyszała. Na małą sekundę zdejmuję plecak, by upewnić się, że wszystko zabrałam. – Przyłączysz się do tych morderców, jeśli ci zaproponują?

Tak odległa wizja nie przeszła mi w ogóle przez głowę, tak daleko nie sięgam swoimi planami, które dotyczyły tylko tego dnia, jutra i pojutrze, co najwyżej.

Jeśli to on, to istnieje cień szansy, że go nie wywalili, że wciąż należy do wojska i do niego powróci. Podświadomość ciągnie mnie do tej nieznanej sfery. Nigdy nie byłam tam, gdzie miałam trafić, gdy mnie wypędzono.

Prawda, że to ciekawe? Ciągnąć do niepoznanego więzienia.

– Wilia, odpowiadaj. To informacja ważna dla nas wszystkich, a dla mnie kluczowa.

– Nie wiem.

– Jeśli będziesz mieć taką możliwość i będziesz się z tym dobrze czuć, to pamiętaj, że przydałoby się znać twoją opinię o tych ludziach i miejscu. Uważam, że rozważanie takiej opcji to najgorsze kretyństwo... ale i tak zawsze robisz, co chcesz i pewnie i tak ci wszystko ujdzie na sucho, jak zawsze. Więc tylko pytam.

Ma grobową twarz. Połowa naszych ludzi to ci, co od Wadariwona uciekli, druga połowa to ci, co zostali zmuszeni do opuszczenia obozów. Nie jest naszym wrogiem numer jedynie z tej przyczyny, że obozy na Pustce położone są daleko, a my wszyscy jesteśmy skupieni na rzeźbieniu nowego miejsca, a nie rozpamiętywaniu krzywd z przeszłości.

– Może się przyłączę. Nie miałam czasu pomyśleć. Zostawię ci informację gdzieś po drodze. Miło, że już uważasz za możliwe, że to on.

Od Daniela i Karola dostaję jeszcze po jednym nożu. Przytulam się ze wszystkimi na do widzenia. Po kilkudziesięciu metrach odwracam się, wciąż są za mną. Macham. Odmachują. Wiem, że nie zobaczę ich przez wiele dni.

\*\*\*

Śledzenie nie jest takie trudne. Co innego pogoń.

Ach, pogoń. To koszmar.

Jeśli widzisz kogoś, słyszysz go, zostawia po sobie ruch, wtedy jest łatwo. Ale pogoń po lesie kogoś, kto jest sześćset, tysiąc metrów czy kilka kilometrów przed tobą i go nie widzisz... nie wiesz jak jest daleko... i gdzie dokładnie... To loteria. Ten ktoś może nagle się zatrzymać, ukryć, albo zmienić kierunek po łuku. I wtedy ty stajesz się ofiarą, tym uciekającym, albo nawet już złapanym.

Można też zupełnie się rozminąć.

Fatalnie, gdy ten ktoś, kogo gonisz, jest oddalony o pół godziny drogi, a ty musisz niezauważenie zmniejszyć tę odległość do kilkuset metrów. To już sztuka.

Mój cel nie jest zbyt ostrożny. Konsekwentnie porusza się do przodu i już po pierwszej godzinie dobrze wiem, że chce się wydostać z Puszczy, że zmierza ku Skrajowi.

Wykorzystuję okazję i zacieram sobie twarz i wierzch dłoni tak, aby zlewały się z otoczeniem. Biała twarz to coś, co każdego by zdradziło. Włosy związałam w dwa ciasne warkocze. Na szczęście nie jestem złoto-ruda, nie świecę się,

ale lepiej by było, gdybym miała barwioną chustę, albo czapkę, które dopełniłyby kamuflażu.

O zmierzchu mężczyzna szuka wygodnego miejsca na kilka godzin spoczynku. I ja muszę gdzieś przenocować. Znajduję stary klon, bezpieczny punkt między trzema gałęziami. Sen nie będzie mocny, ale mam prawo do wygody! Na wszelki wypadek zdejmuję pasek i przywiązuję się do drzewa. Już raz we śnie zleciałam, teraz nie mogę sobie na to pozwolić. Liście mnie skrywają. Jestem wyżej niż Włóczykij, jeśli się pochylę na lewo, widzę miejsce, pod którym postanawia zasnąć.

Jako miejsca do spania drzewa nie mają zastosowania. Są logiczną decyzją, gdy poszycie roi się od jadowitego robactwa i gadów i płazów, które kłębią się na dole. Tutaj takich nie ma. Drzewo to doskonałe miejsce, gdy grunt jest podmokły, gdy w okolicy grasują wilki. Tylko że musimy pamiętać: tygrys i miodojad, jeśli zechce, to wejdzie. Można też zlecieć i się połamać, nie rozpali się ognia, może i liście chronią przed deszczem, ale łatwo znaleźć lepsze miejsce na ziemi. Zimą ślady zdradzają miejsca spania i wtedy lepiej jest móc uciec, a nie sterczeć na górze i próbować unikać strzał.

Dziś klon ma sens. Pozwala obserwować.

Rozwodnione miodowe piwo smakuje całkiem bezsmakowo. Nie szkoda mi wody i piję całą. Przechodziłam przez strumienie, które są co krok, i uzupełniałam. Cieszę się, że nie muszę pić wody z jeziora, nie mam ze sobą żadnego filtru ani czasu na jego skonstruowanie. Żuję jabłko, jabłonie są wszędzie.

Ten las to raj, jeśli chodzi o pożywienie! I widoki.

Pytałam się moich przyjaciół, czemu taki las jest zamieszkały tylko przez niezorganizowanych malutkich rolników, samotników, kilkusobowe bojowe grupki. Zamieszkały przez nas, jesteśmy największą osadą. No i tych świrów od zabijania. Róża mnie zapewniała, że któregoś dnia pewnie zaczną powstawać i wsie i miasta i państwa i będzie ich więcej niż Królestwo i obozy więziennie–wojskowe. Po prostu żyjemy w tym momencie, w którym zaczęła powstawać organizacja. Samo Królestwo jest zbyt młode.

Wojsko eksploruje tereny północne, czemu nie utworzy tu, w naszej południowej części Puszczy, nowej kolonii? Pewnie przez to, że wojsko zawitało na tę stronę gór zaledwie kilkanaście lat temu. Ale jakoś trudno mi zaakceptować, że historia dopiero zaczyna tworzyć. Szkoda, że odpowiedź na pytanie: *co było wcześniej*, brzmi: *nic*.

Zaraz będzie świtać. Coś mi się śniło, jakieś głupoty. Trudno zasypiam i trudno się budzę, na pewno zasnęłam. Pocieram zdrętwiałe nadgarstki, linę pośpiesznie plotę w niechlujny pasek. Jego już nie widzę, ale nim podejść do obozu, upewniam się z dziesięć razy, że nie ma go w pobliżu. Równie dobrze może być za mną, więc skradam się nisko i mam oczy dookoła głowy.

Czy zwinął się dawno? Trudno mi powiedzieć. Spał przy świeżym wiatrołomie, takim, którego jeszcze żadne zwierzę nie zdążyło zamieszkać. Patrząc w kierunku, w którym odszedł – są liczne ślady – i wydaje mi się, że było to dosłownie przed chwilą. Mężczyzny jednak nie słyszę.

Jeśli tropiciel stał się ofiarą, to tylko proszę o szacunek i nie zaatakowanie mnie na „zabij”!

Zbita z tropu, to znaczy – zmieszana, podążam śladem. Napotykam ogryzek ledwo co obleziony przez pierwsze mrówki. Zastanawiam się, po co śledzę człowieka, który podobno jest dowódcą czegoś, a którego można zestrzelić w dowolnym momencie, jeśli tylko ma się odrobinę wprawy niż ja.

Wiem, że kolejny strumień będzie za dwa kilometry. Skraj lasu za... staram się obliczyć na szybko. Dobiegłabym w

ciągu dwóch godzin, a doszłabym tam popołudniem intensywnego marszu. Znam doskonale miejsce, by wspiąć się na górę. Ciekawe, czy mój cel o tym wie, że to tak blisko. Wydaje się dość beztroski.

Zamieram, bo, kurwa jego mać, nie tylko on jest beztroski. Myślę sobie o tamtym ogryzku... a jeśli nie on ten ogryzek zostawił?

Ogryzki na drodze zostawia ten, kto ma pewność, że nikt za nim nie idzie. Włóczykij nie mógł mieć takiej pewności. Drugi tropiciel mógł się czuć znacznie pewniej.

Właśnie tego się obawiałam.

Że zawyżyłam swoje umiejętności.

\*\*\*

W każdym dźwięku wypatruję ludzi, być może tych złych. Wiem też, że jestem za blisko mężczyzny. Wydaje mi się, że i jego słyszę... a może wariuję? Już nabrałam stupocentowej pewności, że nie tropię sama. Daleko zrywa się zwierzę, trafia na mnie, uskakuje w bok. Może zauważyli i mnie i jego i teraz z ciekawości tropią nas oboje? Nie poznam tego.



Słyszę strumień. Stoi nad nim mój cel i uzupełnia wodę. Widać, że jest zaniepokojony. To w końcu odsłonięte miejsce. Jeśli czuje się obserwowany, to słusznie. Przyglądam mu się zza drzewa, jak schyla się na zakręcie strumienia i ostrożnie obmywa sobie biodro poniżej zabandażowanego brzucha. Może dlatego był nieostrożny, pewnie dlatego był zmęczony.

Zastygam jak martwa i urywam oddech w połowie. Nie tropiłam jako jedyna, teraz już mam pewność! Zauważam postać. Jest bardzo blisko, ledwo sześćdziesiąt metrów na lewo ode mnie, po tej samej stronie strumienia co ja. Widzę ją tylko dlatego, że potok zakręca. Tworzymy wraz z Włóczykijem mało romantyczny trójkącik.

Wyjmuję po cichu swój łuk i strzałę i myślę, jak zestrzelić tego piekielnego pasożyta. Będzie to tym trudniejsze, że nie jestem dobra w strzelaniu, ale lepsze to niż nic. Lepsza jestem w rzucaniu, ale noży trzeba potem szukać (albo w trawie, albo w uciekającym człowieku), ach, no i ważna sprawa, ten mój sztylet to by w ogóle nigdy nie doleciał tak daleko. Ze zgrozą stwierdzam, że zakamuflowana postać naciąga swój łuk. Nie bardzo wiem co robić, nie ma szans, bym trafiła z tej pozycji.

Muszę wyjść.

Jestem głupia jak but z lewej nogi, bo jedyne co przychodzi mi na myśl, to...

– Hej! – krzyczę.

Łuk mam naprężony, gotowy do strzału. Tylko pozornie celuję w mężczyznę. Kątem oka spoglądam na cień pod drzewami. Modlę się w duchu, żeby ta zmiana sytuacji trochę zdziwiła postać.

Jedyne czego chcę, to zyskać kilka sekund. Wyjść w odpowiednie miejsce do strzału.

W swoim życiu podejmowałam wiele decyzji i dopóki dotyczyła mnie, a nie osady, to z zasady była głupia. Na nieogolonej twarzy Być–Może–Wadariwona gości grymas ponurego zdziwienia i cichej nienawiści do mnie, mojego łuku i zdrady ze strony Puszczy.

Moje „*hej!*” zawisło w powietrzu.

Szlag, i co ja mam dalej powiedzieć? *Nie ruszaj się, zaraz do kogoś strzelę i wcale nie do ciebie, mimo że to do ciebie celuję?*

Muszę podejść dziesięć metrów, zbliżyć się do strumienia, zmienić kierunek i szybko wypuścić strzałę na lewo. Ile mam czasu? Dziesięć sekund nim postać postawi siebie do pionu i strzeli?

A strzeli do mnie czy do niego?

Mężczyzna jest wyższy ode mnie może być i z piętnaście centymetrów i cięższy na oko o dwadzieścia kilo mięśni, jak nie więcej. Róża powiedziała: groźny jak sto piekieł. No ja nie wiem, czy tak mocne słowa są adekwatne, ale może nie bez powodu nie obawiał się tych złych. Może po prostu strzała spłynie po nim, ledwie go zadraśnie, utknie w grubej skórze pustynnego nosorożca.

Daniel zmuszał mnie do obrywania od potężniejszych od niego, ale czym innym jest kontrolowana sytuacja wśród samych swoich, a czym innym **to**.

*Chciałam się przywitać?*

Słaby, kurwa, tekst. Rezygnuję z niego.

Obym się nie potknęła. Obym przypadkiem go nie zabiła. Wyszłoby niezręcznie, choć moi przyjaciele na pewno uznaliby to za epickie. Byłoby to również ciekawą polityczną zmianą po tej stronie gór. Oby nie zdążył we mnie rzucić sztyletem. Oby też mu było żal sztyletu.

Im bardziej wysuwam się, tym bliżej podchodzę do niego, co nie jest bezpieczne. Sięga po sztylet, a odległa postać jest bliska strzału.

– Uważaj!– krzyczę do mężczyzny, odwracam się szybko w lewo, nawet nie celuję, tylko puszczam strzałę jak popadnie (w moim przypadku celowanie i tak nic nie daje) i od razu robię uskok i pad, taki nawyk, w tej chwili na pewno ktoś we mnie czymś celował.

Miałam rację. Gdy wypuszczam strzałę, mężczyzna sięga po sztylet i rzuca go w moją stronę. We mnie nie trafia sztylet. W mężczyznę nie trafia strzała zacięionej postaci, a ja już dobrze wiem, że i w łucznika nie trafiłam. Mimo szumu potoku, słyszę, jak ucieka przez las. To musiał być dzieciak, tym gorzej, znaczy że wysłany przez świrów. Znam ten schemat. W pobliżu musi być ich kilku albo kilkunastu. Po prostu są. Koniec, kropka. Zawsze są.

Próbuję się szybko podnieść, ale kamienie nad potokiem są śliskie i ponownie upadam, już będąc całkowicie przemoczona. Mężczyzna przyskakuje przez wodę i przytłacza mnie kolanem do strumienia, wykręcając jednocześnie nadgarstek. Druga ręka utknęła mi między kamieniami i nie bardzo wiem, jak mam się ruszyć. To i tak nie jest duży problem, bo uznaję poddanie się za dobrą decyzję.

Ta taktyka jest i zawsze była jedną z najlepszych.

– Wstawaj – cedzi, unosi ostro za kurtkę, szarpnięcie uwalnia moją rękę spomiędzy kamieni. Wyciąga jeden z moich noży, kieruje ostrze w szyję. Nawet nie spróbuję użyć pozostałych.

Nie wiem po co te cyrki, ta demonstracja siły, przecież nietrudno zauważyć, że jestem kurduplem. Na pierwszy rzut oka widać, że trafiłam na znacznie silniejszego i tylko sprytem bym go pokonała. Więc sprytnie nic nie robię. Mój łuk leży w wodzie, strzały są rozrzucone, część pewnie pęknięta.

Tak się kończy niechlujne robienie kołczanów.

Popycha mnie do przodu, jednocześnie lekko oddalając od szyi ostrze. Jeśli teraz się potknę, skończę z podciętym gardłem. Ale czy martwa? To byłby ciekawy eksperyment, którego pragnę nie przeprowadzać.

Adrenalina płynie w moich żyłach obok krwi. Daniel i jego ludzie lubią to. Mnie jeszcze do tego uczucia nie przekonali. „Jeszcze” jest tu słowem–kluczem.

Przechodzimy pod drzewo na mój brzeg, rzuca mnie na ziemię. Schyla się, by być mniej widocznym, przyciska gardło przedramieniem i usta dłonią, bym nie mogła krzyżeć.

Nasłuchuje. Osłania nas z jednej strony drzewo, poza tym las jest pełen krzaków. To i dobrze i źle. Dobrze, bo jesteśmy

mniej widoczni i szybciej usłyszymy wroga. Źle, bo mniej widzimy i pod tym względem łatwiej nas podejść. Nie rzucam się. Znieruchomiałam, bo i ja odruchowo nasłuchuję.

Niełatwe, jedno ucho mam wepchnięte w mech.

A teraz jestem przygnieciona butem.

O co chodzi z tymi butami? Czemu zawsze but na klatce piersiowej? Przecież to nawet nie jest skuteczne. Nie unieruchamia porządnie.

*Proszę cię, nie złam mi mostka. Będzie się naprawiało nad wyraz nieprzyjemnie.*

Po długiej chwili odwraca uwagę od zarośli i kieruje na mnie surowy wzrok.

– I co ja mam z tobą zrobić? – mówi grobowym szeptem. Ma pod sobą całkiem ładną i rozbrojoną dziewczynę, mam nadzieję, że to działa na moją korzyść. Ale teraz, kiedy patrzemy sobie długo prosto w oczy, mogę potwierdzić z całą pewnością. To jest osoba, za którą go wzięłam na początku.

Moja „rodzina”! *Witam, cóż za spotkanie.* Jakims pieprzonym cudem podążałam za najmłodszym księciem Królestwa, który może mnie spróbuje zabić, może spróbuje torturować dla wyciągnięcia informacji o Puszczy, nie wiem, bo go w ogóle nie znam, bo go tylko dwa razy na oczy

widziałam kilka lat temu, ułożonego, ogolonego, w złotej szacie i tak dalej. Jego bracia, poza Dobromiłem, nie byli zbyt normalni.

Nikt by nie był przy takim pochodzeniu.

Krztuszę się i duszę i nie mogę wydusić z siebie nic ponad zdławiony jęk, but dalej przyszpila mnie do ziemi i do ziemi przyszpila też jego wzrok. Jeśli mam się tłumaczyć, mój „księciu na białym koniu”, poluzuj mi trochę, daj oddech i zrób to szybko, bo ten chłopiec, co do ciebie celował, zaraz przyprowadzi resztę. A wtedy oboje będziemy w prawdziwych tarapatach. Moja zdolność zdrowienia nie pomaga w takich sytuacjach – zdrowieje się po obrażeniach i potrzeba na to czasu. Jeśli obrywam, to nie goję się magicznie od razu. Jeśli ktoś wpakuje mi strzałę w serce, poderżnie gardło, odetnie głowę, to nie wróżę sobie długiego życia. Istnieją również inne nieszczęścia, których chciałabym uniknąć.

Miną proszę, by przestał mi kruszyć kości, serce nie ma miejsca by bić. But zdejmuj trochę ciężaru.

– Próbowałam cię uratować – o rany, jak *źle* to brzmi. – Celował w ciebie ktoś, kto chciał cię zabić.

Nacisk buta wraca.

– To ty we mnie, kurwo, celowałaś.

*„Kurwo”? Jeśli podejmiemy walkę na bluzgi, przegrasz z kretesem.*

– Widziałam nad rzeką postać. Nie miałam jak wycelować, musiałam wyjść.

Nie jestem napakowanym wielkim mięśniakiem, by moje ciało stawiało opór butowi. Mój mostek zaraz pęknie. Może to ten moment, kiedy trzeba się bronić? Wyślizgnąć, odepchnąć, przewrócić i zwiać?

– Mostek... połamiesz... – mówię na wydechu.

– I dobrze, ty kurwo. Chciałaś mnie zabić. Powinien odpowiedzieć tym samym.

Prawdziwa złość. Zmarszczony nos i falujące skrzydełka nosa.

Grozi mi człowiek, który spacerował sobie po tym lesie jak po własnym ogródku i którego śledzić mógł choćby i żubr. Może dlatego jest sam. Może go jednak wywalili z wojska. Może był chujowym dowódcą.

Zdobywam się jeszcze na jedno.

– Dar... – mówię na resztce powietrza.

But schodzi z klatki, nóż wraca do szyi. Mogę oddychać!



Gdzieś tam daleko zerwał się wiatr, a wraz z nim kilka ptaków. Krakanie nad głową (może to nasz kruk...?). Oby to właśnie podmuch powietrza i nagły ruch starych buków zmusił zwierzęta do wzbicia się w powietrze. Oby to wiatr, a nie inni, obcy i zamroczeni agresją ludzie.

– Znam cię. Zobaczyłam cię wczoraj nad jeziorkiem i postanowiłam odprowadzić na Skraj lasu. Od rana śledził cię jeden ze świrów. Podeszłam do strumienia i celował do ciebie. Nie miałam jak wycelować w niego, więc wyszłam.

– Celowałaś we mnie, nie w niego. Potem dopiero wypuściłaś strzałę w inną stronę – mówi grobowym głosem. Ładnym nawet.

– Broniłaś siebie, nie mnie.

*Cóż mam ci rzec.*

– To było głupie, przepraszam. Nie jestem w tym dobra. Musiałam mieć przygotowaną strzałę i miejsce. Spudłował, bo robił już unik.

Patrzę na niego najniewinniej jak tylko się da, przygryzam wargę i zaraz wydymam lekko rozchylone usta, niby przerażona, głęboki wdech, pierś mi faluje, *no hej!* przecież nie zabijesz pięknej młodej kobiety! Łza spływa mi po policzku, torując sobie drogę przez wtarte soki liści i torf,

który odbił się na mojej twarzy. Ta łza pewnie dodaje mi nieco uroku. Prawda jest taka, że mam coś pod powieką i chyba zaraz umrę! tak mnie to drażni.

To się dzieje dosłownie sekundę. Widzę, że chce mi przygrzmocić w głowę, całkiem zrozumiała decyzja, w końcu nie ma powodu, by mnie puścić, ani zatrzymać przy sobie, za to miałby pewność, że za nim nie polezę. W tej samej sekundzie znajduje się jej ułamek, w którym on jednak nie ma pewności, czy to zrobić. No bo ładna jestem. Sekunda kończy się moim:

– Nie.

– ...nie?

Nie ma mowy, bym zgodziła się na jego propozycję trzepnięcia mnie do nieprzytomności. Nie jest zbyt atrakcyjna, świry mnie znajdują, to ostatnia rzecz, której w życiu pragnę. Staram się mówić normalnie. Ta trzytysięczna banda w naszej osadzie zwykle wymusza na mnie bardziej zdecydowany ton. A ten teraz nie pasuje do roli.

– Jesteś w większym niż ja niebezpieczeństwie.

– Oświeć mnie, w jaki sposób ja jestem w niebezpieczeństwie, bo to ty masz nóż na gardle.

– Przecież ten chłopak przyprowadzi w ciągu pół godziny kilku swoich. Znają teren lepiej od ciebie. Te grupy tak działają.

I po co ja mu to mówię? Poza tym właściwie wcale nie mam pewności, czy jesteśmy osamotnieni. Jesteśmy kilkadziesiąt kilometrów (może czterdzieści, może pięćdziesiąt, trudno mi dokładnie ocenić) od naszej osady. To dość dobrze kontrolowany teren przez naszych ludzi. Ale wiadomo, że te świrnięte szczury i tutaj docierają bez większych problemów. Jeśli zechcą, unikną naszych i nawet jeśli patrole są nieopodal (słyszałam kruka!) niekoniecznie ich zauważą i pomogą.

– Według mojego osądu, zostały nam do Skraju maksymalnie trzy godziny biegu. Może dwie. A oni zjawią się... – robi pobłażliwą minę, a ja sobie myślę: dobre ramiona. Przydałyby się nam, lawiruję gdzieś między rolą dowódcy, a nową rolą osoby, która nie musi się martwić takimi rzeczami, jak rekrutowanie i siła robocza, po prostu nie muszę sobie głowy tym zaprzętać. – Oni zjawią się za pół godziny. Część z nich na pewno dobrze biega. Jeśli będziemy zwlekać lub maszerować, nie dożyjemy wieczora. Gwarantuję ci.

Taka prawda. Choć kto wie. Ja tam zawsze mam większe szanse.

A skąd wiem, że mamy akurat tyle czasu? Po prostu znam ich. Wiem, jakie odległości utrzymują, jak działają.

Patrzy na mnie podejrzliwie, ale widzę, że zasiałam w nim niepokój.

– Skąd mnie znasz?

– A jak sądzisz? – odpowiadam z nutką nagany. No bo skąd mogę go znać? Litości. Jest dowódcą wojsk i królewskim synem. Można go nie znać tylko wtedy, gdy przez całe życie było się jednocześnie i głuchym i ślepym.

Bycie dwórką również pomogło w rozpoznaniu.

\*\*\*

Dziesięć minut straciliśmy na tej kotłowninie i pogaduszce. W końcu odebrał mi dwa noże, upewnił się, czy nie mam przy kostce, zabrał jeszcze jeden, przeleciał dłońmi po ubraniach. Czwartego nie miał prawa zauważyć. Odnalazł swój sztylet, zebrał strzały i łuk i puścił.

– Umiesz strzelać, nie? – podejrzliwie pytam się Włóczykija i od razu tego żałuję, bo patrzy na mnie jak na

robala. To znaczy, że albo zadałam głupie pytanie, albo wręcz odwrotnie – bardzo celne.

Mam wspomnienia z Pałacu, jak to nie każdy z książąt był doskonały w różnych formach walki, więc i on nie musi być we wszystkim mistrzem. Przecież bycie dowódcą nie oznacza, że się jest od razu doskonałym we wszystkim. Daniel nie jest. I reszta też nie jest. Ja nie jestem.

Może nie powinnam zadawać takich pytań. Obrażać go. Poza tym pewnie, że umie strzelać. Durne pytanie.

– No to lecimy – mówię głosem pełnym fałszywego animuszu. Dwie godziny biegu i jesteśmy poza lasem. Umordujemy się jak zaszczute zające, ale będziemy poza zasięgiem. I wysuszę sobie ubrania...

– Prowadź w takim razie najkrószą drogą. Wyczuję podstęp, zginiesz. Rozpoznam całkiem zły kierunek.

Puszczam się biegiem w swoim tempie i co chwila oglądam za siebie. On ma gorsze buty od moich, no cóż, na tworzeniu swoich spędziłam chore długie godziny, całe zimowe wieczory. Nie mija więcej jak dziesięć minut, a widzę, że mężczyzna zostaje minimalnie w tyle. Niewiele, ale wiem, że ta odległość będzie rosnąć. Nie chodzi o kondycję, chodzi o zwinność.

O rany.

Jeśli któreś z nas się zmęczy, skręci kostkę, naderwie ścięgno, albo po prostu źle odnajdę się w terenie (linia dobrego wejścia na Uskok to zaledwie dwieście metrów), oboje będziemy w dużych tarapatach. Zwalniam trochę. Przeskakujemy kolejne gałęzie, strumyczki, nierówności – każde ominięcie to wydłużanie drogi – staram się wybrać najwygodniejszą trasę. Nasz trop jest wyraźny, ale konsekwentnym ruchem do przodu wywiniemy się.

Mija trochę czasu, musimy przejść do marszu, zarośla zrobiły się gęstsze, musimy się też nieco wspinać. Słyszę oddech mojego towarzysza. Nie śmiem na niego patrzeć, wiem, jak wielki wysiłek sprawia mu ten bieg z przeszkodami w tempie, które dla mnie jest pestką. Taki bieg jest naprawdę trudny w porównaniu do biegu po otwartej i równej przestrzeni, do której musiał nawyknać.

A my nawet w połowie nie jesteśmy!

Nie ma sensu targać nadmiarowych kilogramów w formie wypełnionych bukłaków. Schylamy się nad małym źródelkiem i pijemy na zmianę obserwując otoczenie. Robimy to automatycznie, oboje przywykli do chronienia

współtowarzyszy. Bardzo sympatyczne odruchy, nawet jeśli oboje sobie nie ufamy.

Zaraz musimy wspiąć się pod górkę, to jest właśnie to miejsce na pokonanie Uskoku. Po drugiej stronie, zgodnie z moją pamięcią, rozciąga się długa polana. Puszczamy się jej skrajem. Zwalniam, żeby biec koło mężczyzny.

– Ta rana. Bardzo ci dokucza? – pytam się i mam nadzieję, że mój głos jest przepełniony troską. Nie wyszło. Też jestem zziajana. Jest gorąco.

– Nie.

– Na pewno nie? Przed nami wciąż kawał drogi. Dasz radę?

Nie bardzo wiem jak i kiedy się to dzieje, ale ląduję przyparta do drzewa, z przedramieniem na szyi. Już mniej sympatyczny odruch, ganię go w myślach.

– Nie interesuj się za bardzo. Wiem, że prowadzisz mnie do Skraju, potrafię to poznać. Ale niepokoi mnie ten bieg. Jeśli uważasz, że możesz mnie zmęczyć i że padnę tutaj od otwierającej się rany, to się przeliczyłaś.

Odpycham go na bok. Zbyt silnie, zbyt sprawnie, niedobrze. Mam ochotę pobiec i zostawić go w tyle. A niech

zdechnie. Nie prowadzę go w pułapkę, tylko z niej wyprowadzam.

Nie daje po sobie poznać, że odnotował moją reakcję, sprawne odepchnięcie, a nie bezwiedne szamotanie się – a może jednak nie zwrócił na to uwagi? Każdą głupią rzecz, jak choćby odepchnięcie można zrobić z wprawą, nie marnując energii, dobrze ją przykładając. Może zaliczył to na poczet zwykłego zachowania osób, które nieco więcej czasu spędziły w Puszczy. Tropiłam go, wyleciałam z łukiem i nieprędko dostaję zadyszki. Oby kolejne tego typu drobiazgi wtopiły się w mój wizerunek zwykłej ogarniętej osoby.

Drobne rzeczy zdradzają człowieka. Na drobiazgach stoją ludzkie relacje. Pozory są bardzo trudne do sprawiania, gdy chodzi o elementarne sprawy. Karol jest w tym niezły, w sprawianiu pozorów. A ja mogę tylko próbować sztuczek.

Tego próbuję.

Wystraszone oczy. Śliczny uśmiech. Puszczam przepraszający wzrok.

Biegniemy dalej.

\*\*\*



Sama jestem zmęczona. Mój przeniesympatyczny towarzysz nie odezwał się już do mnie ani słowem. Widzę, że jest zdyszany nieporównywalnie bardziej ode mnie. Jego mina nie wyraża jednak zmęczenia. Dla niego pewnie to chleb powszedni, męczenie się.

Zaczynam się bać. Co ja, do licha, wyprawiam. Wyprowadzam na bezpieczny teren seryjnego mordercę, bo to poprawne określenie doświadczonego żołnierza.

Który do tego ma moją broń i nie jest miło do mnie nastawiony. Wciąż mam co chwila szansę zwiać. Ale nie uciekam *przed nim*. Uciekam *wraz z nim*. Swoją drogą, czy moja rozleniwiona Grupa jest bezpieczna? I tak teraz nic nie zrobię.

Znów ten pokrakujące ptaszysko nad głową. Poznaje okazję do posilenia się?

Dzień ma się ku końcowi i musimy jak najszybciej wyjść poza las, co jest naszą gwarancją bezpieczeństwa. Ups, *jego* gwarancją bezpieczeństwa. Bo ja dalej będę musiała poradzić sobie z zagrożeniem z *jego* strony.

Godzina biegu i zwijam się do przyjaciół. Już wystarczy mi przygód... a może tropiąc go, wyśledzę coś ciekawego? Jakiś obóz? Jakies zbiorowisko ludzi? Może będę mogła sobie

kogoś sprowadzić do Puszczy? Moja Grupa byłaby szczęśliwa, gdybym znalazła kolejnych kilkudziesięciu członków prosto z wojskowego obozowiska! Ale byśmy zyskali na sile!

Grupy są wygodne. Traktujemy ich jako całość, hurtowo. Albo są dobrze zgrani i chętni współpracy i wtedy bez problemu wchodzą w naszą społeczność, albo arogantcy i szyderczy i wtedy mają problem.

Buty mimo starannego wykonania zaczynają uwierać, skarpetki spadły. Mijamy wielki głaz i dobrze wiem, co to za głaz. Jest oznaczony niezauważalnie dla niewtajemniczonych. Pod tym głazem kryje się skrytka, tam pozostawiamy sobie wiadomości. Takich skrytek mamy bardzo dużo, bo nie zawsze ma się ptaki na wysyłki i nie zawsze jest potrzeba je wysyłać.

Ile teraz nam zostało? Dosłownie niedaleko. Kilometr?

– Dar? – zwracam się do mojego towarzysza.

– Wadariwon – mimo biegu, oschle mnie poprawia. *Dar*, tak o nim mówiła Dobra i inni w Pałacu. Najwyraźniej w moim przypadku zdrobnienie to zbytne spoufalanie się.

– Jesteśmy niedaleko, kilometr został. Czy możesz dobiec tam sam? Trafisz już.

O tak! Doskonała próba! Prośba o zgodę na rozstanie się!  
*Wii! Fanfary! Gratulacje!*

Za dużo czasu spędzasz ze swoją fajną Grupą i przywykłaś, że można zadawać takie pytania. Ale teraz należy zwiewać, a nie uprzejmie to zapowiadać, albo jeszcze lepiej – pytać się o zgodę. Aha!

– Chyba sobie żartujesz. Biegiesz do końca. Przodem.

Przodem... Zaczynam się bać, zaczynam się bać, że mnie nie puści, że mnie zwycięży, pozostawi na stepach ledwo żywą i cudem gojącą się.

Agresja tych świrów nauczyła naszą osadę spokoju i zaufania względem siebie. Nie ufamy sobie w tym sensie, że nie traktujemy siebie jak wielkiej rodziny, ale zakładamy, że komunikujemy się ze sobą, a jak ktoś wygląda na zagubionego, to pomagamy. Czy wojsko na Pustce będzie się trzymać tych zasad względem nas? Raczej potraktują jak zwykłych uciekinierów i niepokornych degeneratów. Albo jak leniwych hippisów, którzy strzegą magicznych sekretów przetrwania w Puszczy.

Moi przyjaciele mówili, że wojsko w naszych lasach to stosunkowa nowość. Że to kwestia ostatnich lat, czterech czy trzech. Zupełnie go nie ogarniają, zwykle po prostu wycinają

w pień, nawet nie próbują go oswoić. Zachowują się, jakby kochali Skraj i Pustkę. Nie rozumiem tego!

Zwalniam i czuję, że coś jest nie tak. Silnie i natychmiastowo. Jest **źle**.

– Uważaj! – krzyczę i słyszę, że mój głos zlewa się z jego tym samym okrzykiem. Lądujemy na ziemi i chowamy za najbliższym zwalonym drzewem. Nad głową śmigają dwie strzały. Znikają wbite gdzieś w mchu.

Patrzę na Włóczykija z przerażeniem. Odebrał mi łuk i noże, czwarty nożyk przyblokował się w materiale, nie mogę go wydobyć. Bezgłośnie wypowiadam *broń* i błagalnie patrzę na głowice wystające zza jego pasa. Jednak zamiast oddać mi broń, sięga do kołczanu, który sobie zarzucił przy strumieniu. Przez chwilę wygląda ponad gałąź i wychyla się od razu celując i puszczając. Sądząc po braku krzyku, nieskutecznie. I jeszcze raz. Bagaż zostawił na ziemi. Próbuję sięgnąć po któryś z pozostałych noży, ale plecak jest dokładnie zasznutowany.

Postać naprzeciwko nas. No nie! Daj mi sztylet! Albo łuk! Pieprzony łuk! Strzelam jak trzyletnie dziecko z amputowanymi dłońmi, ale chociaż mam jakiegokolwiek szansę! Widzę kątem oka, przeklęty świr celuje we mnie, przekręcam

się na bok. Strzała prześlizguje się po kamieniu. Włóczykij przypada z powrotem do mnie, chwytając kolejną strzałę z kołczanu i trafia tego, który przed chwilą we mnie celował, nie mam czasu na przyglądanie się, gdzie oberwał, ale szczęścia to ten człowiek dzisiaj nie miał.

Czyli umie strzelać. Wychodzi na to, że dobrze, że zabrał mi łuk. Mnie by poszło gorzej, pewnie nie zdążyłabym naciągnąć cięciwy.

– Lecimy! – zakrzykuję i zrywamy się, błagam świat, by nie skończyć ze strzałą wbijaną w plecy lub kark. Czy moje ciało łatwo poradziłoby sobie z przebicciem płuca? Nie chcę dzisiaj poznawać tajników mojej anatomii i immunologii.

Słyszę ich tuż za sobą. Nie mają takich umiejętności, by skutecznie strzelać w biegu. Takich umiejętności nie mam również ja. Dar może ma? Ale nie ma już strzał. Rzucił mój łuk gdzieś na bok i byłabym na niego za to wściekła, bo to był prezent od Karola, ale jestem śmiertelnie przerażona. Świry potrafią uprzykrzyć ostatnie dni ludzkiego życia wymyślnymi torturami, a ze mnie to już w ogóle by się ucieszyli.

*Podobno* potrafią uprzykrzyć, bo, ważna informacja, prawie nikt od nas nie trafił w ich ręce. Słyszeliśmy to od nowych, którzy ledwo uszli z życiem.

Teraz świry gonią nas, byśmy znaleźli się w miejscu łatwym do strzału. To miejsce to jednocześnie nasza jedyna szansa na urwanie się.

Drzewa się kończą i wybiegamy prosto na Skraj. Pędzimy jak najgłębiej w trawiasty step, ze świadomością, że za dwieście–trzysta metrów będziemy uratowani. Oni z Puszczy na pewno nie wyjdą. Nie wiem czemu. To świry!

Strzały już za chwilę nas nie dosięgną. Świst i popchnięcie, przez które tracę równowagę. Potykam się, ale nie upadam i biegnę dalej. Dar zwalnia i pada na ziemię. Zatrzymuję się i patrzę w przestrachu. Czy coś mu się stało? To mam teraz uciekać przed nim, czy dalej pielęgnować swój instynkt opiekuńczy?

– Hej, Dar? Wadariwon?! – podbiegam do niego, nie widzę u niego strzały, gdzie strzała? Przez myśl mi przechodzi, czy mogła przelecieć na wylot? Co mi nie przechodzi przez myśl, to że przecież ja jestem tą, co przed chwilą oberwała. Krew nie zdążyła wyciec na plecy. Jak się okaże za kilka tygodni, obrywanie strzałami to jeden z moich talentów.

– W porządku?!

– Uciekliśmy im.

Dociera do mnie, że zatrzymał się nie z bólu, tylko po to, by wreszcie odpocząć. Dociera do mnie również, że moje stopy są zryte do krwi. Nie jest to żadnym problemem w porównaniu do faktu, że z mojego barku wystaje strzała. Potrzebuję jeszcze dwóch sekund, by wreszcie świadomie poczuć pulsujący ból i ciepło rozplływające się po łopatce. A ten wciąż klęczy na ziemi i dyszy i trzyma się za bok.

To jest dokładnie ten moment, kiedy należy i jemu uciec! Strzała... Dosięgam ją jedną ręką, ale nie mam takich sił w palcach, by ją złamać... *pfu!* nie łamać, tylko wyciągnąć. Boli niewyobrażalnie. Podnoszę się i oceniam jednym spojrzeniem, gdzie mogę pobiec. Nie ma łuku, ale ma moje noże. Czy jeśli teraz puszcze się biegiem, nie oberwę również od niego? Kto jest mniej wydolny – on fatalnie umordowany i ze starą raną, czy ja? Ze świeżym ciężkim obrażeniem i zakrwawionymi stopami i bez broni?

Nie ma co tego rozważać, okaże się to w praniu. Dwa kilometry na południe zaczynają się trzciny nadwodospadowe. Tam mam szansę się przed nim ukryć. W zamroczeniu nie wpadam na prosty pomysł zostania, odpoczęcia, porozmawiania, przedstawienia się, poproszenia o pomoc. Puszczam się biegiem nawet nie oglądając się za siebie.

Oglądanie się za siebie to ryzyko potknięcia się, ja chcę dać z siebie teraz wszystko. Kilka skoków w bok, na wypadek, gdyby we mnie rzucał. Zaciskam zęby i staram się ignorować rękę.

Nie da się. Ale pech, strzała weszłaby płycej, gdyby trafiła na ramiączko plecaka... Muszę biec trochę bokiem, z lekko wyprostowaną ręką, niweluję ból, który narasta z każdą chwilą. Wyciągam nogi jak najdalej mogę, z wizją odległej nagrody, odpoczynku i bezpieczeństwa.

Nie przebiegam nawet pięćdziesięciu metrów.

Mężczyzna mnie dogania, podcina i zarywam o ziemię. Uderzam głową o kamień. No pięknie. To chyba największe nieporozumienie w mojej pożał-się-boże- mocy. Że leczy obrażenia, ale przed nimi nie chroni.

*Moja mała akcja ratunkowa zakończyła się czymś na rodzaj sukcesu!*

To tyle na dzisiaj.

\*\*\*

Próbuję skupić wzrok. Leżę trochę na boku, trochę na brzuchu. Mało gwiazd, dużo chmur. Co jeszcze jest? Jest



ognisko. Bije od niego światło i ciepło. Poza tym czuję się, jakby ktoś mnie zdzielił kijem po łbie i poprawił ostrzem w bark. Co na dobrą sprawę za bardzo nie odbiega od prawdy.

– Dobry wieczór – wita mnie męski głos, który zdążyłam doskonale wczoraj poznać. Głos jest spokojny. To dobrze, myślę sobie. Spokojny. Na razie nie jest źle. *Ognisko, ciepło, spokojny głos*. Nic fatalnego.

– Dobry wieczór – odpowiadam. – Długo jestem nieprzytomna?

– Nie, grzmotnęłaś głową o kamień. Minęło tylko kilka godzin.

Kilka godzin! Jak na mnie to dużo. Musiałam nieźle przyrznać, no i ten bark... Próbuję się przekręcić i orientuję się, że moje nogi są związane tuż przy sobie, a zdrowa ręka skrepowana u pasa. Czyli jednak nie jest tak różowo.

Z mojej rany wystaje szmatka. Nie widzę tego, w końcu strzała ugodziła w plecy, ale czuję. Jest ten zwyczaj, by wpychać do ran szmatki nasączone ziołami, ale chodzi też o to, by kłuta rana za szybko się nie zabiźniła. To ma sens na późniejszym etapie i w przypadku normalnych ludzi, nie w moim. Będę musiała sobie tę szmatkę jak najszybciej usunąć bez wzbudzania podejrzeń.

Rany od strzał są straszne. Jeśli się zasklepią, ale nie wyleczą w środku, można stracić życie. Pozostawiona drzazga? Trucizna? Uszkodzenie kości? Zakażenie przez kontakt z ziemią bądź brudnymi dłońmi osoby, która opatrywała w terenie? Tyle możliwości. Leczy się długo i paprze.

Pewnie przez tego obszarpańca, który okazał się jak do tej pory źródłem problemów i moją pomyłką, skończę jako kobieta–legenda, która źle wybiera mężczyzn. I nigdy nie pójde do żadnego psychologa o tym pogadać, ponieważ tutaj nie znajdę ani jednego psychologa. Nawet wróżek nie ma!

– Czemu mnie związałeś?

Bezpieczne zaczęcie rozmowy. Trochę jak: *co tam u ciebie?* Tylko odwrotnie.

– Żebyś nie uciekała.

– Aha.

– Spróbowałabyś uciec i gdzieś się po drodze powykrwawiała.

*Raczej nie.*

– Nie lubisz Puszczy, co? – rzucam do niego próbując jakoś zagaic i może na razie odwlec moment, w którym będę

się musiała prezentować. Nie mam niestety przygotowanej wiarygodnej bajki.

– Nie lubię.

Ja tam lubię las.

Las jest do polubienia, jak się już pozna jego zasady.

Może się nam wydawać, że co to takiego, kolejny las, las jak las, każde miejsce fajne i dobre, tylko trzeba bagno ominąć i w pszczoły nie wdepnąć. To nie jest prawdą. Nasza puszcza to Puszcza.

Nie dziwię się, że ktoś taki jak on, czyli osoba spędzająca czas na stepach i na Pustce, może lasu nie lubić. Tak jak osoba urodzona na statku będzie się źle czuć w górach. To nie kwestia przyzwyczajenia, ale jakiegoś takiego... osadzenia w świecie. Dla mnie jest oczywiste, że czasem się można zgubić albo oberwać po twarzy gałęziami przeciskając po krzakach. Dla ludzi z Pustki sam fakt, że widzi się na maksymalnie sto metrów, jest osaczający. Dla nas to ciepła, przytulna wolność labiryntów i omszałych ścieżek.

Ja tam lubię las.

Więzy wpijają się w skórę, coraz mocniej to odczuwam, mógłby je poluzować. W moich marzeniach królewski syn

wiązał mnie w innych okolicznościach, w innym kontekście i jednak z większym moim przyzwoleniem na to.

A, no i w tych marzeniach to miał być inny z królewskiego rodzeństwa.

– Strzała przeszła prawie na wylot. Niestety weszła głęboko. Złamała się tuż przy skórze, gdy upadłaś.

*Trzeba mnie było nie upadać, panie księżę dowódco.*

– Wyjąłem ją całą, nie została ani drzazga. Strzała nie była zatruta, nie wyglądała na nasmarowaną.

– Wyrzuciłeś ją?

– Tak.

– Szkoda.

Chętnie bym ją sobie obejrzała. Oni trują strzały i robią to poprzez odpowiedni dobór drewna, a nie nasączenie. Jest taki krzak, zwie się bardzo adekwatnie – jadziec. Krzak jak krzak. Bardzo szybko wzrasta po pożarze, lubi rosnąć samotniczo, na żyznych glebach. Może dlatego jest tak trujący. Jak przyjdzie łoś albo inny tapir, to trującego drzewa nie ruszy. Trzeba go ciąć w rękawiczkach. Jak się wysuszy, to można już normalnie dotykać, ale jak dotknie rany albo śluzówki albo jak się złamie w ciele... Objawy nie pojawią się od razu. Raczej po pół roku. Trochę jakby jadziec jakiegoś

wirusa przenosił, albo po prostu był kancerogeny? Tamci używają tego drzewa chyba z czystej złośliwości, strzelają w nas jak w szczury. Odpowiadamy tym samym, tylko bez potrutych strzał.

Etos honorowego wojownika kiedyś nas zgubi. Choć w przeciwieństwie do tamtych, my zazwyczaj strzelamy skutecznie.

Muszę sprawdzić za pół roku, czy wciąż żyję.

– Dostałaś prawie do kości. Będzie się trochę goić. –  
Przez chwilę milczy. – Powinno się wygoić. Być może.  
Będzie dobrze – pociesza mnie.

Troskliwy! Miło to słyszeć. Wysyła w moją stronę spokojny uśmiech. Uśmiech człowieka, który został uratowany przez osobę, która mu zupełnie nie zagraża: jest ranną, związaną dziewczyną.

Teraz to już może się do mnie uśmiechać...!

– Mógłbyś mnie uwolnić? – pytam się tępo. – Nie zrobiłam ci nic.

Opatrzył mnie, więc chyba nie ma złych zamiarów. Jakie są jego plany? Pogadać sobie miło, wyleczyć i pożegnać się? Nie znam go. Wiem tylko jak ma na imię i kim są jego rodzice i tyle. Chcę znać jego plany. To, jaki jest i co robi z ludźmi.

Jesteśmy bardzo młodą osadą, ale czas nam już wiedzieć takie rzeczy.

– Co ze mną zrobisz?

Patrzy się w ogień. Nic nie mówi.

To ciekawe uczucie, namawiać kogoś do rozmowy...

– Dar, co ze mną zrobisz?

– Nazywam się Wadariwon.

*Uh! Serio?*

– Czemu nie pozwoliłeś mi odejść?

– Bo uciekałaś.

– I?!

– Ucieka ten, kto jest winny. Ucieka ten, kogo trzeba złapać.

– Albo ten, kto się boi! – Przerywam i coś mnie niepokoi.

– Rozumiem, że w tętnicę nie dostałam?

Rzuca mi pobłażliwe spojrzenie, właśnie rzuciłam pytanie na swoją korzyść. Pytanie świadczące o tym, że nie jestem obyta z ranami, ze śmiercią. Pytanie świadczące o tym, że nie mam doświadczenia z walką i obrażeniami. Pytanie pozornie głupie. Doskonale!

– Nie. Raczej nie byłabyś w stanie sobie teraz tak gadać.

Albo byłabyś martwa.

*Raczej nie.*

– Ale nie jest źle. Możesz ruszać ręką, tak?

– Tak – odpowiadam wykonując kilka niezgrabnych i bardzo nieprzyjemnych ruchów.

Znacie to uczucie, kiedy po wyczerpującym treningu zakwasy pomagają wam odkryć, że gdzieś macie mięśnie, o których istnieniu nie mieliście pojęcia? Rana postrzałowa generalnie również wam to uświadomi.

Zakrzepica, martwica, zakażenie, wtrząs, ropa, gangrena, heja! Czym ja oberwę w ciągu następnych godzin i jak szybko ciało się z tym upora? W dwie godziny czy w dwa dni? Na razie dotyka mnie tylko lekka gorączka.

– Muszę się wysikać.

Nie komentuje. Rozwiązuje mi nogi i ręce i przewiązuje na nowo. Dalej mam obwiązane liną i nadgarstek i stopy, ale nie są już powiązane ze sobą tak ciasno.

W blasku ogniska nagle coś zauważam. Czy... czy to jest moja lina? Przecięta? Jeśli jest gdziekolwiek przycięta, to stanę na głowie, by pójść z Darem, uspić jego czujność i gdy się nie będzie spodziewał, udusić za to.

Unosi mnie na ręce, przenosi dwadzieścia kroków, stawia na ziemi i odchodzi. Sikam i skupiam całą swoją

uwagę, żeby zrobić to jak najciszej i się nie wywrócić przy tym. Doceniam, że dał mi prywatność. Większą niż w wozie, którym mnie wieźli cztery lata temu na Pustkę, gdzie wydałało się przy wszystkich, przez dziurę w podłodze.

Nie daję rady iść, nogi mam skrępowane sznurkiem (czy liną...?), a w ciężkiej głowie mi się kręci. Wołam go. Dar wraca po mnie, bierze na rękę, *bardzo to wszystko urocze i słodziutkie*, kwaśno kwituję. Zwraca uwagę, by moja przestrzelona ręka nie przylegała do jego, by mnie nie bolało. Nie pomaga, niestety.

Nie podobają mi się te otwarte przestrzenie. Nie podobają mi się bardziej niż wydarzenia sprzed kilku godzin. Ale przy mnie jest teraz tylko jedna osoba, a nie trzy tysiące. To daje poczucie spokoju i zasypiam od razu.

Tak zakończył się dzień, w którym spotkałam Wadariwona, najmłodszego księcia Królestwa i dowódcę wojsk na Pustce. Dzień ten nie był najlepszym dniem mojego życia, choć pozostanie niczym w porównaniu do tego, w którym Wadariwona pożegnam.

\*\*\*



Budzę się o świcie. Gdy tylko się poruszam, mężczyzna siada.

– Nie miałeś wartownika na zmianę – stwierdzam.

Odzywa się we mnie ta, która zawsze pilnuje takich rzeczy, jeśli akurat nie ma Daniela albo Radego albo innego z tej brygady od troszczenia się, zabezpieczania, obserwowania i spuszczenia wpierdolu. Jestem ranna, jestem związana (wciąż!) i tym bardziej nie podoba mi się, że nocą nikt nie stał na warcie. To już zupełnie nie miałabym szans, gdyby jakieś większe drapieżniki opuściły Puszcę.

– Łatwo się budzę.

– Yhm.

Chciałabym się wysmarkać, znowu wysikać. Ręka pulsuje, ale poza tym jest znacznie lepiej. Niepotrzebnie panikowałam. Kochane ciało! Dobra robota.

Mój pożał–się–boże towarzysz kładzie się na plecach i przez chwilę drzemie. Rozglądam się na boki. Wczorajsze ognisko było malutkie, najpewniej rozpalone tylko po to, by zdezynfekować rany. Nie dopaliło się, zostało zasypane. Próbuję ocenić, gdzie jestem. Nie jestem tam, gdzie grzmotnęłam głową o ziemię. Nie potrafię ocenić odległości od lasu, no bo leżę, co ja niby mogę po kamieniach i krzakach

poznać? Po tym jak mnie wczoraj podciął, musiał mnie przenieść. Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

– Daleko mnie przeniosłeś?

– Sto metrów na twoje lewo jest strumień. To już sobie sama oszacuj.

Strumień...! Jeśli go zobaczę, to będę co do metra wiedzieć, gdzie jestem. I nie dziwię się, że zakłada, że znam tutaj każdy strumień. No bo znam.

– Jakoś musiałem ci tę ranę naprawić. Opłukałem przegotowaną wodą i przypaliłem. Miałaś szczęście, że zemdliałaś, grzebanie ci w ręce na żywca raczej nie byłoby przyjemne.

*Raczej nie.*

Siadam z trudem i przyglądam mu się. Robię to dość bezczelnie. Dobrze mu z oczu patrzy, o dziwo. Już w tej chwili powinnam się przemianować z “Wili” na syndrom sympatii ofiary.

Widać, że na co dzień nie nosi brody ani wąsów, że są efektem zwyczajnego zapuszczenia się. Bije z niego statyczna pewność, której nie miał w Puszczy, choć próbował tego nie okazywać. Żołnierze, gdy wracają na stepy, odzyskują animusz. Wiedzą, na czym stoją. Gdy do nas przybywają

wojskowi dezenterzy, czasem potrzebują i kilku miesięcy, by się przestawić i nabrać wycucia w nowym świecie.

– Uratowałam ci wczoraj skórę, za co się odwdzięczyłeś zrobieniem sobie ze mnie jeńca. Dziękuję za opatrzenie rany. Wypuścisz mnie?

Patrzy na mnie z niechęcią, sięga po nóż – *niepokój* – majstruje przy węzłach, nacina sznurek (nie mój sznurek), więzy puszczają. Roztarłabym kostki, ale ramię daje mi w kość i nie chcę napinać mięśni. Skrzywiam się, twarz muszę mieć kredowobiałą.

– Jeśli masz co ze sobą zrobić, to oczywiście jesteś wolna. Jak wy wszyscy – i mówi to machając na las. Na twarzy ma wypisaną rezygnację. Nie patrzy na mnie, tylko zaczyna do końca maskować palenisko.

– Jakkolwiek wciąż ciekawi mnie skąd rozpoznajesz moją twarz i czemu uciekałaś.

Dezercja. Podejrzewa mnie o bycie dezenterką i pyta się z którego dokładnie obozu nawiałam. Większość ludzi w tych lasach to ci, co zwiali z obozów wojskowych, co jest karane śmiercią. Nic dziwnego, że z takim dystansem do mnie podchodzi, bo w jego oczach jestem jego podwładnym, który postanowił dać drapak.

Nic nie mówię.

– Dobra, to ty sobie tu zostań, albo idź, gdzie chcesz – rzuca Dar patrząc na mój bark. – Jeśli masz siłę. Życie za życie. Wracam do swoich obowiązków. Jeśli chcesz mi potowarzyszyć, to oczywiście zapraszam, twoja decyzja.

Szybko zrezygnował, odpuścił. Nie jest typem tyrana. To rokuje nieźle, szczególnie jak na przywódcę.

Ja dla porównania bywam typem tyrana.

– Nauczyliście mnie – dodaje po chwili zbierając swoje rzeczy i oddzielając je od moich, – że czasem naprawdę nie mam siły się z wami użerać.

Patrzę przed siebie tępo. I co teraz? Szybka decyzja, szybka decyzja. Wstaję i ledwo podnoszę swój plecak, ważę każdy ruch.

– Miło cię było poznać.

Przez chwilę się zastanawiam czy coś powiedzieć, czy zadać jakieś pytanie, w końcu mam przed sobą osobę, która zna plany, *pfu!* tworzy plany odnośnie Pustki i Skraju lasu, zarządza tą przestrzenią. A to mnie bezpośrednio dotyczy.

(No, nie do końca tak bezpośrednio, mieszkamy setki kilometrów od niego. Ale tak ogólnie trochę dotyczą. Może za kilka miesięcy, a na pewno za kilka lat, wraz z dalszym

rozrostem jego obozów na Pustce, plany będą już nas bardzo dotyczyć).

– Moje noże...? – przypominam sobie, że wciąż ma je przy sobie.

– Zabieram. Z pewnością mam do domu dalej niż ty.

Zaczynam coś mówić, ale rezygnuję. Podejrzewam, że moje noże zaraz same do mnie przyjdą. Na tyle, na ile znam ludzi, przejdę kawałek i zaraz zostanę poproszona o towarzystwo po raz drugi.

Pobawimy się w grę „kto pierwszy się odwróci i zawoła”. Ja na pewno nie przegram. Mam do swoich ludzi za sześćdziesiąt kilometrów. On nieco więcej.

Ale... jeśli zostanę sama, czeka mnie najniebezpieczniejsza sytuacja, w jakiej znalazłam się od dłuższego czasu (łącznie z wczorajszym przestreleniem), czyli samotne wejście do Puszczy przy wiedzy, że tam są ci ludzie – równoważność kilku łuków wycelowanych w pierś i brzuch. Skraj bardzo blisko lasu to najgorsze miejsce z możliwych do samotnego przebywania, bo jest się odsłoniętym, na widoku. Takie akcje jak wchodzenie można wyprawiać pod osłoną nocy, albo w grupie, z dobrym kamuflażem, długą obserwacją przestrzeni, ze wsparciem, a

nie na własną rękę. Muszę znaleźć nasz patrol, ale to trochę zajmie.

Wzruszam zdrowym ramieniem, odwracam się i idę w przeciwnym kierunku. Tak naprawdę mogę pozostać w tym samym miejscu, ale przecież nie będę czekać, aż on sobie pójdzie. Byłoby niezręcznie. Przejdę tyle, żeby zniknął mi z pola widzenia, przystanę i nie zacznę kombinować, jak zapuścić się w las, bo mnie zawoła.

Przechodzę nie więcej jak osiemdziesiąt metrów.

– Hej! – zatrzymuje mnie jego głos. – Może jednak? Miło będzie z kimś podróżować.

Położyłam plecak na ziemi, bo każde choćby chwilowe obciążenie nie jest przyjemnością.

– Wiesz, kim jestem. Pójdź ze mną do obozu, dostaniesz czystą kartę. Będzie różniej podróżować we dwójkę.

Nie jestem skończonym ułomem i ostatnim debilem. Wiem, że nie chodzi tylko o to, by poczuć się różniej. Gdybym była brzydkim chłopakiem, ostatnie godziny byłyby zdecydowanie bardziej napięte, a na pewno nie dostałabym drugiej szansy. Nie muszę mieć mocy czytania w myślach, by miewać wgląd w cudze głowy.

W końcu mam moje trzy miesiące do wykorzystania. Chętnie porozmawiam z kimś, z kim mam sporo wspólnego – wychowaliśmy się w tym samym miejscu, znaleźliśmy tych samych ludzi. Może będziemy się śmiać przy ognisku z różnych dawnych plotek, przechodzi mi przez babską głowę. Fajnie będzie. A kolejna szansa nadarzy się pewnie dopiero za kilka lat. Może nawiążę kontakty dyplomatyczne (*cóż za eufemizm...*). On nie będzie wiedział, że jestem liderką, ale – zaczynam marzyć – za pięć lat nasza osada będzie wielkim i silnym miastem i wtedy on przyjedzie, by poznać przywódcę i nawiązać współpracę i wtedy będzie jak: „*wow! To ty!*”.

– Czy jeśli zechcę, będę mogła po drodze i z obozu odejść? – upewniam się, przez ramię zerkam na Puszcę. To naprawdę duża zmiana. Gdy myślałam o długich wakacjach, raczej rozważałam zagłębianie się w drzewiastą przestrzeń, a nie w świat, który kojarzy mi się z koszmarkiem sprzed czterech lat. Daniel to zasugerował. Nie sądziłam, że w ogóle będę to brać pod uwagę.

– W każdej chwili – nie waha się, co mnie uspokaja.

Bierze moje rzeczy, dopakuje sobie do plecaka, co natychmiast doceniam i cicho dziękuję.

– Noże? – ponownie proszę o moją własność.

Tym razem się waha. Po dłuższej chwili oddaje jeden.  
Gdy trafia do mojej dłoni, zaraz zostaje z niej zabrany.

– Wiesz, jednak nie. Nie znamy się.

*No właśnie.*

Mijamy płaczący kamień, zmywam sobie z twarzy kamufaż, który jest po prostu brudem ziemi i liści. Tak zaczyna się nasz wspólny spacer, który potrwa wiele, wiele długich dni.

\*\*\*

Wypataruję zwierząt wokół. To chłodna kraina, wilgotna. Nawet gdybyśmy mieli łuk, nie mielibyśmy teraz do czego strzelać, bo jedyne co widać, to stado wysokich saren w oddali, tuż przy Puszczy. Z nożami trzeba ostrożnie, wymagają doskonałego oka, żeby ofiara nie uciekła z ostrzem w tyłku, lepiej rzucać w coś małego i bliskiego. Ja jestem w tym bardzo dobra! ale nie chcę się zdradzać z umiejętnościami. Mogę sobie pozwolić na nie martwienie się niedostatkiem pożywienia, bo w podróży głód mnie zmęczy i osłabi dopiero za dziesięć do czternastu dni. Jak wytrzymały jest ten człowiek, tego już nie wiem.



Poza tym mamy moje wykruszone, przemoczone podpłomyki! Pycha.

Metoda „iść do przodu choćby nie wiem co” ma sens wtedy, kiedy nie ma się innego wyboru. Na przykład wtedy, kiedy jest się samemu na pustyni. Albo kiedy się wie, że w promieniu kilkudziesięciu kilometrów jest cywilizacja. Albo wtedy, kiedy nie ma się absolutnie żadnej możliwości zdobyć pożywienia. Wtedy trzeba iść. Tylko iść. Wciąż iść. Marsz to jedyna szansa przeżycia.

Teraz nie jesteśmy w takiej sytuacji. Powinniśmy przeanalizować nasze położenie, zaopatrzyć się, przepatrzyć rzeczy – w końcu Dar nie wie, czym ja dysponuję, rzeczy mam w plecaku – może zajrzał do niego? E, na pewno zajrzał. Głupia wątpliwość.

Najwyraźniej „idziemy do przodu” jest chwilowym rozwiązaniem trudnej towarzysko sytuacji.

– Dajesz radę iść? – pyta się po kwadransie, patrzy podejrzliwie.

– Daję.

Widzę trzy pagórki. Pagórki jak pagórki. Dla osoby, która nie zna okolicy, wyglądają jak wszystkie inne. Ale ja je poznaję. Wiem, gdzie jestem.

Końcowy postój nadchodzi szybko. Zatrzymujemy się ledwo po dziesięciu, a może piętnastu kilometrach. Wlekliśmy się, a mimo to nie daję rady.

– Musimy się zatrzymać. Zaraz zemdleję – informuję Dara, widząc wygodne miejsce na odpoczynek. Nie do końca zgodnie z prawdą. Nie mam omdlewania w planach.

– Wytrzymaj kawałek. To kiepskie miejsce.

Dziwię się w duchu, ale pod tym względem ufam człowiekowi Pustki. Miejsce, które wybiera do zatrzymania się, niczym się według mnie nie wyróżnia. Jest to dolinka (czy raczej niecka?), mało kamieni, trochę żwiru i trawy. Nocą będzie wilgotno, ale tutaj wszędzie jest wilgotno.

Zauważam dwa żonkile i uśmiecham się na ich widok. Skąd się wzięły o tej porze roku?

Jest ledwo południe, choć słońce jest już dość nisko. Włóczykij rzuca rzeczy na ziemię, siada, splata dłonie na kolanach i patrzy na mnie z oczekiwaniem. Takim: *„no, trochę się wydarzyło, chyba czas nawiązać jakiś kontakt, skoro przez ostatnie dwie godziny właściwie tylko milczeliśmy”*.

– Nic o tobie nie wiem – wypomina mi świdrując mnie orzechowymi oczami, oczami podobnymi do oczu mojej

najlepszej przyjaciółki z dawnych lat. Może tylko lekko poszarzałymi od słońca.

– Doceniam, że mnie wyprowadziłaś z Puszczy – zaraz dodaje, bo nic nie odpowiedziałam. – Jak widziałaś, twoi towarzysze nie byli do mnie miło nastawieni.

– To nie są moi towarzysze.

– Rozwaliliśmy wasze gniazdo kilka dni temu... dlatego odeszłaś?

Unoszę brew w zdziwieniu. Nawet nie komentuję podejrzeń, że należę do tych świrów. Dar do niedawna nie był w tym lesie sam (to jest ta ważniejsza informacja, bo to, że rozwalił centrum świrów to brednie. To olbrzymia kilkusetosobowa szajka! Mogli ich co najwyżej nieźle wkurzyć).

– Nie rozwaliliście. Są wciąż dobrze zorganizowani. W ciągu ostatnich dwóch tygodni namierzyliśmy kilka grup.

*Namierzyliśmy... my... Uh!* Podstawowa zasada: nie przyznawać się do tego, że grupa jest większa. Jestem durna! Głupia jak but! Zapamiętać na całe życie. Nigdy nie zdradzać swoich ludzi. W szczególności nie zdradzać swoich ludzi przed dowódcą jakichś tam–gdzieś tam wojsk. Dowie się o nas, przylezie ze swoimi, rozbije, tak jak to – podobno – zrobił z

tamtymi świrami. Oczywiście nie zrobił. Byśmy wiedzieli. To musiałaby być porządna bitwa.

No i jeszcze jeden błąd. „*Namierzyliśmy*” na pewno nie zabrzmiało jak słowa nic nie znaczącej dziewczyny. To brzmi jak słowa zwiadowcy. A zwiadowcy, podobnie jak patrole, krążą wokół większych osad.

Nie przywykłam do udawania kogoś, kto nic nie znaczy. Przywykłam do *udawania, że coś znaczę*.

– Skoro zdecydowałaś się iść ze mną, chyba czas, byś się mi przedstawiła – stwierdza nie komentując tego, co powiedziałam. Trzy krótkie zdania, a zawierały całą masę informacji.

– Nawet nie znam twojego imienia.

Ma rację. Ta podstawowa oficjalna uprzejmość nie miała miejsca.

Ociągam się.

– Nazywam się Wilia – w końcu odpowiadam siadając naprzeciwko niego. Ciekawi mnie, czy to imię mu się skojarzy. Otóż tak.

– Wilia? ... Wilia od Dobromiły ? – upewnia się.

– Wilia od Dobromiły – przytakuję wodząc wzrokiem po ziemi i tylko przemykając po jego twarzy. Moje imię

wypowiedzialne cztery razy pod rząd przypomina mi, że jest ono naprawdę ładne. Poza tym promienieję! Pamięta! Do „swoich” zawsze jest się milej nastawionym. Kolejna dobra oznaka. Zawsze mam trafne przeczucia i czuję, że będę mieć naprawdę fajną wycieczkę. Pewnie z turbulencjami, ale to, że mnie kojarzy, to naprawdę świetna wiadomość!

– Nie jestem od tych świrów, ani nie jestem dezerterką. Nigdy nie dotarłam do twojego obozu. – Robię chwilę przerwy i dorzucam: – Twój brat znalazł mnie nieprzytomną w parku i przyniósł do Pałacu i tam spędziłam kilka lat. Raz czy dwa gdzieś mi nawet przemknął z okazji jakiegoś balu czy coś.

Dar wygląda na szczerze zdumionego.

Ojej, czyżby w środku lasu, tak po prostu natrafił na pałacową zaginioną dwórkę? Cóż za niewyobrażalnie dziwaczny zbieg okoliczności!

Prawie tak dziwaczny, jak spotkanie księcia w lesie.

– Dwórka Dobromiły! Wiedziałem, że skądś cię znam, gdzieś mi się kojarzyłaś.

– Tak? – teraz ja jestem zdziwiona. Rozumiem, że mógł zapamiętać imię, ale że rozpoznał twarz? Utyłaną i pokrytą leśną paćką?

Kiedyś powiedziałam mu “cześć”. On ledwo zwrócił moją uwagę, tylko w takim stopniu, w jakim zwraca się uwagę na jednego z wielu królewskich synów (pamiętam, że wtedy się uprzejmie uśmiechnęłam i pomyślałam coś w rodzaju „*więcej ich matka nie miała?*”). Gdy jest się zaaferowaną laboratorium, czuje się zagrożoną przez swoją odmienność i urodę i żyje wśród najszlachetniej urodzonych, na kolejnego królewskiego syna patrzy się bez większego zainteresowania i najwyżej jak na bardzo dalekiego kuzyna. Potem się okazało, że mam wylądować pod jego dowództwem. Dodawało mi to nieco otuchy, że jadę „do swoich”, do kogoś, kto może spojrzeć na mnie łaskawym okiem, jak na najlepszą przyjaciółkę siostry, której jej przecież byłam! Że sobie zapamiętał moją twarz odbieram jako miły komplement. Generalnie nie powinnam się dziwić, choć na balach zawsze była cała masa wystrojonych dziewczyn. Powinnam była złać się z tłumem.

– Nie dziw się, że i ja cię kojarzę, twoja historia była dość znana. No i moja siostra cię autentycznie uwielbiała. W ogóle zasłynęłaś jako oryginał z fantazją.

Aha. *Oryginał z fantazją*. To delikatne określenie. Dyplomatyczne. Mały krok od „dziwaczki”.

– To niesamowite, jaki świat jest mały, nie? – rzucam banałem, który jest jak raz bardzo na miejscu. W rzeczywistości wszystko wskazuje na to, że ten świat jest olbrzymi. Odkąd zaczął być kolonizowany, jeszcze nikt nie dotarł do jego granic.

– Za co cię właściwie zesłano? Coś mi napisali, ale nie pamiętam.

– Broniłam się i oblałam kogoś kwasem. Nie zabili mnie za to, taryfa ulgowa dla dwórek – puszczam mu oko.

Oblewanie ludzi kwasem wpisywało się w ogólną charakterystykę osób zsyłanych za góry.

– Skąd miałaś kwas?

Oho, trafne pytanie.

– Chwyciłam pierwszą lepszą rzecz pod ręką. Nie wiedziałam, co to.

Chyba wybrnęłam. I to prawie zgodnie z prawdą!

– Już pamiętam! Dobromiła pisała. Laboratorium sobie urządziłaś!

No pięknie. Jednak nie wybrnęłam.

– I co się tam wydarzyło? Że nie dotarłaś? Ja nawet nie miałem jak zweryfikować, kto był odpowiedzialny za twoje zniknięcie. Dostałem list od Dobromiły, że przyjedziesz za

miesiąc czy dwa, nie przyjechałaś, trudno wertować sprawę każdego zesłańca.

Robi pauzę.

– Wiesz, że jako przywódca wojsk, nie mogę, delikatnie rzecz mówiąc, akceptować dezercji. Za takie rzeczy idzie się pod topór.

– Nie zdezerterowałam! Powiedziałam ci przecież. *Przed chwilą*. Karawana wyrzuciła mnie pośrodku Nigdzie z informacją, że za tydzień zjawi się po mnie kolejna karawana i zabierze do głównego obozu. Nikt się nie zjawił, zaczęłam iść sama. Poza tym, rano dałeś mi czystą kartę. Żadnej dezercji i żadnych toporów, dobra?

\*\*\*

\*\*\*

\*\*\*

## **NIE DAJ SIĘ, RUDZIELCU**

A z tym zesłaniem to dokładniej było tak:

Mam dwadzieścia minut, żeby się spakować. Stoi nade mną dwóch uzbrojonych mężczyzn. Nie muszą nic robić,



wystarczy że są. Pakuję się pośpiesznie. Jestem przerażona nie tyle dlatego, że właśnie zostaję wygnana. Raczej dlatego, że nie mam czasu zastanowić się, co mogę wziąć. Tego pierwszego się spodziewałam. Tego drugiego nie przemyślałam.

– Błagam, błagam, przejdźmy do drugiego pokoju – skowyczę do mężczyzn, patrząc prosząco to na jednego, to na drugiego. – Mam tam pozostałe rzeczy. Ważne dla mnie. Jak ja sobie bez nich poradzę?

Patrzą po sobie. Widać, że nie są chętni wypuścić mnie z pokoju. A przecież to jest zaledwie po drugiej stronie korytarza.

– Tam są moje kobiece rzeczy – staram się ich tak podejść, choć oczywiście nie chodzi mi o koronkowe rękawiczki czy bransoletki przyjaźni.

– Nie poradzę sobie bez nich, proszę – płaczę cały czas. – Tam są moje kosmetyki, moje akcesoria, moje kobiece rzeczy, błagam, chcę zachować klasę!

Zgadniają się i wpuszczają mnie, już niedługo niedwórkę, do drugiego pokoju. Wpadam i pośpiesznie wrzucam rzeczy do dużego worka. Jak leci, biorę wszystko co mogę, nie zastanawiam się, nie analizuję. Teraz każdy przedmiot w

mojej siedemnastoletniej głowie wydaje się ważny i niezbędny.

W tym pokoju jest jednak coś ważniejszego niż wszystko inne. Coś, dlatego tak naprawdę ubłagałam o wpuszczenie, coś tak cennego, że bez tego nie wyobrażam sobie opuszczenia Pałacu. Kilka zeszytów, pióro i pliki odręcznie napisanych notatek. Wszystko w eleganckim pudełku.

Mężczyźni nie zwracają na to uwagi. Najpewniej myślą, że skrywam tam pachnące lawendą płócienne podpaski, albo perły, bez których żadna dwórka nie chciałaby opuścić Pałacu.

Mija przydzielony czas, mężczyźni odprowadzają mnie na dziedziniec. Targam ze sobą dwa ciężkie worki, ręce bolą od ciężaru. Wczoraj ciężkie walizki niosłaby za mną służba. W jednej z toreb pojawia się dziura na szwie, z której zaczynają wystawać pudełka. Przez zrozpaczoną głowę przemyka mi niepokój, czy to wszystko się nie rozsypie.

Gdy wali się świat, zwracam uwagę na szwy torby. Są równie ważne jak ten świat, co się rozpada na kawałki. Może to moje życie wcale się nie wali, skoro znajduję energię na martwienie się o stan worka.

Nikt mi nie pomaga. Gdzieś z boku dwie rozgadane dziewczyny ze służby niosą koszyki z warzywami. Są

radosne. Jedna upuszcza paprykę, czerwona kulka toczy się w dół dziedzińca. Dzisiejszy dzień jest dla nich sielski i miły.

Stoję przed pałacem w jednym z jego zaułków. Za mną dwóch mężczyzn, tych samych, co przez ostatnią godzinę mnie pilnowali. Zastanawiam się, czy uciec. Nie dam rady uciec, nie mam gdzie, nie mam jak, jestem niska, w ciasnej sukience. Czas się dłuży, mimo że stoję przed pałacem zaledwie kilkadziesiąt sekund. Nikt na mnie nie czeka.

Słyszę zaraz stukot kopyt. Pośpiesznym kłusem wpadają dwa spocone siwe konie. Są piękne i bogato przybrane i wyraźnie widać, że to nie jest powóz, który ma mnie zabrać. To powóz Dobrej.

Dobra to moja najlepsza przyjaciółka i najmłodsza z księżniczek, zresztą tylko niewiele młodsza ode mnie. Byłam dla niej jak siostra i Dobra była jak siostra dla mnie. Byłyśmy nierozłączne, odkąd tylko się poznałyśmy. Nawet spałyśmy w tym samym pokoju! Dobra jest cała we łzach i teraz i ja płaczę, widząc swoją przyszywaną siostrę tak nieszczęśliwą.

Mam rozerwane serce.

– Nie pojmuję, jak to się stało! – płacze Dobra. –

Kochana, kochana Wilka...!

A ja całkowicie pojmuję jak to się stało. Wiem, że podpadłam i czułam, że zostanę wygnana pewnie tam gdzie większość, czyli na Pustkę. Tylko nie sądziłam, że decyzja zapadnie natychmiast. Że wstanę rano, otworzę okno, napiję się wody, obmyję twarz, ubiorę, wyjdę na korytarz by przejść do jadalni i wtedy napotkam tych dwóch żołnierzy, a pół godziny później będę stała tu, gdzie stoję, z zapłakaną Dobrą przed sobą.

A tak szybkie wysłanie mnie spoza Pałacu najpewniej miało na celu właśnie to, żebym nie mogła się z nią pożegnać. Księżniczka rano wyjechała do miasta, jakimś cudem dowiedziała się o tym, co się ze mną ma stać i zdążyła na ostatnią chwilę.

Na dziedziniec właśnie wjeżdża drugi powóz. Ciągną go cztery smukłe koniki, każdy innej maści i postury. Są naprawdę źle do siebie dobrane. Sam powóz jest ciężki. Powóz? Bardziej kryty wielki wyplatany wasąg. Sypie się mój świat, ale przez chwilę żal mi tych koników. Potem patrzę na Dobrą i żal mi też zapłakanej Dobrej. A w końcu żal jest mi samej siebie.

Mężczyzna z tyłu krzyczy na mnie, że mam się pakować i jechać. Wrzucam swoje dwa toboły na wóz i padamy sobie z Dobrą w ramiona.

– W kieszeni masz list ode mnie – szepcze do mnie młodziutka księżniczka, za którą już tęsknię. Czy to szept, czy od płaczu brak jej oddechu?

Nic nie mówię. List pewnie jest tajemnicą. Pogoniona wchodzę na wóz pod plandekę. W środku ktoś jest. Odwracam się do wyjścia i ostatni raz widzę przyjaciółkę. Księżniczka zakrywa usta dłonią, pokurczona, zgarbiona, drugą ręką obejmuje się wokół brzucha i płacze, płacze, płacze.

– Kocham cię, Wilka! – krzyczy za mną.

Odkrzykuję, że ja ją też, ale moje słowa nikną. Posyłam całus na dłoni.

W ten sposób po zaledwie czterech latach życia w królewskim Pałacu, opuściłam to miejsce w wieku lat siedemnastu. Nie byłam najlepszą dwórką. To, że byłam śliczna, nie wystarczało. Nie bez powodu postanowiono się mnie pozbyć i w swoim życiu miałam jeszcze nie raz udowodnić, że należało się mnie pozbyć w bardziej dosadny sposób. Jednak w tej chwili, gdy obijam się o ściany wozu, jeszcze tego nie wiem i oni też nie.

List gubię tego samego dnia. Nigdy go nie przeczytam.

Podróż trwa wiele dni. To monotonna, długa droga.

Dzielę wóz z dwoma ukaranymi kobietami, które są skute.

Moje nadzieje, że oszczędzą mi tej niewygody, były płonne – i mnie dali w kajdany.

Jedną z nich wysadzają jeszcze na terenie Królestwa, a drugą na jego skraju, w schronisku dla podróżnych. Nie mija więc więcej niż dziesięć dni, jak pozostaję sama w powozie. Ja sama i bardzo dużo różnych bagaży.

Królestwo położone jest między górami a morzem. To piękna, olbrzymia, zielona i żyzna kraina. Otaczające ją góry, gdy patrzy się na mapę, sprawiają poczucie bezpieczeństwa i przytulności. Piętnaście lat wcześniej najmłodszy syn króla, a starszy brat Dobrej i mój obecny towarzysz, postanowił przebyć góry i sprawdzić, co jest po drugiej stronie. W pierwszym liście doniósł ojcu, że góry się ciągną i ciągną i że po drugiej stronie jest nic. Kamienista pustka.

W drugim liście napisał, że chce tam zostać.

W trzecim, że wkrótce wraca, żeby lepiej zorganizować kolejną wyprawę. I tak po pół roku wrócił do Królestwa równo na sześć i pół dnia, by znowu zniknąć w Pustce.

Wojskowa musztra, spartańskie warunki, depresyjny klimat, góry i kamienista pustynia. To sprawiło, że od razu chętnie zaczęto wysyłać niechcianych i niewygodnych ludzi na Pustkę. Bywały miesiące, gdy karawany ciągnęły się tysiącami wozów i ludzi. Bywały też miesiące, gdy za góry zsyłano tylko kilka osób. Czasem była to jedna osoba.

W tym przypadku ja.

Już dawno temu minęliśmy ostatnie drzewo, ostatni strumień, ostatnią zieleń. Kilka wozów sunie kamienistymi dolinami przez szare góry. Tutaj wszystko jest spieczone koszmarnym słońcem. Teren robi się coraz bardziej górzysty, podjazdy coraz ostrzejsze. Nie ode mnie zależy, którądy i gdzie dojedziemy. Ode mnie nie zależy nic.

Mogę sobie tylko siedzieć na wozie, patrzeć na te wszystkie kamienie, machać nogami i dłubać w nosie. Szybko nauczyłam się, że nie ma sensu nawiązywać kontaktu z żołnierzami. Ci szeregowi absolutnie niechętnie się *do* mnie odzywają, za to chętnie gadają *o* mnie, jedynej *dupie* w karawanie. Na szczęście odpowiednie pismo zapewniło moją (prawie) nietykalność.

Wśród żołnieży oczywiście jest jeden głównodowodzący. Wszyscy mówią do niego „Przywódcu”, ani razu nie

usłyszałam jego imienia, a gdy go o nie zapytałam pięć minut temu, dostałam pięścią w twarz.

Teraz oko mi napuchło i mogłabym przysiąc, że jest koloru niedojrzałej śliwki. W rzeczywistości pewnie jest lekko różowe, ale boli jak siedem piekieł i pulsuje jak zwariowane. Zarzucam na siebie koc, zezłoszczona sączę wino z bukłaka, czekam godzinę, aż opuchlizna zejdzie. Pierwsze zetknięcie z alkoholem w dużych ilościach pozwala mi odkryć, że nie tak łatwo mnie upić.

A w myślach wciąż i wciąż i wciąż... i wciąż przeżywam tę sytuację.

Rozwijam kolejne scenariusze, w których robię szybki unik i Przywódca się przewraca, a ja patrzę na niego z góry i nie, wcale się nie śmieję, wcale nie patrzę z pogardą, tylko kurczę się w sobie, robię skruszoną zalotną minkę, ledwo podnoszę oczy do góry, gram biedną, małą, bezbronną dziewczynkę, kokietuję, ach, przepraszam! Nic sobie pan nie zrobił? Przepraszam najmocniej, tak bardzo nie chciałam, proszę nie robić mi krzywdy... A gdy on już drugi raz bierze na mnie zamach, akurat ktoś go woła, Przywódco! I Przywódca opuszcza rękę, mierzy mnie złym wzrokiem, jeszcze ci pokażę, mała gówniarno... A ja dalej robię skruszoną



minę, ale już zaraz usta składają mi się do lekko kpiącego uśmiechu. Wieczorem wozy stają i rozbijają obozowisko, pogoda jest dobra, rozpalają ogniska, gwar, śmiechy, rubaszne żarty, znoszę wszystko z pokorą, w końcu nic mi nie zrobią i zrobić nie mogą pod karą, kładę się na boku przy swoim małym płomyku, nikt przy mnie się nie kładzie, tylko ja sama tuż koło wozu. Konie stoją po drugiej stronie, wypięte z uprzęży, spętane mają nogi, dwa przywiązane do woza, reszta chodzi swobodnie, ale nie oddala się, a nawet gdy się oddalą, to nie mają gdzie uciec, wszędzie wokół kwintesencja Pustki. Czekam aż wszyscy ucichną, na chwilę przysypiam, a gdy znowu otwieram oczy, jest środek nocy, wszyscy śpią zmęczeni lub zbici alkoholem, dwóch strażników przycupnęło przy ogniu i coś tam sobie rozmawiają. Jeden tylko jest namiot i o tym namiocie rozmyślałam, odkąd Przywódca się na mnie zamachnął. Teraz ostrożnie się podnoszę i serce mi bije z emocji, ale dobrze wiem co chcę zrobić i właśnie to robię. Wyciągam ukradkiem zdobyty klucz, cicho rozpinam kajdanki. Chowam scyzoryk za bransoletkę u nogi, lekkim krokiem zbliżam się do namiotu, podchodzę od tyłu i wślizguję się dołem tuż pod kapą. Przywódca śpi na końskiej derce, podchodzę do niego, zapobiegawczo rozpinam swoją

bluzkę, by moje intencje były jasne, podchodzę do Przywódcy, serce mi wali, co jeśli nagle się obudzi... On się budzi, dobrze widzi co się dzieje, szczyrzy zęby w obrzydliwym uśmiechu, łapie mnie za pierś, zniżam się nad nim, ustami trącam jego usta i w tym momencie, kiedy już prawie moja godność została zdeptana, jednym gwałtownym ruchem przeciągam sprawnie wyjętym scyzorykiem w poprzek znienawidzonego gardła. Przywódca łapie się za gardło, charczenie uciszam poduszką, jestem gotowa na ucieczkę z namiotu, podbiegnięcie do koni, wskoczenie na grzbiet, a potem...

Krzyk wyrywa mnie z mojej zadumy.

–Wilczur! – krzyczy znany mi głos, głos jednego z żołnierzy i całkowicie odrywa mnie od marzeń o brutalnej zemście. Ludzi w myślach zawsze się dobrze morduje. – Gówniara w ogóle tam jest?

– No mówię ci, że jest, pod tym gałganem się skitrała – odpowiada drugi i zrywa ze mnie pled. – A no mówiłem ci, że jest, mała kurewka. Odpowiadaj, babo, jak cię wołają, normalnie byś już zawisła potrójnie wyruchana za takie maniery. Panienko Dwórko Księżniczko.

Wygląda na to, że dojechaliśmy na miejsce.

Jakieś miejsce.

Przywódca mówi mi, że tutaj mnie zostawiają. Wokół nic, tylko skaliste pagórki. Trudno mi w to uwierzyć, rozkuta wyskakuję z powozu i rozglądam się wokół. Nic tu nie ma! Myślałam, że przystanek będzie miał choćby jakąś kamienną chałupę... Nic poza skrzyżowaniem dwóch lichych drózek, deptanych końskimi kopytami dwa razy w miesiącu. *Nabijają się ze mnie znowu?* Ale oni już „wypakowali” moje rzeczy, kopniakiem wyrzucają je z wozu, dwie torby i masę drobnych rzeczy, bo przecież nie spodziewałam się, że będę musiała się spakować.

Nie żartowali sobie!

Przywódca każe swoim ludziom zostawić mi wodę, jedzenie, koc. Konia nie dał, straży nie dał. Siedzą godzinę, przerwę zrobili, kupę zrobili, obgryźli wczorajsze perlicze kości, konie napoili, zwinęli się i pojechali jedną z dróg...

Sterczę tu teraz sama jak kołek.

Spędziłam z nimi w podróży trzy tygodnie, przywykłam do ich przytyków, do ciągłego nazywania kurewką, niesubtelnych kopniaków i głodowego karmienia. Już pierwszego dnia nauczyłam się, gdzie znajdę zapas alkoholu, a było go tyle, że nikogo nie obchodziło, czy ktoś sobie go

podpije i czy tym kimś jestem ja. Wzięli wina i bimbrow więcej niż wody.

Kiepski pomysł na pustyni, choć na szczęście mi zostawili wodę. Najwyraźniej jest mniej cenna.

Patrzę, jak się niespiesznie oddalają. Namierzam największy kamulec i mianuję go moim tronem. Niewygodnie jak pierun, więc zaraz kładę się na plecach.

Żołnierze dali mi proste wytyczne. Mam siedzieć w tym miejscu przez tydzień. Mam nigdzie nie uciec, ponieważ w każdą stronę, gdzie się nie ruszę, jest Pustka. Jeśli się ruszę, to zginę. Powiedzieli mi: nie musimy ci dawać obstawy, nie musimy cię pętać, po prostu nas nie obchodzi, albo ruszysz dupę i zginiesz, albo poczekaś siedem dni i siedem nocy, aż przyjdzie po ciebie kolejna drużyna. Dlatego wiemy, że nigdzie się nie ruszysz i dotrzesz na miejsce. Nie masz wyboru. My musimy iść dalej. Jako jedyna masz pojechać do centralnego obozu, tam trafiają kobiety. My jedziemy do innego. Więc po prostu trzymaj się tego punktu, nadworna panienko. Szczaj daleko, bo smród się zrobi i rozstaw sobie jakieś zadaszanie z piachu i kamieni, *ha ha*.

Siedem dni, trzy bukłaki wody.

Nie daj się przeruchać przez węże.

Rudzielcu.

\*\*\*

\*\*\*

\*\*\*

Dar robi wielkie oczy. Oczywiście jemu sprzedaję skróconą, trzyzdaniową wersję tej historyjki. Tyle razy już ją opowiadałam.

Jak rozumiem, do tej pory miał raczej wizję, że ktoś mnie uprowadził, zgubiono mnie już na Skraju, albo uciekłam tuż przed obozem, ale nie tego, że o mnie zapomniano i że przeszłam przez Pustkę. Większość osób robi wielkie oczy. Nikt nie przechodzi sam, bo trudno jednej osobie unieść wszystkie potrzebne rzeczy, choćby zapas wody.

Mnie zostawili przy studni, ale była w dużej mierze wyschnięta. Tej wody to miałam może litr. Może dwa. Dwa litry to ilość, która starcza na pół dnia w tych warunkach.

– Miałaś co pić...? Jakies towarzystwo?

– Konia tylko, w pewnym momencie się pojawił. Wody trochę.

– A potem?

– Które “potem”?

– Odeszłaś ze skrzyżowania, wzięłaś resztkę wody i co potem?

– Znalazłam tego błakającego się konia. Na pustyni zgubiłam drogę, potem trafiłam na Puszcę. Na początku bałam się lasu – mówię do mojego towarzysza trochę zaczepnie, bo wiem, że on nie czuje się w nim jak ryba w wodzie. – Natrafiłam na kilka osób. Dołączyłam się.

Do tego mogę się przyznawać i o tym mogę mówić. O malutkich grupkach. Są nieopłacalne w ściganiu kilkaset kilometrów od wojskowych obozów.

– Cała historia?

– Cała – przytakuję, ale to nie jest prawda. Raz, że to nie jej koniec, dwa, sprzedałam mu bardzo okrojona wersję.

Napotkany koń był cały we krwi i obtarciach. To spotkanie było bardziej niezwykłe, niż z księciem w Puszczy. Zjawił się jak cudowny, psychiczny ratunek. Zdjęłam malowanemu kasztankowi siodło, ale zostawiłam sobie sakwy, bo były wygodne do noszenia i miały dużo przydatnych rzeczy. Na przykład suszone mięso, bakalie, orzechy, znowu trochę wody i sporo sznurka. Sznurka, którego na początku było trzydzieści metrów. Teraz jest już

dziesięć... Przedzierał się, gnił, zrywał. Cud, że przez cztery lata zostało mi go tak dużo.

Konia wtedy ani razu nie dosiadłam. Był wymizerniały, wygłodniały, obkrwawiony. Chodzący trup. Nogi napuchnięte, dwukrotnie grubsze niż powinien. Nie poszedłby pode mną. Wtedy sobie myślałam, że prowadzę wciąż żywe mięso i że to mięso dalej zajdzie beze mnie na grzbiecie, przydając się później. Dotarłam do granicy lasu. Koń przewrócił się wtedy, krew leciała mu z nosa z wycieńczenia. Zostałam przy nim i napiłam, bo niedawna dwórka nie miała serca dobijać zwierzęcia. Nawet nie miałam czym. Gdybym miała czym, to nawet nie miałabym siły w rękach.

Następnego dnia wstał. Poszliśmy brzegiem Puszczy. Miałam szczęście, że nikt mnie nie zaatakował. Koń miał już jedzenie, ja weszłam głębiej w las, znalazłam sporo owoców i orzechów. Ale zwierzak wciąż był ledwo żywy. Snuł się za mną.

Na początku nie czułam się pewnie w Puszczy – tak samo jak ludzie z Pustki. Wydawało mi się, że drzewa się poruszają, miałam poczucie, że widziałam tygrysa. Ale to nie był tygrys, bo nie zaatakował, a konia miał podanego na talerzu. Spędzałam dużo czasu nad kolejnymi rzeczkami. Poszłam

znowu w Skraj za strumieniem. Przez dwa tygodnie łąziliśmy tak z koniem.

Potem trafiłam na Grupę. Cztery lata temu opowiedziałam im tę samą historię. Z każdym dniem przypadaliśmy sobie coraz bardziej do gustu. Czuliśmy, że mamy wspólne dusze, można tak ślicznie to ująć. Brzmi poetycko, ale w praktyce po prostu się dogadywaliśmy, lubiliśmy i śmialiśmy z tych samych rzeczy.

Gdy zaczęli rozumieć, gdy zaczęli widzieć, że jest we mnie coś więcej, niż w zwykłym człowieku, na początku się wystraszyli, były kłótnie. A potem przyjęli znowu. Tym razem już ze zrozumieniem, że mogę wnieść dużo, że będzie się dało ze mną współpracować. Że nie jestem kukułczym jajem, które ich zdradzi.

Szybko odkryłam przed nimi trzy... dwie... cechy, które mnie naznaczyły. Co przykuło ich uwagę? Nie zdrowie i wygląd, ale to że wiedziałam przez mgłę, jak ze snu różne rzeczy.

Wiedziałam więcej niż inni.

Wiedziałam, że są rzeczy, które są możliwe, choć nie zawsze wiedziałam jak do nich dotrzeć. Wiedziałam, że można latać i to nie jako dusza po śmierci. Że może być świat bez



bólu, bez ciągłej śmierci, może być świat, w którym inni zdrowieją tak szybko jak ja, że można nie marznąć zimą, mieć wszystkie zęby i komunikować się ze sobą na wielkie odległości, nawet w ułamku sekundy, jakbyśmy byli koło siebie i że nie tylko telepaci tak mogą (nigdy nie poznałam telepaty, więc opowieści o nich to chyba tylko bajki).

Wiedziałam, że kiedyś będzie można leczyć choroby i rany zapleśniałym chlebem.

Gdy w Królestwie ludzi to przerażało i stwierdzono ostatecznie, że jestem psychopatką, tutaj znalazłam grono odbiorców. Dawkowałam informacje. Niektóre przebliski miały praktyczne przełożenie i wtedy mój autorytet rósł.

Moi przyjaciele zobaczyli, że jestem zmęczoną, wystraszoną i zagubioną dziewczyną taką jak oni i musimy się wszyscy wspierać i otaczać opieką. Byłam więc niezwykła, ale jednocześnie taka sama i za to zrozumienie ich pokochałam.

Z czasem, rzecz jasna, im więcej było ludzi i zadań, tym bardziej trzeba było w sobie stłamsić strach czy zmęczenie i okazywać to tylko przed przyjaciółmi. W krew wchodziło tłumienie emocji. Między innymi na tym polega *bycie twardym*.

– Dobrze, że przeżyłaś. Większość samotnych wilków na Pustce ginie.

*Wilków.*

Na miejsce słońca wkrada się mgła, wilgoć i przejmujący chłód.

– Jak twój bark? – pyta się troskliwie raz jeszcze.

– Boli.

Boli pieruńsko, ale co ma nie boleć.

Szybko wyda się moje zdrowienie. Przeszłam bez większego problemu zbyt dużo kilometrów jak na właśnie poważnie postrzeloną, ucinam sobie pogaduszki, mam lekką tylko gorączkę... Choć wiem, że wciąż czeka mnie kilka fal gorszego samopoczucia.

– Jutro musimy ponownie oczyścić – mówię po chwili.

Teraz łatwo o zabrudzenie, ale najlepiej, gdybym nie miała opatrunku. Nie mam pojęcia, co by się stało, gdyby szmatka utknęła w mojej ranie na dłużej. Do tej pory w moim ciele zostawały maleńkie drewniane odłamki i znikwały. W przypadku drzazg pod paznokciami mogłam ten proces widzieć gołym okiem.

Oglądanie tego jest hipnotyzujące tak jak oglądanie rozkładających się nad ranem kwiatów.

– Nie powinniśmy tego tak często ruszać – odpiera.

– Znam tych ludzi i ich strzały. Lepiej codziennie przemyć.

Wierutne kłamstwo. Nie o strzały chodzi.

– Jak uważasz. Mam nadzieję, że w nocy nie rozpalisz się za bardzo.

Na pewno się rozpalę, oberwałam jak rzadko kiedy.

Gorączka wzrasta wraz z chłodem. Ramię pulsuje. Ognia nie rozpalimy, nie mamy nawet z czego.

Gorączka niejednego ugotowała, mnie nie zabije, ale da w kość.

Kładę się na boku, ostrożnie układam rękę tak, by jak najmniej dokuczała, ale bym jednocześnie mogła zwinąć się w kłębuszek. Gównno to daje. Nadchodzi zimno, którego wczoraj nie odczuwałam tak bardzo, zajęta omdlewaniem od stresu i przestrażału.

Zasypiam.

Budzę się na chwilę, gdy kładzie się za mną. Jest już zmrok. Panikuję.

– Siedź cicho, nic ci nie zrobię. Dogrzać cię trzeba – komentuje mnie trzęsącą się. Zarzuca na nas swoją kurtkę, koc nie, bo na nim leżę. Jest trochę lepiej.

– Miło jest czasem dogrześć kogoś innego, niż nieprzytomnego faceta z oderzniętą nogą – dobiega mnie ładny głos.

Gdyby nie chciało mi się rzygać ze zmęczenia, byłoby nawet romantycznie.

\*\*\*

– Wczoraj chyba przeholowaliśmy z tym spacerem – wita mnie tymi słowami o brzasku. Jest już na nogach, kurtka dalej spoczywa na mnie, on sam ma na sobie długą bluzę.

– Jak tam twoje ramię? – znowu dopytuje. Mogłoby się wydawać, że pytanie jest zadawane zbyt często, ale nie, nie dziwię się, że uraz pozostaje w centrum uwagi, szczególnie u dziewczyny.

Rozkoszuję się tym pytaniem! Dawno nikt nie przejmował się *na serio* i *szczerze* tym, jak się czuję. Szkoda, że muszę zostać upierdolona strzałą, żeby ktoś się przejął, a i tak to przejmowanie nie potrwa długo. Dziś jak nic nadchodzi dzień konfrontacji. Zacznie się.

A co tak szybko się leczy? Ale jak to? Powinnaś być nieprzytomna. Powinno się paprać. Powinno wyglądać źle.

Powinienem się zastanawiać, czy w ogóle przeżyjesz. Czemu możesz iść? Czemu nie trawi cię obezwładniająca gorączka? Czemu możesz ruszać ręką? Mam cię zabić?

*Co ty w ogóle jesteś?*

Poza gorączką mam chrypę (miałam...), zaropiałe oczy (już się oczyszczają łzami) i posklejane rzęsy, brudne zęby, coś mi się śniło (jakieś pogonie, strzały, potwory, odreagowywanie ostatnich wydarzeń). W nocy musiałam być zlana potem.

Ciekawe co tam u moich przyjaciół, co tam w osadzie, do której już na pewno wrócili. Ukłucie niepokoju. Faktycznie paskudnie ich potraktowałam, zostawiając ot tak. Mają prawo mnie znienawidzić. Ale też mają obowiązek zrozumieć.

Cudowny spokój. Nie mam żadnego wpływu na naszą osadę i kupę ludzi w niej. O rany, jaka ulga. Nic nie muszę. Mogę sobie tutaj marznąć, wlec się, dostawać gorączki i nikomu nic nie kazać. W bardzo dziwnych okolicznościach odzyskuję spokój, którego pragnęłam od wielu miesięcy.

Chciałabym przysnąć, zamykam oczy. Niestety już wiem, że pośpieszyłam się ze stwierdzeniem, że jest dobrze. Ręka ostro pulsuje, jak i całe ciało. Gorączka się zwiększyła. Coraz wyżej, coraz wyżej, coraz goręcej.

Czasem jest mi gorzej niż normalnym ludziom!

Wyobraźcie sobie, że macie połamane żebra, które chcą się zrosnąć dziesięć razy szybciej, niż normalnie. Że macie pogruchotane kości, które próbują się zejść ze sobą już od pierwszych sekund, kiedy zostały rozstrzelone po mięśniach. Zdrowieję szybciej, niekoniecznie przyjemniej.

– Martwię się o swoją rękę, Dar.

Jego pełne imię jest dziwaczne i za długie. Cztery sylaby aż! Poprawia mnie natychmiast. A potem wbija wzrok w ziemię i sznuruje wargi i zaczyna przepakowywać nasze rzeczy (znowu?). Wiem, że to, jak się trzymam i jak reaguję na rany, musi go szokować, choć gorączka działa na moją korzyść. Jest przywódcą wojsk i naczelnikiem więziennym, jest osadzony w obrażeniach i śmierci. Przygrzmociłam łbem o kamień. Nie ma po tym śladu. W porównaniu do jego zranionego boku, który na pewno leczy się w normalnym tempie, moja rana wygląda jak niebezpieczny, bo nieznany, cud. Paprze się, ale tak... ładnie.

Czemu się paprze? Bo pył trafia do rany, a z mojej rany ciekną łzy wypłukujące ziarenka brudu. To naturalne obmycie przyspiesza proces gojenia.

Ciekawe, czy zostanie mi blizna. Nie wiem, od czego to zależy. Mam kilka blizn. Każda z nich jest inna, większość już prawie zaniknęła. Mam taką jedną bardzo wyraźną sprzed wielu lat, z czasów pałacowych. Myślę o niej jak o osobnym stworzeniu. Czym jesteś? Przypomnieniem, że mogę umrzeć, dowodem na to, że jestem zwykłym człowiekiem?

A, i piegi mi się robią jakbym była dziesięciolatką. Logicznie rzecz biorąc, z moim ciałem nie powinnam ich mieć.

– Nigdy nie dostałam aż tak bardzo – nawet nie jest to duże kłamstwo. – Zwykle tylko siniaki, zadrapania, takie tam. Boję się.

– Przeżyjesz, jeśli będziesz walczyć.

*Raczej nie. Raczej nie walczyć.*

Przez całe życie to ostatnie co musiałam w obliczu choroby.

– Idę po drewno. Nie ruszymy się na razie, jesteś blada jak trup, zdecydowanie przeholowaliśmy wczoraj. Mój błąd. Spróbuję zrobić ognisko.

Wraca po jakimś czasie, nie wiem kiedy, przysnęłam. Słyszę, jak układa stos. Nie jest tutaj łatwo znaleźć drewno, krzaki są porozrzucane, gałązek niewiele. Odgłos metalu. Ma

ze sobą garnuszek. Zadziwia mnie, jak sprawnie rozpałił ogień. Nie więcej niż minutę. Zapałki to mój niedawny wynalazek, nie miał prawa go poznać.

Zdejmuje mój bandaż powoli, wrzuca do gotującej się wody. Przygląda się, muszę się pochylić, by lepiej widział bark. Przeciera fragment rany. Nie wyrywam ręki. Trudno powiedzieć, co boli bardziej – to że jestem dotykana po ranie, czy to, że się wyrywam? W drugim przypadku utrudniam oczyszczanie i opatrywanie, więc spokojne znoszenie grzebania w barku jest lepszą decyzją, niż rwanie się.

Te cztery lata spędzone w Puszczy, no i wszystkie poprzednie lata w Królestwie, wyuczyły mnie odporności. Ignorować. Tego się łatwo nauczyć, kiedy wszyscy mamy stopy zdarte do krwi, ale musimy biec, kiedy wszyscy uciekamy przed pożarem, a nasza skóra jest ciężko poparzona. Nie zacznę skakać z krzykiem od uderzenia w mały palec, kiedy obok mnie ktoś sobie wyrywa zęba obcęgami. Czasami trzeba sobie samemu nakładać szwy, nastawiać kości, włożyć ostrze w ranę.

Jeśli wydaje mi się, że nie mogę czegoś wytrzymać, wyobrażam sobie, że nieprzyjemność jest tylko wytworem wyobraźni. Działa. Kilkukrotnie w ten sposób



podtrzymywałam ludzi na duchu, gdy ulegli wypadkowi, albo oberwali na patrolu.

Czasem nie działa i wtedy mdleję. Jedną z najlepszych rzeczy, jakie można zrobić w obliczu dużego bólu. Innym dobrym pomysłem jest przespanie.

A ten bark i grzebanie w nim to na swój sposób jest uspokajające. Miło jest wiedzieć, że ktoś się nim przejmuje. A nie że: „*jakbyś więcej ćwiczyła, to byś tyle nie obrywała, więc sama, głupia, wyciągnij wnioski*”.

– Wszystko jest dobrze. I tak jesteś bardzo dzielna, że nie histeryzujesz. Chyba jednak nie raz oberwałaś, co? – komentuje niby spokojnie, ale przygląda mi się, bo przecież przed chwilą próbowałam wcisnąć kit o siniakach.

Podejrzliwy. Znam ten dystans. Inność, szczególnie połączona z siłą, wzbudza strach, a ten rodzi izolację lub agresję. Nie chcę się tłumaczyć, taki był przecież sens moich wakacji, odpoczynek od codziennej siebie.

*Błagam. Daj mi jeszcze jeden dzień świętego spokoju.*

*Jeszcze jeden dzień wakacji.*

*Jeszcze jeden dzień bez Jeszcze Raz.*

Wstaje i dorzuca kilka gałęzi. Czeką, aż bandaż się wyparzą, wyjmują je patykiem, uzupełniają wodę i ponownie

wrzuca. Bandaże to za dużo powiedziane. Długie szmaty zrobione z najmniej potrzebnych części ubrań. Jak widzę, część pochodzi z moich kieszeni.

Robi wszystko sprawnie, nie raz się w to bawił.

Zapowiada, że nie obwiąże na razie na nowo, że najpierw bandaże muszą wyschnąć – jest wiatr, więc nie zajmie to dużo czasu. Proszę, by już tam mi nie wkładał żadnych szmatek.

– Nie chcę te-

– -potrzebujesz.

– Ale nie chcę. Nic mi tam nie wpychaj.

To kwestia bezpieczeństwa. Nie mogę pozwolić na opiekuńczą samowolkę, gdy w grę wchodzi moje zdrowie. Nieopatrznie wychodzę na osobę, która ma jakieś doświadczenia. Unosi brwi i tego nie komentuje.

– Mam haczyk, może uda mi się dzisiaj złapać kilka ryb. Bez haczyka też powinno się udać.

Czuję się jak zdychające ścierwo. A wczoraj brałam pod uwagę samotne wchodzenie do lasu w tym stanie!

Głupia na każdym kroku.

Patrzy na mnie jak na dzieciaka.

Po części ma rację.

\*\*\*

Ciemno. Nie mogę ponownie zasnąć. Jego nigdzie nie widzę.

– Ciekawe, gdzie poszedł – mruczę do siebie, choć kołacze mi w głowie, że gadał coś o łapaniu, powinności i udawaniu.

Chciałabym się umyć. Włosy to tłuste opadłe rudawe strąki, twarz brudna, bo do potu wszystko się przykleja, i z resztkami kamuflażu. Tylko bark czysty z konieczności. Wokół cisza przerywana cykaniem świerszczy i sporadycznym szelestem małych nocnych zwierzątek. Widzę przemykającą ryjowkę, na sekundę zatrzymuje się, staje słupka. Na niebie gwiazdy co chwila znikają zasłaniane chmurami. Widać tylko jeden księżyc. Drugi jest maleńki i zwykle nawet nie chce mi się go szukać na niebie.

Mam kłopot z odkorkowaniem wody jedną ręką, odpuszczam. Słyszę zaraz kroki i wraca Włóczykij. Niesie ze sobą dwa średnie złote pstrągi. Dobrze, że jest żar, nie lubię jeść ich surowych.

Sięga po bukłak i pomaga odkorkować.

– Twoja grupa nie będzie się niepokoić? – zagaduje mnie, jednocześnie zbierając niedopalone gałązki.

– Wątpię.

W końcu zaczną się martwić. Tylko że za jakieś trzy miesiące.

– Pokłóciliście się?

Ta uprzejmość ma drugie dno. Czy ktoś więcej za nami nie podąża? Czy nie jestem czujką, która ma wprowadzić go na zasadzkę? Mimo tego, że pomogłam w ucieczce, a moja twarz wydaje się znajoma, to wciąż mogłam sobie imię przyjaciółki Dobrej przywłaszczyć.

– Nie... – Nie kwapię się ku dłuższej odpowiedzi. Mam potrzebę bycia jak najbardziej szczerą, przy dalszym chronieniu siebie i moich. To w praktyce oznacza milczenie albo ostrożne ważenie słów.

– Zobaczyliśmy cię w lesie. Nie zauważyłeś nas. Moi przyjaciele to co do jednego dezenterzy...

Czemu mogę to powiedzieć? To tłumaczy niechęć do spotkania, a, jak już wspomniałam, latanie za kilkoma dezenterami to bezsensowne szukanie igły w stogu siana. Prędzej za tych świrów mógłby się zabrać... Dar już wie, że jest ich więcej niż kilku. Oby nie przylazł po świrów i przy okazji odkrył naszą osadę... Niestety jesteśmy naczyniami połączonymi.

– ...powiedzieli, że nie planują podchodzić. Bo i po co. A ja powiedziałam, że pójdę. Jesteś najbliższą rodziną Dobrej.

Nawiązywanie do Dobrej! Trzymać się tej taktyki.

– Może powinienem otworzyć jakiś program resocjalizacji dezertarów! – krzyczy z oddali. – Byśmy teraz większą grupą szli. Dałoby się ognisko większe rozpalić. Nie targałbym tych gałęzi sam.

Przychodzi z płataniną badyli. Nie wygląda to imponująco, ale czego by się spodziewać po tej okolicy.

Myśli błądzą w gorączce.

– Wadariwon, co oznacza twoje imię?

To pytanie nurtowało mnie od wielu lat. Zadałam je Dobrej, która tylko wzruszyła ramionami. Jej imię było zrozumiałe, tak samo jak imiona wszystkich innych z rodzeństwa. Poza tym pierwszym i ostatnim synem.

Czas... gdyby tu był zegar, głośno odliczałby tik–tok, tik–tok. Zamiast tego skwierczą żółte gałązki, a w dali coś szura. Jesteśmy bardzo daleko od jakiegokolwiek cywilizacji.

– Yhm? – ponawiam pytanie. – Jak nie chcesz odpowiedzieć, to nie-

– -zamyśliłem się. Moje imię pochodzi od imienia pierwotnego bóstwa ognistego, Waada. Natomiast człon

Ariwon oznacza „tego, który zawładnie”, zgodnie ze starym i już nieużywanym językiem.

– Ładnie – uprzejmię stwierdzam.

*Nadęcie, jak mało co.*

Przypatruję się temu, co robi. Do kieszeni na piersi wkłada małe zawiniątko. Umieścił w nim metalowe pudełeczko, a w środku węgielek. Rozwiązała się tajemnica szybkiego rozpalania ognia. Kreronit. Mogłam się domyślić.

– A tak naprawdę to nic nie oznacza. Zmyśliłem na poczekaniu. Zbitka przypadkowych liter.

Parskam śmiechem.

– Z tego co mi wiadomo, matka nie miała zbytnio siły wymyślać imion, nie chciała nadawać typowych, więc leciała imionami afirmacyjnymi. Do najstarszego brata nie miała żadnego pomysłu, więc też nazwała go dziwacznie. A potem już poszło zgodnie z planem. Siłosław, Silny, Prawowid, Prawy, Dobromił, Dobry...

– Uwielbiałam go! – wypalam.

*Mój wybawiciel!*

Dobry zajmował się zaopatrzeniem, był znany jako Książę od Pączków, nikt nie wiedział, jak on to robi, ale zawsze miał je przy sobie i każdego częstował. Książę, który

rozdaje pączki. Nic dziwnego, że był najpopularniejszym z rodzeństwa.

Jak nie pączki, to pierniczki. Jak nie pierniczki, to ciastka jabłkowe albo owsiane. Rzucał nimi na prawo i lewo, a sam był chudy jak patyk. Lud go ubóstwiał, ojciec nie znosił, choć niekoniecznie przez pączki. Tylko dlatego nie był wściekły na syna, bo miał ich dużo w zanadrzu. Rozumiem, czym był na niego zły, Dobry nie był stereotypowym przedstawicielem królewskiej rodziny.

Ja tam go lubiłam.

Lubię ciasteczka.

– Nie będę ci przedstawiać drzewka, na pewno znasz na wrywki. Ale nie dziwię się, że zaprzyjaźniłaś się z Dobromiłą, to chyba najczystsza myślą dziewczyna, jaką poznałem. Jestem z niej bardzo dumny. Pałac jej nie zniszczył. Matka zmarła przez komplikacje po ostatnim porodzie, po Dobromile. W końcu nie dała rady. Była silna, wytrzymała długo.

Długi wywód.

Założę się, że nie prowadzi takich pogaduszek codziennie. Może i on jest znudzony rolą przywódcy? Może tak jak mi, dobrze mu w zmianie relacji? Bo dla niego, choć

dalej decydującego, to zmiana roli. Nie musi panować nad kilkunastoma tysiącami ludzi. Może być jedna osoba i to nie do panowania, a do nie pozwolenia, by zdechła. A ze mną to łatwe zadanie.

I co ja mam mu powiedzieć? Że mi przez tę matkę przykro? Nie mówię nic, nie bardzo wiem, co zrobić. Oby wspólne milczenie odczytał jako hołd, który oddaję jego matce, kobiecie, której nigdy nie poznałam. Cisza się przedłuża. Coś muszę jednak powiedzieć.

– Przykro mi.

– Bez przesady. Każdemu umiera matka.

*Przykro mi*, że matka nazwała cię dziwacznym i nic nie znaczącym imieniem. Jestem pewna, że Wadariwon za swoim imieniem nie przepada. Przykro mi, że mi ciebie żal, bo jedyną osobą, która powinna teraz wzbudzać żal, jestem ja.

– A twoje imię? Wilia?

Co jest, Pan Dowódca Wszystkiego (a obecnie obdrapany włóczykij) wciąż nie zapytał się o tempo zdrowienia! Za to gada o Niczym! A nie że na przykład: *hej mała, wygląda na to, że bark jest w porządku, co?* Ewentualnie: *tak sobie pomyślałem, skoro cię uratowałem...* Albo: *nie ma co się pitolić, zabijam, jesteś czarownica.*



Jestem jakaś uprzedzona. Seksistka, właściwie. Dobrze więc, pogadajmy o imionach. Sama zaczęłam.

– Nazywałam się Waleria. To jedna z niewielu rzeczy, które wiem o sobie sprzed wypadku. Nie podobało mi się to imię.

Wypadek... to jedyne logiczne wyjaśnienie mojego pojawienia się na świecie bez pamięci.

Nie polubiłam swojego imienia. Nikt go tutaj nie używał, dziwaczne. Chyba nawet nic nie znaczyło. Ktoś kiedyś tak się nazywał w innym kraju, imię przeemigrowało przez pięć państw i dziesięć wieków i oto jestem ja. Waleria.

– Mnie się podoba – stwierdza Wadariwon.

*Myślę, że tak samo ci się nie podoba, jak mi się nie podoba twoje. Oba są paskudne, choć twoje bardziej.*

– Yhm. Mnie nie. Wiele osób nie lubi swojego imienia.

Nie odpowiada. Wiem, że to prawda. Cztery sylaby. Kto by lubił.

– Skróciłam i przemieniłam na Wilia.

Ma ładne brzmienie. Melodyjne i ciepłe. Kocham je. Jest *moje*.

– Więc oboje nazywamy się przypadkowo – stwierdza Wadariwon z nutą sympatii.

– Tak. Tylko ja ten przypadek sama wybrałam.

Każdy może zmienić swoje imię, tylko jakoś głupio się do nich przyzwyczajamy. Możemy je zmieniać symbolicznie, żeby się odciąć od tego, od czego chcemy się odciąć. Albo dlatego, że nowe brzmi kapitalnie. Możemy sobie nadawać imiona tylko we własnej głowie. Koty tak robią!

Ale, ale! Moje imię, choć zmyślane, wcale nie jest bez znaczenia!

Bardzo mi się spodobało, odkąd padło z moich ust. Wilia... Jak Lilia, ale silniejsze. Jak Filia, ale stabilniejsze. Ilie są takie kobiece, a W zawsze mocno stoi na nogach. I to zdrobnienie: *Wilka*. Wisienka na torcie.

*Wii, Wiluś*. Krótko, sympatycznie. Wszystko w porządku.

Do wszystkich zdrobnień ludzie natychmiast sami dochodzą. Nie ma rozmów z rodzaju: jak lubisz, by się do ciebie zwracać? Nie znam takiego imienia, jakie jest zdrobnienie?

*Wita*. Całą sobą kocham tę konotację. Może nie jest konotacją, a prawdą?

*Wija*. Wiją się węże, robaki. *Wija* zwodzi, zdradza, kręci. Takie sobie właśnie imię wybrałam. Próbowałam je więc w głowie odkręcić, że jestem tą, która kręci w swoich wyborach

(tanie...) i w poszukiwaniu samej siebie („weź się poszukaj w pokoju obok”), że zdradzam, owszem, swoje poprzednie życie (można zdradzać coś, czego się nie zna?), że uwodzę, może właśnie jego (na razie to go tylko w myślach opierdalam).

...no, panie książę! Zobaczymy co z tej znajomości wyniknie. Może moje imię wreszcie na coś się zda i jakąś afirmacją skuteczną się okaże z tym zwodzeniem. Może syndrom sympatii ofiary nie jest taki zły.

– Wilczka... idź ty jeszcze spać. Musisz wstać za dwie godziny i nie będę się nad tobą litował. A teraz wciąż możesz odpocząć. Przyda ci się.

*Nie lituj się.* Mój stan jest już bardzo dobry, o czym za szybko się dowiadujesz. Ile my się znamy. Kilka dni zaledwie. Dwa? Czy trzy?

Zasypiam, ale czuję, że pogoda się zmienia. Daje mi dwie godziny snu, bo potem będziemy musieli walczyć z pogodą.

Śnią mi się ptaki. Wystawiam nagą dłoń, ląduje na nim jastrząb. Nie potrzebuję grubych rękawic. Zwierzę jest delikatne, moja skóra szybko się leczy, szpony ptaka nie zostawiają śladów. Na ziemi wokół mnie widzę cienie wielkich orłów. Mój ptak również je zauważa i wzbija się w powietrze i leci do tych orłów i one lecą ku niemu i teraz

walczą ze sobą, zasłaniam usta dłońmi, gdy widzę na swoim ramieniu krew.

\*\*\*

Nadciąga żywioł. Żywioł silniejszy od wszystkiego, żywioł silniejszy od świata w którym sam się znajduje, Bóg Siły, czysta moc, czysta potęga. Przebiegają po mnie dreszcze, gdy w pół otwartymi oczyma widzę tę wielką czarną ścianę, te pioruny i błyskawice, a huk, który się roznosi, wstrząsa mną i ból niemiłosierny w ręce wywołuje.

Czuję, że Bóg Siły przyszedł po mnie, by mnie zmiążdżyć i zabrać ze sobą.

Przesadam. Po prostu idzie burza. Podkoloryzowany świat jest ciekawszy.

Z olbrzymim smutkiem stwierdzam, że burza przejdzie bokiem, a nas dosięgną tylko skromne zwiane mrzawki lub przejściowe ciężkie krople. Otaczający mnie świat ma zapach ozonu. (Tak jest, wiem co to ozon i w ogóle że tak się nazywa).

– Wilczka? Obudziłaś się? – przyskakuje do mnie Dar. Z głosem na granicy ulgi. – Ale cię gorączka skopała... Byłaś nieprzytomna, długo nie mogłem cię wybudzić.

Mój romantyzm, miażdżący Bóg Siły to była po prostu trawiąca gorączka. Jestem wycieńczona, osłabiona, ale po największej fali. To dobrze. To znaczy, że to koniec.

Czym jest prawdziwa gorączka, niektórzy ludzie nie dowiadują się nigdy. Wiem, że może być tak, że człowiek choruje, że zwiększa mu się temperatura i leży i tylko ktoś podaje mu coś do ust i to jest koniec choroby. Nie lawiruje między życiem, a śmiercią. Nie doświadcza tego czegoś, co jest czymś niezwykle pierwotnym. Następnego dnia czuje się już jak nowonarodzony. Wiem, że ludzie mogą tak żyć, ale nie mam bladego pojęcia, jak do tego doprowadzić.

Przez takie myśli zostałam wygnana.

Bogów tworzymy podczas bezgwiezdných nocy spędzonych samotnie w lesie, tworzymy ich podczas wysokiej gorączki, podczas najgłębszej i nagłej mgły. Bogowie są podobno nieśmiertelni. A może po prostu biorą ten proszek czy coś tam innego i wcale nie zdrowieją magicznie. Może każdy z nas tak może, nie tylko mityczni bogowie i nie tylko nadprzyrodzona ja.

– Deszcz o dziwo ci pomógł. Pij.

Podaje mi garnek wypełniony ciepłym naparem. Piję łąpczywie.

– Napar z jeżyn. Pomoże.

– Dzięki.

– Zrobię jeszcze trochę.

– Ciepła woda starczy.

Dar przeniósł mnie kawałek pod zasuszony krzak, który przykrył płaszczem i nabudował nade mną szałas. Wygodne skalne osłonięcie tuż przy kilku przytulnych krzakach. Czysty chrysalizm. Utwierdzam się w przekonaniu, że miło mu mieć pod pieczę jedną osobę, a nie tysiące, tak jak mi jest miło nie mieć pod pieczę nikogo.

Mimo „szalasu”, jestem cała przemoknięta od siebie samej. Muszę śmierdzieć. Muszę mieć paskudne włosy. *Muszę być brzydka*. Nie chcę nawet o tym myśleć.

– Wiesz może dokładnie, jak daleko jesteście od moich obozów? – pyta się mnie niby mimochodem, to niebezpieczne pytanie, zdradzające, że sam nie ma pojęcia, gdzie jest.

Chyba wiem. Mniej więcej. Będzie z pięćset kilometrów. Albo sześćset... Lotem ptaka, więc w rzeczywistości w marszu to więcej. A jak się człowiek pogubi, tym gorzej.

Nic nie mówię.

\*\*\*

\*\*\*

\*\*\*

## JAK SIĘ TUTAJ GUBIĆ

Dar zgubił się w Puszczy. Ale nie spanikował i wyszedł na prostą i idzie pewnym krokiem przed siebie. Tak po prostu.

Mam bardzo bliskiego przyjaciela, który też jest uosobieniem *tak po prostu*. Podziwiam go całym sercem.

Sytuacja jakoś sprzed roku. Do Daniela po ponad dwóch miesiącach przychodzi wymęczony dwuosobowy patrol. Mieli zniknąć na tydzień. Po swojej zbyt długiej tułaczce wyglądają jak bezdomni nędznicy, a nie jak świta obrony. Wynędzniali, wystraszeni i z olbrzymią ulgą w oczach, że wreszcie nas znaleźli.

Skory i Kazar, z tego co pamiętam. Znacznie starsi od Daniela i od Róży i tym bardziej ode mnie. Fajni, Skory to w ogóle jest świetny. Zostali zesłani za wciąż nie wiemy co, ale

to nie ma większego znaczenia, bo u nas, jeśli ktoś nie chce mówić, to po prostu nie mówi. Złota zasada naszej osady.

– Tydzień! Mieliście pójść na tydzień! Jakim cudem przerodziliście tydzień w dwa miesiące? – Daniel jest rozgniewany, że się zgubili i na początku niezłe ich beszta. Ale potem dodaje pocieszenie. Bo jedyne co oni mówią to:

– Zgubiliśmy się...

– Zgubiliście... to się zdarza.

Jestem w tym samym pomieszczeniu, cośtam robię, ale zaczynam się przysłuchiwać, bo Daniela zawsze miło się słucha. To chyba najmądrzejszy człowiek, jakiego poznałam!

Tylko dlatego nie jest liderem naszej osady, bo ma za dużo swoich obowiązków, poza tym *jak mu się, kurwa, nie chce*.

– Tu jest tyle miejsca, w tym lesie, osada jest mała, pójdziecie za daleko, zgubicie się jak nic jeszcze nie raz i nie dwa. To normalny stan w tym miejscu.

Dwójka jego ludzi odetchnęła z ulgą, że to już koniec wcir za pierdołowatość. Bo co to za patrol, skoro nawet nie wie, gdzie i co patroluje? Ale Daniel nie boi się ich wysyłać, takie doświadczenia są lepsze, niż głupie sterczenie nad rysunkami, mapkami i schematami.



– Polubicie zgubianie się. Albo będziecie zawsze zgubieni, albo zawsze będziecie wiedzieć, gdzie jesteście.

Nie dziwię się, że patrzą na Daniela zmęczonym wzrokiem. Właśnie w ich mniemaniu cudem znaleźli naszą osadę, są umordowani i styрани, a ten im mówi, że powinni się podczas ostatnich tygodni dobrze bawić.

– Z pewnego punktu widzenia nie da się zgubić i zawsze się wie, gdzie się jest. Na przykład teraz jesteście tutaj. Zawsze wiecie, gdzie jesteście, wystarczy, że przestaniecie się nad sobą użalać. Byście wyluzowali, to i szybciej znaleźli drogę i teraz nie wyglądali jak ostatnie łachmany – dodaje na koniec.

Odmaszerowują. Nie wiem, czy do końca zrozumieli. Słyszałam tę mowę już kilka razy, w nieco różnych wersjach. Nowi mu się gubią przez cały czas. Przypadków, że nie wrócili, praktycznie nie ma.

Chodzi o prostą prawdę, że można się zgubić względem czegoś. Względem samego siebie zgubić się nie da.

A jak ma się wokół tylko kamienie, żwir, krzaki i drzewa, to tym bardziej powinno się to odczuwać, że jedynym punktem odniesienia jesteśmy my sami. Każde miejsce jest dobre i nie ma żadnej potrzeby się przejmować, gdzie co jest.

To podstawowa zasada niegubienia się: uspokoić się i odpuścić.

I wtedy jakoś, tak po prostu, jest się na dobrej drodze. Jakby to osada się zgubiła i teraz sama szukała swoich ludzi.

\*\*\*

Daniel mówi:

– Wiesz, Wiluś, nie lubisz Pustki i Skraju, bo po prostu ci na dzień dobry skopali tam tyłek. Ale posłuchaj. Zostałaś wywalona i porzucona. Przeszłaś kawał drogi. Byłaś sama. Nie wierzę, by było inaczej: musiałaś nabrałaś dystansu. Wszyscy tego doświadczamy.

Karol i Róża milczą ze zgodą. Od początku bardzo wiele nas łączyło. Na przykład nie branie świata na poważnie i to mimo wiecznego zapierdolu i pracy.

Daniel kontynuuje:

– Przecież nabrałaś dystansu dosłownie. Po horyzont pustynia. Na początku na pewno pragnęłaś dotrzeć do jej końca.

– Cały czas pragnęłam. Nie na początku. Przez cały czas gdy tam byłam – wtrącam.

– Rozumiem, ale jak jest się na niej zbyt długo, to się ją po prostu akceptuje, prawda? Nie powtarzałaś sobie: *to zły sen, to zły sen, chcę wreszcie zobaczyć miasta i wsie i pola i lasy.*

*To prawda*, pomyślałam sobie wtedy, gdy siedzieliśmy w piątkę i z Zajęciami przy kominku. Po prostu szłam przez Pustkę. Wiedziałam, że miałam dotrzeć do obozu na Pustce. Nie miałam złudzeń, wiedziałam, że tam nie dotrę. Ale nie miałam żadnych wyobrażeń, gdzie dotrę. Byłam ja i koń i pusto i nic.

Czasami przyłapuję Różę i Daniela na rozmowach, które trudno zrozumieć, jeśli się zacznie przysłuchiwać od środka. Zazdroszczę im tych pogaduch, że mają w sobie kompanów do takich filozoficznych dywagacji. Oczywiście nasze gołąbki nie rozstrząsają wielkich tajemnic świata. Ale potrafią z sympatią podejść do otaczającej rzeczywistości. Oswoić na elementarnym poziomie.

Daniel dalej tłumaczy.

– Więc ta przestrzeń, no... ten dystans powoduje, że się po prostu akceptuje świat, nie potrzeba go aż tak bardzo analizować, jest spokój. Prawda? Nie wiem, czy rozumiesz.

– Powiedzmy, że rozumiem.

*Jeśli umrę w środku Puszczy, to co? To nic. Jeśli zgubię się na Pustce, to co? To nic. Jeśli zgubię coś cennego... to co? To nic.*

Gdy mam przed sobą niekończący się las, w który mogę iść i iść i iść... I gdy mam przed sobą Pustkę, której po prostu nie ogarniam wzrokiem... Nic wokół nie ma, tylko ja. Więc po co za bardzo się przejmować i niepotrzebnie tracić nerwy. Od tamtej pory już nie potrzebuję rozmawiać o otaczającym świecie, nie buntuję się przeciwko otaczającej rzeczywistości, żadnego *co ja tutaj robię*.

Czasem sobie patrzę na Daniela i myślę: trzymasz twarde kupę ludzi. Wydajesz masę poleceń, nie mam pojęcia, jak ogarniasz to wszystko w czasie i przestrzeni, a przecież to dopiero początek, będzie nas więcej.

„*Jak mi się, kurwa, nie chce*”, mówisz wieczorem uwalając się w fotelu, a zwykle zasypiasz jeszcze nim się położysz. Mimo to... jesteś wciąż głęboko w sobie beztroski.

Nie jesteś u podstaw zaniepokojony. Podobnie Dar. Ten sobie po prostu lezie. Po prostu opuścił Pałac, po prostu zaczął kolonizować przestrzeń za górami, po prostu się uratował, po prostu sobie wraca do swoich i po prostu będzie dalej nimi dowodził.

Jeśli, Panie Dowódcu, w istocie jesteś beztroski, mimo tych wszystkich ludzi pod sobą i tych wszystkich obowiązków... to tego chcę się od ciebie nauczyć. To jedna z najważniejszych lekcji, jakiej mógłbyś mi udzielić.

Daniel jak nic by się polubił z Darem, myślę sobie teraz.

\*\*\*

\*\*\*

\*\*\*

Jak się ktoś pośpieszy i zna topografię i ma konie, dziesięć dni, może dwanaście dzieli nas między obozami na Pustce, a moją osadą. Jak jej nie zna albo się wlecze, jak my teraz, to i z miesiąc będzie. Ale po co mam się zdradzać z taką wiedzą, jak odległość mojej osady od jego państwka.

– Powinniśmy ruszać dalej – stwierdza następnego dnia z rana. – Boję się, że tutaj na kogoś wpadniemy, chyba w oddali kogoś widziałem. Ale nie wiem jak twój bark.

Tak!

To teraz. Ta znienawidzona rozmowa, która podąza za mną od czterech lat. Od kiedy poznałam trudne życie. Nie

mogę się ukryć za sukienkami, kwiatami i woalkami. Tutaj ludzie mają co chwilę okazję mnie zauważyć.

– Szybko zdrowiejesz – wwierca we mnie wzrok.

Nie odpowiadam.

– Jest to dla mnie jedną wielką zagadką.

– Domyślam się.

Najpierw nakłania mnie do wstania i odejścia ze dwa kilometry w głąb Pustki. Nie zdradza się, ale mam swoje podejrzenia. Skoro kogoś widział, to najpewniej moich ludzi. Świry by nie wyszły.

Mam nadzieję, że wejście głębiej w Pustkę nie służy utrudnieniu mi ucieczki. Muszę być spokojna. Nie robić z siebie afery, nie robić z siebie afery, nie robić z siebie afery. I tak mi się nie uda. Jeszcze nigdy się nie udało.

– Jak dostałaś strzałę, myślałem, że będziesz zdrowieć tygodniami.

Patrzy na mnie czujnie.

– Ehm... – komentuję z kwaśną miną, bo co jak co, ale to by się nie wydarzyło.

– Zamiast tego dajesz radę normalnie iść, a gdybym pierwszy raz zobaczył ranę, uznałbym, że jest sprzed miesiąca.

Na dowód patykami szturcha mnie w bandaże.

– Ej!

Odsuwam rękę. To, że nic się nie paprze, nie znaczy, że jestem całkiem wyleczona! I nie znaczy, że można mnie szturchać patykami!

A to niby ja jestem tą niesympatyczną!

– To jak? Powiesz coś? Chcę wiedzieć kim jesteś. W Pałacu słyszałem o ekscentrycznej przyjaciółce Dobrej, ale z zachowania, nie z ciała.

Sznuruję usta i nie kwapię się do odpowiedzi. Dobry przykład *ja to w ogóle niedużo mówię*.

– Mów. Skoro się wyraźnie lepiej czujesz, to wreszcie mów.

Patrzę na niego spode łba. Chciałabym wymyślić dobre alter ego. Nie chcę, by wszyscy od razu wiedzieli o moim wytrzymałym ciele. To po prostu niebezpieczne. Przykład: niekończące się tortury za zabawy.

– Skoro nie chcesz nic mówić... – mówi Wadariwon, znów, tak jak to w Puszczy, przewraca i przyszpila mnie butem.

Typowy przykład troski, gdy się okazuje, że goję się w oczach. Nie denerwuję się. Czuję się już znacznie lepiej, znacznie silniej i zdrowiej. Ta ostatnia gorączka, to było

finalne zmaganie się mojego ciała z rozerwaniem tkanek. Teraz już zostaje tylko zabliznianie i uporządkowanie. Nic, co mogłoby mnie utrzymywać w słabości. W razie potrzeby, mogę podjąć próbę uratowania się, a na pewno mogę zostać bez konsekwencji skopaną. Nie denerwuję się też na niego, bo to tylko teatralna niegroźna groźba.

– Twojej rany już prawie nie ma. Wyrzucili cię z Pałacu. Jesteś wiedźmą? Wybrykiem natury?

*Tak, jestem wybrykiem natury. Pierdol się.*

– Czy powinienem cię zabić? – Odpala ni w pięć ni w dziewięć, chyba znowu po to, by mnie nastraszyć. Mówi trochę surowo, a trochę z uśmiechem. To daje niepokojący efekt. Ja czasem robię coś podobnego wobec swoich ludzi, jeśli chcę ich do czegoś przymusić.

– Jak mnie przestaniesz przygniatać, to ci powiem – tyle mu mówię spokojnym głosem. Nieco smutnym.

*„Tu jest ślisko, nie potknij się!”*. *„Uważaj! Wąż!”*.

*„Omińmy tę skarpę, zeskakiwanie jest niebezpieczne, obyś się nie uderzyła!”*.

Marzenia.



– Nie jesteś tym, kim zdajesz się być w pierwszej chwili. Nie jesteś po prostu dziewczyną z lasu, która nauczyła się twardego życia – ten dalej swoje.

– Spadaj! Jestem – *tak, kurwa!* – dziewczyną, jestem z Puszczy i nauczyłam się twardego życia!

– Siadaj – ucisza mnie, gdy but ląduje tam, gdzie być powinien, czyli na ziemi. – Masz siedzieć naprzeciwko mnie i odpowiadać na pytania.

– Bo co? – pytam się równie ponuro, jak i on do mnie mówi. Wkurwia mnie, bo słyszę: mów, odpowiadaj. Kiepska komunikacja, skoro nie bardzo zadaje mi konkretne pytania! Trudno na „mów” odpowiedzieć cokolwiek. *I co mi zrobisz, baranie?*

– Jestem miły. Mogę nie być – odpowiada na moje głośne „bo co” i jednocześnie na tego niesłyszalnego barana.

Ja też mogę nie być miła. To ta wersja, w której walczymy, albo raczej, ja obrywam. Nie chcę do tego dopuścić. Walka na śmierć i życie? W tym nie jestem wprawiona. Więc, jeśli nie będziesz, mój książę, miły, będę musiała uciec. A wcześniej podstępem zaatakować. Bo jestem trochę *Wiją*. I *Walką*, zauważam kolejne powiązanie.

Decyduję się na dyplomację. Siadam.

– Pytaj więc.

– Kim jesteś?

– Opowiedziałam ci wszystko – no i co, mam to w kółko powtarzać? To jakiś żart. Może powiem to dziesięć razy, żeby wyrobić normę na kilka następnych dni. – Znalazł mnie Do-Macha na mnie ręką, bym zamilkła.

– -nie chcę tego słuchać. Chcę wiedzieć, kim jesteś i dobrze wiesz, o co pytam. Zapytałem się już kilka razy. Uzyskam w końcu odpowiedź, ale wkurzasz mnie.

*Z najszczerzą wzajemnością.*

– Nie wiem czemu mam silne ciało. Goi się szybko, nie choruję. Taka się obudziła-

– -gówno prawda. Gdyby tak było, w Pałacu by o tym wiedziano. Byłe zranienie czy przeziębienie i wszyscy by wiedzieli. To coś z Puszczy.

*Pozwolisz, że ja ocenię, skąd to mam, albo raczej: skąd nie mam.*

– Nie wiedzieli. Byłam przyjaciółką najmłodszej z rodzeństwa. Nie kierowano we mnie wszystkich oczu.

– Każdy się kiedyś rani.

– Rozdrapywałam rany. Brałam nóż i rozcinałam.

Próbowałabym zrobić to samo teraz, ale rana była w głupim miejscu.

Przychodzi mi na myśl pewne przykre wspomnienie. Poczęstuję go nim. A niech ma przyjemność to usłyszeć, skoro się dopytuje.

– Miałam raz złamaną rękę. Zauważono to, nim zdążyła się zrosnąć. Wzięli mnie do lekarza.

Patrzę mu prosto w oczy, bo to co zaraz powiem, chciałam zapomnieć, ale nigdy się to nie udało. Bogate szaty prosto od stylisty, przepyszne jedzenie rozpływające się w ustach, nauka wyszywania, tańca i śpiewu. To, co zrobiłam, było moim pierwszym zderzeniem z prawdziwym światem. Daniel mnie potem zachęcał do podobnych rzeczy i niestety mu się udawało.

– Lekarza nie było, nie chcieli go wzywać specjalnie dla dwórki. Miał się stawić za dwa dni. To nie było poważne złamanie, ale oczywiste. Żeby nikt nie zauważył, jak szybko złamana ręka się wyleczyła, włożyłam ją w imadło.

Wywołuję szok na twarzy Dara.

I to prawidłowa reakcja, *panie-księciu-dowódcu-twardzielu-co-już-wszędzie-był-co-już-wszystko-widział*. Niektórzy też mają przykre doświadczenia, nie tylko ty.

Mnie potem przez lata szokowało, jak można było być tak bezmyślnym smarkiem i po prostu nie grać głupiej rozhisteryzowanej dwórki. Przecież oczywista diagnoza mogła być nieprawdziwa, szczególnie gdy postawiona przez bandę nastolatek. Nie musiałam sobie łamać ręki. Mogłam powiedzieć: to jednak nie było złamanie, zobaczcie, już jest dobrze. Nikt by na mnie nie zwrócił najmniejszej uwagi.

A tę rękę sobie w końcu drugi raz złamałam imadłem nie dlatego, że ją sobie sama zmiażdżyłam. Nie byłabym w stanie tego zrobić ani wtedy ani teraz. Włożyłam rękę, zaczęłam kręcić, by zacisnąć, na początku było dużo miejsca i podziałało to jak dźwignia. Usłyszałam kroki, spłoszona wyskoczyłam w powietrze, no i wtedy sobie rękę poprawiłam. Od metalu nacięłam sobie skórę. Niby nic poważnego, powinno się szybko zagoić, ale blizna została do dziś. Nie łapię czemu.

Pan książę przywódca dowódca przechylił się lekko w moją stronę.

– Nie mam żadnego powodu, by uwierzyć w te bzdury – mówi tonem, który świadczy, że trochę nie wierzy, a trochę jest zafascynowany. – Nie wierzę w tę bajkę.

– W to nie wierzysz?– podwijam rękaw, gdzie widać brzydką bliznę po złamaniu. Odsłaniam miejsce, gdzie mój bark zakryty jest warstwą kurzu i potu. Jest blizna mała jak punkt, już mniejsza od tej z przedramienia i opuchlizna oraz zaczerwienienie jak po użądleniu osy. – To nie wierz.

– Czemu się mnie uczepiłaś? Czemu chcesz iść ze mną do moich obozów?

*Minęło tylko kilka dni, wypełnionych gorączką i snem i do tego sam zaproponowałaś wspólny spacer, ośle.*

– Czemu chcesz iść ze mną do obozów? – powtarza.

– To był twój pomysł. Dałeś wolną rękę. Może chcę się wcześniej odłączyć?

– To po co ze mną w ogóle idziesz?

Zagryzam wargę, przekrzywiam nos i patrzę w ziemię.

– Wilczka, nie trzymam ci noża na gardle, ale masz odpowiadać. Nóż zawsze może się pojawić.

Dyplomacja...? Nie daję rady. To nie jest są słowa, do których przywykłam. Marszczę nos rozłoszczona, oczy mam jak szparki.

Róża by mnie za to zabiła.

Ale jej tu nie ma.

– Jakbyś to ty był ze mną w Puszczy i z moją grupą, to ty miałbyś nóż na gardle. – Unoszę brodę i nie boję się patrzeć mu w oczy, coś we mnie krzyczy, bym zamilkła, bo mam wciąż tę małą szansę odpoczywać od swojej codziennej mnie. Mimowolnie częstuję go tym moim wzrokiem, choć w delikatnej wersji. – To ty byś odpowiadał na moje pytania.

Teraz i on jest rozzłoszczony. Dobrze więc! Wracajmy do wersji z dyplomacją. Mam dobrą okazję ją poćwiczyć.

– Przepraszam. Nie jestem mistrzem rozmów. Nikt by ci nie groził nożem. Ale nie chcę słyszeć o nożu na gardle, nie mówi się takich rzeczy dziewczynie.

Chyba go nieco udobruchałam. Może.

– Twoja grupa cię wygnała? – najwyraźniej nie wierzy w moją bezinteresowną chęć pomocy sprzed kilku dni.

– Ciekawe podejrzenie. Kiedy cię zobaczyłam w lesie, pomyślałam, że zostałeś wywalony z wojska.

– Masz świadomość, jak to wygląda w moich oczach? Wyskakujesz tutaj z bezszczelnością i czym jeszcze? Groźbą. Poruszyłem temat rany i mam nagle przed sobą zupełnie inną osobę. I cały czas kłamiesz albo wymijasz.

*Wiją* jestem. Beznadziejnie kiepską!

Mówi to spokojnie. Jest przekonany o swojej przewadze. Nie wie, jakim jestem człowiekiem i że spranie mnie do rzygania i nieprzytomności nie zrobi na mnie piorunującego wrażenia. Przywykłam do tego, nie zbije mnie tak łatwo z nóg. Czy jednak mogę się równać z kimś, kto z ciągłej walki żyje?

– Na rękę ci, że cię ciągnę za sobą. Gdzie jest podstęp?

– Nie ma podstępu. Chciałam... tylko odpocząć – kwituję w końcu zgodnie z prawdą. Tylko proszę, nie draż od czego chcę odpocząć i co chcę zmienić. – Chciałam coś zmienić.

– Co chciałaś zmienić? Nie rób uników. – Jest zniecierpliwiony. Chyba dochodzimy do granic jego cierpliwości.

– Czego oczekujesz ode mnie? – po chwili dodaje. Dobrze, że to dodaje. Nie muszę odpowiadać na pierwsze pytanie.

*Czego oczekujesz* to bardzo ważne zdanie. Można nim wiele wskórać. Wie o tym każdy doświadczony lider dowolnego szczebla.

– Nie wiem, niczego nie oczekuję! Szukasz jakiegoś drugiego dna, a nie ma żadnego drugiego dnia. Zobaczyłam cię, pośledziłam, tak, jestem czasem wścibska i to wszystko

było tak po prostu. Pytasz się, po co to robię, prawda jest taka, że sama nie wiem.

Robię pauzę by zaczerpnąć oddechu.

– A potem dałam się sobą zaopiekować, fajne uczucie, wiesz? Nic nie robiłam. Nie mam żadnego celu. Idę, gdy każesz, dałam się nieść, nie narzekam na ranę. Leżę, gdy mówisz. Czemu według ciebie nie zdychanie i nie podejmowanie żadnych decyzji, jest dowodem zdrady i podstępu?

Milczy i tylko ponuro patrzy na mnie. Więc kontynuuję, już z nutką nieśmiałego badania.

– Pytasz się, kim jestem, mogę szczerze odpowiedzieć, że jestem przyjacielem. Nie jestem obcą osobą. Widziałeś mnie już kiedyś. Co jest złego w tym, że chciałam spędzić nieco czasu z kimś, kogo i ja kiedyś widziałam? Jesteś bratem mojej najlepszej przyjaciółki. Niezwykłe spotkanie, czemu miałabym nie iść?

No to lecę dalej. Chyba jest lepiej.

– Do tego nigdy nie miałam okazji cię poznać. Nie zaproponowałam przed wspólną podróżą, może chciałam spędzić nieco czasu, bo, bo może, może troszeczkę, mam taką nadzieję, to głupia nadzieja, ale może jesteśmy trochę



podobni. Zobacz, oboje możemy ponarzekać na Pałac! – dodaję niepewnie ze znakiem zapytania, próbując uśmiechem rozładować sytuację.

Tyle słów jednym ciągiem. Wyczerpałam limit na najbliższy miesiąc.

Ciekawe, ile problemów może nastroczyć człowiekowi fakt, że jest się dziewczyną, która nie błaga o wolność. To pewnie budzi podejrzenie, że w rzeczywistości ta dziewczyna jest wolna, a to wywołuje niepokój.

\*\*\*

## **BART**

Czas tu na dłuższe wtrącenie. Na pewną historyjkę, która właśnie przemknęła mi przez głowę. Konkretne wyjaśnienie, jakie są (między innymi) przyczyny mojego posłuchu. Mam do tego predyspozycje, jednak wsparcie moich przyjaciół – choć czasem mam poczucie, że nie zasługują na to miano – eskaluje ten posłuch.

Dlaczego demonstracje siły nie robią na mnie aż tak dużego wrażenia, jak można by się spodziewać.

Wytłumaczenie, czemu chcę teraz potulnie podążyć i nic nie robić.

Wytłumaczenie, czemu nie paraliżują mnie groźby.

Wytłumaczenie, czemu potrafię być bezczelna.

A także pokazanie, od czego chcę odpocząć.

Jedna z tych sytuacji wcale nie była tak bardzo odległa. Daniel nie raz zmuszał mnie do rzeczy, które były całkiem bliskie sytuacji z imadłem. W przeciwieństwie do imadła, wzbudzały więcej strachu wśród moich ludzi, niż we mnie (co nie zmienia faktu, że byłam przerażona do granic możliwości). *Wiluś, szybko się leczysz. Dasz radę*, pocieszał.

Niesamowite, jak może zmienić się dwórka w ciągu czterech lat, jeśli da się jej „sprzyjające” warunki.

Daniel przez te ponad trzy lata istnienia naszej osady wypracował sobie całkiem niezłą taktykę radzenia sobie z nowymi, którzy podważali jego kompetencje w skrajny i niebezpieczny sposób. Z takimi, których nie dało się poniżyć fizycznie. W największym uogólnieniu taktyka sprowadzała się do tego, że nowy spuszczał Danielowi łomot. Daniel lądował z połamanym nosem (za każdym razem), wstrząsem mózgu (w większości przypadków) i złamaniem żeber, obojczyka i takich tam (kilka razy).

Brzmi to przewrotnie, ale taktyka była prawie niezawodna. Była formą upokorzenia napastnika i pokazu, że Daniel naprawdę nie boi się oberwać, że tak naprawdę jest silniejszy. To wzbudza szacunek, zmieszanie, skołowanie. Bolesne było to, że i ja byłam w to wielokrotnie wmieszana. Prawie za każdym razem. Byłam stałym elementem tego cyrku. Od lat. Najdurniejszy przypadek to był ten ostatni.

Przypadek nazywał się Bart.

\*\*\*

Trening poranny został przeniesiony na popołudnie, czy też został skrócony, nie pamiętam, to nie ważne. W każdym razie nie był przeprowadzany porządnie, nie zawsze musi być, połowa to byli ludzie z samoobrony. Daniel nie tylko wykonywał to po łebkach, właściwie zlecił Rademu, w tym samym czasie stał nieopodal nad jakimiś notatkami, tylko raz na jakiś czas spoglądając na to, co robi reszta.

Bart przybył do nas dwa dni wcześniej, ignorował wszystkie polecenia, rozparł się pod murem wraz ze swoimi dwoma kumplami i patrzył na resztę jak na robaki.

Nie przypadł Danielowi do gustu.

Mi też nie.

Nikomu właściwie.

Może należy wyjaśnić po krótku, jak wyglądał Bart. Bart wyglądał jak byk na sterydach. Nie mam bladego pojęcia, jak to jest w ogóle możliwe, by człowieka było tak dużo.

Podejrzewam mutację polegającą na podwójnym zestawie mięśni, przez co już u podstaw jest dwukrotnie większy.

Innego wytłumaczenia nie widzę. Ćwiczeniami nie da się tego osiągnąć.

Dla nas wszystkich taki niewspółpracujący Bart jest równie użyteczny i przynależący do grupy, co wykastrowana szopa.

Daniel kilka razy rzuca w jego stronę czujne spojrzenie. Rady podchodzi do Barta i spokojnie mówi, że ma się przyłączyć do ćwiczeń. Szopa uśmiecha się kpiąco i nic nie robi. Rady wygląda przy nim jak dwunastoletni chłopiec. Milczy i wzrokiem nakazuje Bartowi przyłączyć się.

Ten w końcu unosi swoje cielsko i rzuca ten paskudny uśmieszek. Staje naprzeciw tego, kto ma z nim walczyć. Nietrudno się domyślić, że biedny przeciwnik jest nieźle spłoszony, ale reszta dróżyny Daniela dodaje mu otuchy uśmiechami.

*(Śmiało, spuści ci łomot, każdy z nas przecież czasem dostaje wciiry, fajnie będzie. I już w pełni będziesz należał do zespołu!)*

Chłopak, biedactwo, jest z samoobrony. Ma prawo być śmiertelnie przerażony.

Bart jednym uderzeniem w brzuch zwała chłopaka z nóg, unosi go w powietrze i poprawia pięścią. Chłopak upada już w tej chwili nieprzytomny. Jest nowy, słaby, a jego przeciwnik nie wie, czym jest szacunek. Chce tymi dwoma ruchami pokazać... no właśnie to nie wiem co, na razie pokazał, że jego istnienie jest bez sensu.

Doprowadzanie do nieprzytomności jest zdecydowanie niezgodne z zasadami treningów. Chłopaki i dziewczyny mają się trzymać razem i sobie pomagać, a nieprzytomność jest granicą bezpieczeństwa.

Daniel wzdycha, przewraca oczami i idzie do kółeczka. Dwóch jego ludzi wynosi chłopaka i biorą go do domku szpitalnego. Najpewniej długo z niego nie wyjdzie, za to będzie obiektem ogólnej sympatii, jako prawdziwy twardziel po inicjacji. Gdy znów pojawi się na treningu, zostanie przywitany gromkimi brawami. Trzeba się wspierać i motywować.

Wracając do tego świra, Barta. Już chce odejść, ale Daniel go przywołuje na środek.

– Nie możesz się tak zachowywać. Musisz uczestniczyć w treningach z szacunkiem do innych.

Bart patrzy na niego z przeciwieństwem szacunku. Więc Daniel mówi:

– Walcz ze mną. Proszę bardzo. Jestem przywódcą. Jestem tutaj najważniejszy. Zobaczymy, co potrafisz. Założę się, że nie jesteś lepszy.

Jednak Daniel nie planuje nawet podejmować walki i wiele osób zgromadzonych wokół tej dwójki dobrze o tym wie. To co planuje zrobić Daniel, to zrobić z siebie świra, któremu przemoc nie jest obca, bo on sam jest przemocą. Bart ze stoicką pewnością siebie uderza Daniela. Ten zatacza się, uśmiecha i rzuca:

– No dalej. To było nic. Pokaż, co potrafisz.

Mój przyjaciel dostaje po brzuchu. Bart jest nieco zdziwiony zupełnym brakiem obrony ze strony Daniela, ale uznaje to za nędzną słabość żalostnego dowódcy.

Daniel jeszcze raz wstaje z uśmiechem od ucha do ucha.

– No proszę, jesteś silny. Jeszcze raz.

Jeszcze Raz to przemoc, której doświadczałam nie raz i na pewno jeszcze nie raz doświadczę. Nienawidzę Jeszcze Raz. Rady przygląda się temu opierając twarz na dłoni i z przekrzywionymi ustami, co wyraża mniej więcej tyle: *Daniel, popisujesz się w najdurniejszy z możliwych sposobów, skończony idioto*. Cała reszta ludzi czeka. Nowsi patrzą z przerażeniem na to, co się dzieje, co bardziej doświadczeni sznurują usta i czekają na rozwój wydarzeń.

Daniel w końcu jest doprowadzony do stanu, w którym ma kłopot ze wstaniem. Rady mruczy pod nosem coś w rodzaju „*i na mnie teraz spadnie cała robota*”. Może przesadzam, może jest miłszy. Może to jest bardziej „*jest mi go naprawdę żal... i na mnie teraz spadnie cała robota*”.

Uroczą jest czasem nasza osada, prawda?

A Daniel dostaje jeszcze kopniaka w brzuch. Jak leży. Kopanie leżącego...?! Popularność Barta spada na łeb, na szyję.

Róża przechodzi obok. Nieco przyśpiesza, bo dobrze wie, co się dzieje. Przeciska się do pierwszego rzędu.

– Nie wierzę, drugi raz w tym miesiącu? – komentuje swojego zmiażdżonego i zakrwawionego chłopaka. Puszczą

ponure spojrzenie w kierunku Barta. – Przecież któregoś dnia w końcu mu się coś stanie! Ej no, trójka dzieci!

Szopa dalej uśmiecha się kpiąco, ale jest to już nieszczerzy uśmiech przyzwyczajenia.

– Jeśli sądzisz, że dokonałeś czegoś wyjątkowego bijąc mojego chłopaka, to oświecę cię, że nie, nie dokonałeś. Podpuszcza was za każdym razem jak bandę szczeniaków.

Szopa nie bardzo wie, co ma ze sobą zrobić.

– Jak się nazywasz? – pyta się Róża. – Bart, bardzo ślicznie imię. Mamy tu już jednego Barta. U nas jest taka zasada, że jak nabrudzimy, to sprzątnemy, jak coś zniszczymy, to naprawiamy, jak pobijemy, to pomagamy. Tak więc zabierz mojego chłopaka do domku szpitalnego. Duży facet jesteś, poradysz sobie z podniesieniem go, nie? Pokażę ci, gdzie to jest. No dalej. Bierz go na rękę. Co, ja mam go targać...?

Odchodzą, Rady wzdycha i kontynuują ćwiczenia. Niektórzy do tej pory nie widzieli tego typu scenki i pobledli. Rady prosi, by przez najbliższe kilka dni wykazali się wyrozumiałością i współpracą. Poza tym Rady na pewno się bardzo zmartwił, bo będzie musiał poprzydzielać obowiązki grupom i w ogóle te grupy skonstruować, a to naprawdę



niełatwe zadanie i wciąż uczy się swojej roli, roli zastępcy Daniela.

Rzuca do ludzi Barta, że nie ma do nich siły i że albo sobie gdzieś pójda, albo dołączą.

Przechodzę akurat tamtędy, nie, też mają ćwiczyć. Jestem ładna i mam wzrok, który może kamienie przekonywać do latania, więc tamci się nieśmiało dołączają.

– A Daniel gdzie...?

Oni coś chcą odpowiedzieć, mruczą pod nosami niewyraźnie, ale dobrze wiem, co się wydarzyło. Barta nie ma. Wzdycham.

– Nie wierzę. Drugi raz w tym miesiącu?

Szopę wraz z Różyczką znajduję przy Danielu w pokoju szpitalnym. Bart został poinformowany, że może sobie usiąść. Róża rozmawia z pielęgniarką, Danna, która mówi, że na razie to nic nie zrobi, stan obojga jest dobry, ale musiała posłać po dwóch chłopaków i dziewczynę, cała czwórka – bo jeszcze córka Róży, co po nich pobiegła – jest przeszkolona i sprawnie pomogą, tylko oby żebra nie były zbyt połamane, bo będzie bolało i przeszkadzało w oddychaniu i tylko czas pomoże. Róża pyta się o stan ziół, Danna odpowiada, że o wszystko dba i jest dobrze i ostatnio odkryliśmy kolejne kilka

przydatnych gatunków i żeby Róża sobie nie zawracała głowy szpitalem, bo naprawdę wszystko dobrze funkcjonuje.

Komentuję, na chwilę odrywając się od rozmowy z Bartem, że szpital musimy jak najszybciej przenieść poza miasto, bo jak nam przyjdzie jakaś większa choroba, to wszyscy się pochorujemy, łącznie z Grupą. Dobra–dobra, macha na mnie Róża, bo słyszy to już od dawna. Zbudowanie odpowiedniego domku i to kilkaset metrów dalej to kupa roboty. A największy problem to jego ochrona!

Bart chce wstać i sobie pójść.

– O–o..., nigdzie nie idziesz.

Siadam naprzeciwko niego, w pewnej odległości od Róży i Danny, żebyśmy sobie nie przeszkadzali w rozmowie.

Cieszy mnie, że umiem przywoływać ludzi do porządku, że coś we mnie jest, chyba nie do końca charyzma, ale właśnie to coś niezdefiniowanego, coś co sprawia, że ludzie nie czują się przy mnie pewnie. Odpuszczam w swojej roli tylko sam na sam z moimi przyjaciółmi.

Teraz nie mogę. Bart nie wygląda na niepewnego siebie, ale wyraźnie jest zmęczony tą dziwną sytuacją i w końcu siada. Niesamowite, że zajmuje mu to więcej czasu niż normalnym ludziom.

Myślę sobie, z takim cielskiem to nie do brygady Daniela, tylko do ścinki. Odciąży nasze żubry w pracy.

– Więc... czego oczekujesz od naszej osady? – pytam się Barta.

Na razie chodził naburmuszony, pewny swej siły. Pewnie sobie powtarzał w myślach: *wy to nie wiecie, że w każdej chwili mogę was zmiążyć. Nikt nie będzie mi rozkazywał!* Jeśli tak sobie myśli, to jest debilem do kwadratu. Nie istnieją ludzie niezwyciężeni.

Tym razem mój głos i spojrzenie nie powodują natychmiastowej i należytej odpowiedzi.

Wzdycham. No dobrze. Jest na to sposób. Proszę go, by poszedł za mną.

– Chodź. Skopałeś Daniela. Być może faktycznie będziesz lepszym przywódcą od niego.

*Jesteś debilem*, myślę sobie, gdy za mną idzie znów z tym swoim uśmiechem. Widok mnie od tyłu na pewno dodatkowo zachęca do podążenia. Wracamy tam, gdzie ćwiczy danielowa brygada. Boksują się, albo coś innego robią, nie wiem, jakieś wywijanie rączkami. To nieczęsty widok, bo zazwyczaj muszą pracować, a nie się bawić w *doskonałość i*

*inne takie pierdoły*. Przerywają widząc najpierw tę kupę beużytecznych mięśni, a dopiero potem mnie.

– Chłopaki! I dziewczyny. Słuchajcie. – Klaszczę, zacieram dłonie. Wszyscy zbierają się wokół nas. – Będziecie mieć rozrywkę.

Ja nie. Serce mi wali. Dobra mina do złej gry.

Hej ho! Dla dobra narodu.

Kilkoro z ćwiczących ma kłopot z ukryciem przerażenia, podejrzewają, o jakiej rozrywce mówię. W szczególności to ci, co sami przeszli przez to, przez co zaraz przejdzie Bart.

Nie do końca lubię ten moment. Nigdy się nie biłam na poważnie, to znaczy, nigdy ja nikogo na poważnie nie biłam, za to sama byłam sprana wielokrotnie. Umiem znosić ból, szczególnie przed moimi ludźmi. To tylko zwiększa mój autorytet. Ale zawsze przed ciosem zastanawiam się: uciekać? No bo nie walczyć. W takiej sytuacji walka jest zakazana, bo od razu bym przegrała (i fizycznie i psychicznie).

Ogólnie to ćwiczę walkę wręcz i z użyciem różnej broni, od przypadkowego kamienia czy kija i innych elementów otoczenia, przez liny, które są niezbędne przy polowaniach, na sztyletach kończąc, bo na ciężką broń się wypięłam. Krótka broń mi nie przeszkadza, można z nią szybko uciekać, poza

tym pomaga nie tylko w walce (mi jeszcze nie pomogła, nie musiała...), ale też w wielu innych sytuacjach. Gdy muszę oprawić zwierzę, ściąć drzewko, utorować sobie drogę.

Maczety są fajne. I małe nożyki, które można schować pod nogawką na kostce albo przy bucie albo przedramieniu, przydają się do wszystkiego i zwiększają poczucie bezpieczeństwa. Nie będę wymachiwać metrowymi metalowymi pałkami i jeszcze z nimi biegać.

Boję się tego, do czego zaraz zmuszę Barta. To będzie kurewsko bolało. Serce ciśnie mi się do gardła i robię się czerwona i głos więźnie, ale muszę się do tego zmusić, nie pierwszy raz przecież. Zresztą chłopaki widzą, że idę jak na ścięcie. Pewien stopień autentyczności dodatkowo wzmacnia mnie w ich oczach.

Odwracam się do Barta.

– Uderz mnie.

Oto pasywna agresja w najczystszej postaci.

Demonstracja hartu. Psychiczne znęcanie się. Ja nad Bartem, Daniel nade mną.

Nie spodziewał się tego. Staram się nie zaciskać oczu. Wiem, że go złamię w ten sposób, a jeśli nie, to będzie mieć kłopot. Daniel mnie do tego zmusił. Mówił: *Wiluś, oberwiesz,*

*w dzień się podniesiesz i będzie po sprawie. Pomyśl, ile oboje zyskamy. Liderzy, którzy nie boją się bólu. To dobrze robi na morale. Silni liderzy to silna osada, silna osada to silni ludzie, a każdy chce należeć do tych Silnych.*

Róża komentowała, że jesteśmy oboje skończonymi idiotami, że to nie ma sensu i jest niebezpieczne i jaki on Zajęciom przykład daje. Karol sznurował wargi. Nie zaprzeczał, bo wiedział, że Daniel ma rację chcąc ugruntować wizję mnie jako twardzielki i stworzenia lawirującego na granicy człowieka i bliżej nieokreślonego nadprzyrodzonego czegoś.

Zgodziłam się na to. Teraz przed Bartem staram się jak mogę zachować twarz. Już za chwilę jej nie zachowam w stanie dotychczasowym.

– No, uderz mnie – mówię zachęcającym tonem. Byłam dwórką... przecież ja do niedawna byłam dwórką w królewskim pałacu!

Uśmiecham się nieznacznie. Ten uśmiech kieruję sama do siebie. Dla otuchy.

– Dawaj. Daniel jest przywódcą obrony. Ja jestem przywódcą tego wszystkiego – omiatam osadę ręką.

– Skop przywódcę – powtarzam.

Miejmy to już za sobą. Zawsze jest szansa. Zawsze jest szansa, że nic z tego nie wyjdzie. W obu przypadkach Bart jest przegrany. W jednym niestety ja również.

– Sobie chyba żartujesz, durna babo – cedzi Szopa. Ton ma ostry, ale to co jest istotne, to odmowa wykonania rozkazu.

Rozkaz to rozkaz i musi zostać wykonany. Odmowa i nieposłuszeństwo to zachowania, do których nie powinno nigdy dojść. Wyjątki na które czekam: odmowa z empatii, ze współczucia, ze szczerzej niechęci krzywdzenia, z chęci porozmawiania, z takiej fascynacji połączonej z brakiem buty, odmowa z deklaracji zejścia poziom niżej. Podporządkowanie się. Niepewność. Odmowa z chęci zmienienia się w kierunku, który pasuje do naszej osady. Tutaj tego nie ma.

Do jakiej patologii doprowadziliśmy, Daniel. To jest chore. Najgorsze, że działa. Nienawidzę tej osady. Nienawidzę bycia liderką. Dlaczego to się, kurwa, wiąże z byciem pobitą. Nikt nie mówił, że tak wygląda bycie przywódcą. Co za popaprany układ.

*Leśne ruszałki*, wczoraj o nas powiedział Dar.

Słyszę chłopaków, jak coś krzyczą, nie wiem co, dopingują. Bart dostaje ode mnie pięścią w twarz, co wcale nie było łatwe, bo Szopa jest ode mnie wyższa o dwie głowy,

bardziej w brodę dostał. Powtarzam drugą pięścią, w efekcie mózg odbija mi się od czaszki, ląduję na ziemi, zdzieram sobie skórę z brody i przedramienia, robi mi się czarno przed oczami, a na głowę napływa fala bólu. Uczestniczę w nienormalnej grze. Mam dosyć bycia taką liderką, której najwyższy autorytet jest potwierdzany pozwoleniem na porzyganie mnie.

Daniel mówił: *Wii, ludzie zobaczą, że się nie boimy.*  
Odpowiadałam mu: *ale ja się boję! Boję się, jak nie wiem co!*  
*To boli tak, że się odechciewa żyć!*

Słyszałam w odpowiedzi: *przełamiesz się, dobrze ci to zrobi* (w istocie przełamalam się i faktycznie dobrze mi zrobiło, bo choć czuję strach, to w pełni umiem nad nim panować). *Będą nas brali za świrów. To dobrze. Oto Daniel, totalny wariat, da się pobić do nieprzytomności i jeszcze się będzie z tego cieszył. Oto Wilia. Ta to już do reszty nienormalna. Da sobie przylać tylko po to, by upokorzyć kogoś!*

Oczywiście to słowa Daniela, które rozbrzmiewają w mojej głowie, bo sam Daniel leży w szpitalu. Ja leżę na ziemi. Chce mi się rzygać.



– Idiota – kwituje Rady cicho. Staram się wstać. Kręci mi się w głowie, ktoś do mnie przyskakuje i nie pozwala mi ponownie upaść.

Powtarzam zachowanie przywódcy obrony. „Jeszcze raz” każe, a to „jeszcze raz” to jedna z najokrutniejszych rzeczy, jakie można dobremu człowiekowi w tej sytuacji powiedzieć. Szopa odmawia, ale już nie jest taki pewny siebie. Traktuję to jako najlepszą oznakę. Może zaiskrzy mu w głowie myśl, że nie trafił do zwykłej osady, więc i nie może wykazywać swojego zwykłego zachowania.

– Wszystko w porządku? – szczerze pyta się mnie Rady. Czuję, że straciłam ząb, wypluwam go wraz z krwią. Odrośnie w ciągu kilku dni. Skinam głową. W porządku. A tak naprawdę to nie.

Rady odstępuję. Na twarzy Szopy gości znów ten uśmiech. Zbliżam się, ponownie biorę zapach i zdzielam go pięścią po twarzy. W odpowiedzi zostaję nawet nie wywalona, bardziej zmieciona. Leżę na ziemi. Wstaję. Opieram się na zgiętych kolanach.

Jeszcze raz, mówię. Patrzę mu w oczy, które już w tej chwili mam opuchnięte i czerwone. Za chwilę przestaną takie być.

Pobij przywódcę, dobrze ci idzie. Powtarzam zabawę czterokrotnie.

W końcu zmieszana Szopa odmawia naprawdę. Nie ma pojęcia, co się dzieje. Patrzę na niego i macham na kogoś, by mi pomógł.

Od takich rzeczy muszę odpocząć. Przez takie rzeczy staję się z dnia na dzień coraz bardziej ponura i oddalona. Przez takie sytuacje teraz podążam za Darem. Nie wie, przez co zwykle przechodzę.

Nigdy nie sądziłam, że zatęsknię za byciem dwórką. Tylko dlatego się na to wszystko godzę, bo dzięki takim sytuacjom osada jest silna. Efekt jest bezcenny. Dzięki niemu mogę się potem skupić na piłowaniu desek, a nie drzeniu o życie nas wszystkich.

Chłopak – nie jestem w stanie zobaczyć, kto to jest – odprowadza mnie do domku szpitalnego. Szklą mi się oczy, nie jestem w najlepszej formie. Wymiotuję, upadam, czyjeś ręce nie pozwalają, bym znów rąbnęła głową o glebę.

– Witamy w naszym świecie. – Rady rzuca w stronę Barta. Ćwiczenia trwają dalej. Nie widzę tego, ale wyobrażam sobie, jak bardzo ta kupa mięśni musi być zdezorientowana tym, co się stało.

Mam nadzieję, że dezorientacja przerodzi się w coś dobrego. Choćby w fascynację. Może w strach i psychiczne złamanie. Albo chęć komunikacji, by dowiedzieć się, *co* my jesteśmy. Nie wiem, na pewno oczekuję jakiegokolwiek zmiany z jego strony! *Czegokolwiek* innego, niż do tej pory!

\*\*\*

Budzę się, gdy Eryk, jeden z pomocników Danny, nastawia mój nos. „Dzięki, kurwa”, mruczę pod tym moim zakrwawionym nosem. Do bólu nie da się przywyknąć, da się po prostu... przestać go przeraźliwie bać.

W tym pokoju leży nas trójka. Ja i Daniel wyjdziemy najszybciej. Ja już wieczorem albo jutro rano, jeśli będę chciała się chwilę pobyczyć pod dobrym pretekstem. Wieczorem będę wciąż nieco opuchnięta, no i połamany ząb będzie przez tydzień wyglądał paskudnie, ale nad ranem znów będę ładna.

Nazajutrz powracam do moich obowiązków. Jednym z nich będzie zrobienie czegoś z Bartem. Nie pojmuję, co taki człowiek sobie myśli: siedzi ze swoją świtą i ostentacyjnie

czyści wielki miecz. Po wczoraj powiniej być skołowany, że jego demonstracja siły nie zrobiła na nikim wrażenia.

Róża i Karol na wszelki wypadek go unikają lub ignorują, otwarcie zostawiając mnie z sytuacją, którą stworzyłam. Muszę się uczyć radzenia w takich okolicznościach.

– Bart. Doskonale – siadam naprzeciwko tej trójki. Patrzą na mnie, jakby zobaczyli ducha. – Zdziwieni? No proszę.

Potrzebuję odmiany, myślę w kółko. Nie chcę dostawać po policzku na zmianę z wydawaniem rozkazów. Mógłby mnie ktoś, na przykład, przytulić, herbatkę przynieść. Kilka nic nie robi. Mogłabym się z nią zamienić. Nie jestem aż tak dużo starsza od niej. Cóż za niesprawiedliwość.

– Wczoraj się zapytałam, czego od nas oczekujesz. To pytanie też do was. Pytanie aktualne. Co nasza osada może wam dać?

Jeśli nie zaakceptują mojej propozycji, podziękujemy im uprzejmie za odwiedzenie naszej osady. To nieczęsto się zdarza, ale niestety trzeba będzie puścić polecenie o zestrzeleniu ich. Nie mogą się w naszej okolicy pałętać ludzie im podobni. Stanowią zagrożenie dla naszych. Przyłączyliby

się chętnie do tych złych. A wcale nie muszą! Mogą nas docenić i być silnymi wraz z nami.

Nie oczekuję odpowiedzi. Mam ją przygotowaną. Normalnie nie mówię za dużo, ale tym razem nie daję dojść do słowa.

Jeszcze pół roku temu gwizdnęłabym Dannie biały kwiat i romantycznie wplotła go we włosy. Pyłki terkotu, jak wielu innych roślin w naszym rejonie, są psychotropowe. Terkot dodaje pewności siebie, pomaga wypluć z siebie więcej dźwięków, długo się zastanawiałam po co, aż doszłam do wniosku, że ma to zwabiać ptaki zapylające. Głębsze zakątki Puszczy dostarczają wielu fascynujących odkryć z każdej dziedziny, a zwiadowcy eksplorujący dalsze tereny kochają swoją pracę. Pieczołowicie kolekcjonujemy wiedzę o zielarstwie.

Mi pewności siebie nigdy nie trzeba dodawać, ale gadatliwości owszem. Przez ostatnie dwa lata korzystałam z właściwości białych kwiatów. W sytuacjach takich jak ta już nie muszę. Przemowę, niestety, znam na pamięć.

– Wasza dwójka. – Zawsze musi być dwójka, dodaję w głowie, dwójka albo trójka. Charaktery takie jak Bart, nadęte i głupie, nigdy nie zbiorą wokół siebie większej grupy. –

Wierzę, że wiele potraficie. U nas jest bardzo dużo pracy. To ciężka praca. Wymaga determinacji. Nic o was nie wiem... przepraszam, nawet nie znam waszych imion. Jak macie na imię?

Mówią, ale nie czuję potrzeby, by zapamiętać.

Przeczuwam, że nigdy ich nie użyję.

– Dobrze więc. Praca w naszej osadzie wiąże się z pokorą – rzucam wymowne spojrzenie Bartowi. – Zyskujecie masę przyjaciół i wiele innych rzeczy, o których się wam nie śniło. Pozostajecie pod dowództwem Daniela i Róży. Ja i Karol mamy trochę inne funkcje.

– A... nawet nie mieliście szansy zostać wtajemniczeni. Przylależ dwóm liderom, ale musiałbyś się jeszcze naganiać za pozostałą dwójką. Jest nas czwórka. Więc nie tak łatwo nas wytłuc, prawda? Rozsądnie jest rozłożyć dowództwo na więcej osób. Dywersyfikacja to się nazywa. Można nam obijać mordy bez końca, a i tak nie osiągnie się celu. Z otwartymi rękoma zapraszamy do naszej wspaniałej krainy miodem płynącej. Jestem przekonana, że się spodoba. Zapewnimy wam twarde życie, ale całkiem ciekawe.

– A co do ciebie... – odwracam się do Barta. – Jeśli myślisz, że twoja wartość to mięśnie, to muszę cię

rozczarować. Mamy sporo żubrów i jeszcze więcej koni i porządny koń ma mniej więcej tyle samo mięśni co ty.

Tężeje.

– Obraziłam? A przylej mi raz jeszcze! Niejeden przez to przeszedł. To bardzo lubiani ludzie teraz, ci co się dali sprać, albo podpuścić i spuścili nam łomot. Znieśli wszystko, bo stwierdzili, że to miejsce jest interesujące i że pasują i postanowili włożyć w rozwój tego miejsca całą swoją energię, zamiast wpuszczać ją w bezsensowną nieproduktywną przemoc.

Najlepsze jest połączenie siły z bystrością i empatią. Tacy ludzie są dla nas najcenniejsi. Są gwiazdami naszej osady. Są naszymi opokami. Niejednego takiego mamy. Rady tu świetlistym przykładem! Jest doskonały, kochany przez wszystkich i nie bez powodu Daniel nie patrzy na niego jak na zastępcę, co się szkoli, tylko za partnera, który potrzebuje małej chwilki, by wszystko załapać.

Bart ma tylko pierwszą cechę, siłę. Nie musi przecież realizować stereotypu agresywnego tępego mięśniaka.

Ale realizuje. Szkoda.

Chyba nie rozumie, sądząc po wyrazie twarzy. Wiem, że nie jest nieinteligentnym człowiekiem, ale jest owładnięty

wiarą, że jest najważniejszym i najsilniejszym człowiekiem na świecie i nie ma mu równych. Chyba nie wyrażam się dostatecznie jasno.

– Twoja wartość to nie siła, tylko wytrzymałość. Trochę jak u mnie, prawda? – uśmiecham się, bo na pewno nie planował mnie zobaczyć dziś w doskonałym stanie. Pewnie w ogóle nie planował mnie dziś zobaczyć. I w ciągu tygodnia też nie. – Mogą cię lać, a ty sobie nic z tego nie robisz. Możesz więc z pewnością być dużą pomocą dla Daniela. Przyjmie cię z otwartymi rękoma, jeśli przyjmiesz moje i jego dowództwo.

Bo tak, kochany, myślę sobie, Daniel wstanie pewnie wieczorem albo jutro i będzie w doskonałym humorze i będzie miał jeszcze większy posłuch wśród swoich i wszystkich w osadzie. Jeśli przez myśl ci przeszło, że kogoś pokonałeś, to jesteś w błędzie. Czujesz, że się tobą bawimy. Znieś to po męsku, wejdź w tę grę i zacznij trzymać się naszych zasad.

Zobacz, że się ciebie nie boimy, a pozwolimy ci zostać.

– Dużo osób będzie się mogło dzięki tobie wiele nauczyć. Mamy taką zasadę, że nie bijemy do nieprzytomności. Oznacza to, że nie zawsze nasi mogą się dobrze ćwiczyć, bo jak tu dać z siebie wszystko, nie? jeśli to wszystko może



kogoś zniszczyć, a nawet zabić? Oto więc moja propozycja: będziesz pomagał Danielowi i Rademu w treningach. W pozostałym czasie pomożesz nam przy budowie domów. Przydadzą się nam kolejne silne ręce do pracy.

Ochryłam od tej przemowy.

Bart częstuje mnie uśmiechem, którego bardzo nie lubię.

\*\*\*

Minał tydzień. Karol posiedział u Daniela, obecność tak radosnego i ciepłego przyjaciela postawiłaby martwego na nogi.

Daniel obolały sterczał nad planami opracowując kolejne okręgi eksploracyjne i poszukiwanie źródeł potrzebnych materiałów i cennych punktów taktycznych i jak zwykle marudził, że należałoby się za tych świrów zabrać, ale czy już jesteśmy wystarczająco silni, nie wiem, musimy ich wreszcie zniszczyć, a jak komuś coś się stanie, ale w końcu komuś się naprawdę coś stanie, to w ogóle cud, że żyjemy, trzeba ich będzie zniszczyć, zaatakować, a nie się tylko bronić, przecież jesteśmy silniejsi, no ale musimy być jeszcze bardziej silni, może jakimś podstępem, no pewnie że podstępem, a na pewno

z jakimś dobrym planem, a nie że heja! lecimy na nich, no to może niedługo, no chyba nie w tym miesiącu, żebra mi przeszkadzają, no się, kurwa, nie dziw, kiedy to drugi raz w tym miesiącu. Wraz z Różą i Tianą odciążałyśmy go w obowiązkach.

Biedny chłopak, który dostał wycisk, korzystał z odrobiny lenistwa, codziennie wpadał któryś z kolegów. Nikt go nie żałował, co bardziej doświadczeni klepali go po ramieniu – krzywił się przy tym – z gratulacjami i słowem, że już gorzej to nie będzie.

Natomiast Rady z kilkoma chłopakami zniknęli na dwa dni.

Brzydę się wydawaniem wyroków. Czuję się coraz bardziej zmęczona podejmowaniem decyzji. Gdyby Wadariwon się o tym dowiedział, zrozumiałby czemu wlekę się za nim jak szczeniak, którym, z racji wieku, na dobrą sprawę jestem.

\*\*\*

\*\*\*

\*\*\*

Jest bardzo cienka granica między bycie niechcianym dziwadłem a wyjątkowym skarbem. Patrzcie, oto ja, Wilia, dziwadło, które niech wraca tam, skąd przyszło!

Super! Kocham tak się czuć!

A co mi tam, wręcz uwielbiam!

Pan książę patrzy na mnie ze zmęczeniem i mówi, że dobrze, idziemy dalej. Po drodze udaje mu się dostrzec i nożem trafić królika–niekrólika (nawet nie wiem, co to za zwierzę). Tak sobie myślę, mój unik nad potokiem był dobrym posunięciem, bo on rzuca całkiem celnie. Zatrzymujemy się na chwilę, by zwierzaka wypatroszyć. Gdzieś dalej przygląda się nam towarzysz królika–niekrólika. Jest mi go żal, że widzi makabryczną śmierć swojego kolegi. Mam nadzieję, że te zwierzęta nie są monogamistami.

– Skoro już ustaliliśmy, że nie jestem zdrajcą, mogę się o coś zapytać? – staram się go jakoś zagaić, kiedy wypruwa flaki nieszczęsnemu zwierzęciu.

– Dawaj.

– Co takiego się stało, że sam wylądowałeś w Puszczy? I czemu byłeś tak nieostrożny?

Na chwilę przestaje babrać się w króliku–niekróliku. Zresztą wygląda na to, że skończył. Zarzuca obkrwawione ręce na zgięte kolana. To ładny widok, taki swobodny.

– Nieostrożny? No nie wiem, na pewno miałem dosyć. Nie wiem, czy wiesz, ale ja na co dzień mam trochę obowiązków. Mówiłaś, że chciałaś odpocząć. Może ja też chciałem trochę odpocząć. Siedzę na Pustce lub na jej Skraju od lat. Raczej nie zapuszczamy się w las. Zwierzyna i tak wychodzi na zewnątrz. Woda jest wszędzie. Wzrok sięga daleko. Łatwo zapewnić bezpieczeństwo. Pomyślałem, że fajnie byłoby znowu zapuścić się głębiej.

Uśmiecham się. Miło, że sytuacja się uspokoiła.

– Przeżyłem, bo nie jest łatwo mnie zabić. Nie wybrałem się do Puszczy sam. Pojechało ze mną czterech dobrych towarzyszy. Gdy już długo się włóczyliśmy, a mogło to być ze trzy albo cztery tygodnie...

– Na jak długo planowałeś tę podróż?

– To ma znaczenie?

– Jak radzi sobie kolonia bez dowódcy?

Ciekawi mnie również, czy tak głupia rzecz, jak długość opuszczenia, w moim i jego przypadku jest taka sama.

– Mają przecież dowódcę, tylko na długich wakacjach – puszczają do mnie oko. – I mają moją zastępcę i pomniejszych dowódców kolejnych obozów. Istotny element mojej pracy to jej przekazywanie innym. Raz wyjechałem do Królestwa na pół roku, co wraz z podróżą dało znacznie więcej. A gdybym musiał ruszyć z wojskiem stawić czoło jakimś zorganizowanym najeźdźcom? Nie wiem, skąd by się mieli takowi wziąć, ale mogliby i wtedy by mnie dłużej nie było.

– To minął miesiąc. I co dalej?

– Nie wiem czy dokładnie miesiąc, nie liczyłem.

Trafiliśmy do tej okolicy. Byliśmy dość niefrasobliwi. Pięciu, w zasadzie sześciu facetów wyrwało się z ciągłych obowiązków i odpowiedzialności. Codziennie bładziliśmy i rechotaliśmy się z tego jak głupi, że jesteśmy jak zagubieni dezerterzy.

A właśnie, w myślach go ganię. To ty sobie możesz dezerterować bez konsekwencji, a jak twoi ludzie to zrobią, to mają ścinane głowy i klatki piersiowe naszpikowane strzałami?

– Dużo polowaliśmy. Ale któregoś dnia, nie było to tak dawno temu... dosłownie z dziesięć dni wstecz... zostaliśmy

nad ranem osaczeni. Ludzi, którzy nas otoczyli, było zbyt dużo. Może w walce bezpośredniej byśmy dali radę. Ale łucznicy...

– To były te *świry*. Szajka Mandra. Ma duży i silny obóz. Lubią zabijać, lubią straszyć, zagrabiają kolejne przestrzenie. Trenujemy głównie po to, by umieć z nimi walczyć i się przed nimi bronić.

I jesteśmy już prawie gotowi, by ich zaatakować. Moglibyśmy wcześniej, ale są *naprawdę* duzi i nie mają oporów, a my nie chcemy oglądać niepotrzebnej śmierci naszych przyjaciół. Lepiej poczekać, aż jeszcze większa przewaga zapewni nam poniesienie minimalnej ilości ofiar.

Daniel marzy, żeby nie stracić ani jednego człowieka. Gdy ludzi liczy się w setkach, rannych i martwych liczy się na palcach i płacze wraz z ich rodzinami.

Nie wyobrażam sobie rozkazu: weź dwa tysiące i zaatakuj tamtych. A potem dostać raport: zginęło dwustu, może dwustu pięćdziesięciu. U nas się mówi o trzech rannych. Prowadzący spowiada się z sytuacji: jeden ma ostre nacięcie na brodzie, ale to nic poważnego, drugi ma zmiżdżoną piszczel, nie wiem czy się kiedykolwiek w pełni wyleczy,

Danna już go ma pod opieką, a trzeci to pierdoła i z konia spadł niefortunnie.

A nie że: dwustu, a może trzystu na tarczy.

– Bez samoobrony by już dawno nas rozbili –  
kontynuuję. – Może kiedyś ich załatwimy.

*Trenujemy, załatwimy, rozbili.* Zauważył, odnotował.  
Gdybym teraz mogła, palnęłabym się w twarz. Nie bez powodu powinnam trzymać język za zębami i ograniczać się do „mmm”, albo „dobrze”.

Przykład rozmowy:

On: *w walce bezpośrednio byśmy dali radę. Ale łucznicy...*

Ja: *ojej.*

– Na pewno przez chwilę będą gorzej zorganizowani – pan książę mówi z malutkim uśmieszkiem. – Dobry moment, byście uderzyli, jeśli macie siły i gdyby twoi ludzie wiedzieli. Zabiliśmy ich przywódcę.

Wytrzeszczam oczy ze zdumienia. Mówił, że ich zdeorganizowali, ale że zabili tego knura? Ale wieści! Tak ważna to dla mnie informacja, że w pierwszej chwili nie zauważam, że mnie pieprzony dziad podpuścił. Patrzy na mnie z cichą złośliwą satysfakcją, widząc moją zbyt szczerą

reakcję. Nawet nie chodzi o moje ucieszenie się, że zabili Mandera. Chodzi o moją akceptację słów: *uderzyli, macie siły, twoi ludzie*. W tej chwili go nienawidzę. Dobrze się bawi, a ja jestem głupia jak but z lewej nogi, bo moje milczenie jest gównem warte.

Nawet nie wiem, jak z tego wybrnąć. Staram się zachować uprzejme zainteresowanie i tak zrobić, by nie świecić zażenowaniem. Dałam się tak łatwo podejść. Moja głupota może słono kosztować wszystkich moich ludzi.

Należało nasłać na niego Daniela. Powinnam była zabić w sobie potrzebę przygód na rzecz bezpieczeństwa innych. Teraz nie mogę przed nim uciec, bo już do końca się przekona, że należy nasłać ludzi w naszą stronę. Może powinnam go w nocy zabić...? Dałabym radę...? A jeśli się obudzi, albo nie uda mi się, to co? Zostawi mnie w spokoju, *„dobra, próbowałaś mnie zabić, każdemu może się zdarzyć, rozstańmy się pokojowo”*?

Szajka Mandera to mogło być w jego oczach trzydziestu chłopów, a nasza osada składać się z dwadziestu. Moja szczerą reakcją mogła być uzasadniona i nie świadczyć o tym, że jesteśmy duzi. Tak sobie teraz wmawiam.

– Jak to zrobiliście? – dopytuję spokojnie.



– Temat na osobną historię. Jednego z nas zaczęli torturować, słyszeliśmy jego wrzaski i błagania. Wiesz, to bardzo motywuje do działania. Oswobodziliśmy się.

– Przykro mi z powodu twojego towarzysza.

– Straciłem ich wszystkich.

Przemyka mi przez głowę scena, w której słyszę wrzaski Róży, a potem moja Grupa pada jeden po drugim. Nie wiem, czy chciałabym być tą jedyną, która przeżyje. Wolałabym być martwa. Jest mi go teraz koszmarnie żal. Śmierć jego przyjaciół to po części nasza wina. Powinniśmy byli już dawno wybić wszystkich tych świrów.

Wiąże zwierzakowi tylne nogi, by nie przeszkadzał przy niesieniu. Po chwili kontynuuje.

– Zabiliśmy kilku ludzi, w tym ich szefa, Mandera, tak? Wszystkich moich przyjaciół dosięgnęli. Ja dostałem w bok, ale ostrze tylko musnęło.

Milczę w oczekiwaniu na ciąg dalszy przykrej historii.

– Przeszedłem przez dwa większe strumienie, które, liczyłem na to, miały już całkiem uciąć trop. Może łatwo się mnie tropi, ale i nie łatwo ustrzelić. Wiesz, ja całkiem nieźle potrafię przeżywać. Mam w tym temacie nieco doświadczeń.

A tutaj jest naprawdę mało ludzi w porównaniu do innych miejsc.

*Nie tak mało nas. Jesteśmy nieźle zorganizowani i dlatego nie pałętają się pojedynczy ludzie. Żyjemy w świecie czarno-białym. Źli idą do złych, do świrów, a dobrzy do nas, osady pod flagą *Równość, Wolność, Braterstwo*.*

*Dobrzy. Z pewnego punktu widzenia – z każdego punktu widzenia – jesteśmy tacy sami jak te złe świry. Może oni nas tak samo nazywają, jak my ich? Może oni atakują nas nie z frajdy, ale żeby wreszcie pozbyć się zagrożenia? Trują strzały nie ze złości, ale w nadziei, że z czasem będzie nas mniej? Raz użyliśmy ich krwi jako waluty. Nie brzydzimy się zabijać, ale też nie chcemy stracić ani jednego z naszych najdroższych przyjaciół. Zachłystujemy się wszystkimi możliwymi do zdobycia używkami, śpiewamy przy ogniskach tak głośno, że słyhać nas na Skraju, tańczymy w rytm muzyki dziesiątek instrumentów, klepiemy się po plecach i szczerze uśmiechamy, nosimy czyste ubrania w których uszycie wkładamy całe serce, skaczemy na linie do wody jak bez troskie dzieci, którymi wiele z nas jest, zbieramy kwiaty, by pięknie zdołały stoły, nie pytamy się o swoją przeszłość.*

Nie torturujemy... tak często, nie zabijamy... tak okrutnie. Czy to wystarczy byśmy słusznie uważali się za Białych. Tych *dobrych*?

Wszyscy mężczyźni w osadzie *Równość, Wolność, Braterstwo* ze swoją śmiercią pociągną dwudziestu przeciwników. Kobiety wiedzą jak zabić, a pod hasłem *samooobrona* uczymy dzieciaki krzywdzenia innych. Dowódca i liderka *Dobrych* makabrycznie obkrawieni wstają po kolejnym uderzeniu. Na ich twarzach malują się uśmiechy. Ludzie widzą *świrów*.

Daniel chciał pana księcia “zweryfikować”. Czy gdyby zweryfikował, dalej byśmy byli *Dobrzy*...?

Trochę koloryzuję. Nie atakujemy bez potrzeby i nie prześladowujemy, a to już stawia nas po *Dobrej* stronie. Może nie jesteśmy *Biali bez plam*, ale jesteśmy *Fajni bez wątpienia!*

Dar na pewno doskonale czyta ludzi. Bije mnie na głowę w kwestii doświadczenia, pewnie jestem dla niego jak otwarta książka. Może ze mnie wyczytać wszystko. Ale są rzeczy, które nie mieszczą się w kategorii “wszystko”.

– Byłam świadkiem, jak puszczono w ciebie strzałę.

– Tak. Wtedy mogłem zostać ciężko ranny, osaczony i zginąć. Ale nie zginąłem, dowód masz przed sobą. Może

napastnik nie zdążył wycelować, może go zaskoczyłaś, a może był kiepskim strzelcem, skoro to był jakiś dzieciak.

– Dzieciaki są w tym całkiem niezłe.

– To prawda. W każdym razie, szczęście na pewno się przydaje. Nie da się być czujnym w każdej sekundzie, minucie, godzinie podróży.

*Rozumiem cię.*

Wymuszam w ciągu tego dnia zatrzymanie się w jeszcze jednym miejscu. Dość charakterystycznym. Gdy Dar idzie na bok, szybko odkrywam kilka kamieni i wyjmuję z nich korę brzożową i węgiel. Kreślę znaki: W, zaciemnione kółko (co oznacza, że wszystko jest w porządku; dla przykładu kreska oznacza zagrożenie, wybraliśmy kreskę, bo stawia się ją bardzo szybko, zmniejszając ryzyko bycia nakrytym na zostawianiu znaków). Nie dodaję nic więcej, bo słyszę zbliżające się kroki. Zdążam zakryć skrytkę kamieniem.

Wieczór jest naprawdę zimny. Z olbrzymim skupieniem zjadamy królika– niekrólika, którego udało się upiec nad małym ogniskiem. I tak jest w większości surowy. Szkoda, że nie mamy soli, ani że nie ma więcej mięsa. Sucharki i orzechy dawno się skończyły.

Wadariwon stara się rozpałcić ognisko jak najmocniej, nie pozwala, by został tylko żar. Jesteśmy dobrze osłonięci i ogień nie jest tak bardzo widoczny. Ufam dowódcy, że wie, kiedy można sobie pozwolić na wielki ogień. Ten się mocno dymi od wilgoci. Ale to on jest człowiekiem Pustki. Na pewno ma wyczucie, którego ja tu nie mam.

Ciekawe czy wie o naszych patrolach, przemyka mi przez myśl. Raczej nie, jesteśmy wciąż bardzo daleko od jego obozów. Uspokajam się. Moi ludzie, oto kogo najwyżej przywieje na widok światła.

Mimo ogniska i osłonięcia od wiatru, telepie mnie z zimna. Próbuję zająć czymś myśli, żeby nie skupiać się zbyt na tym, jak bardzo jest chłodno.

– Wad...ariwon, jak jest w twoim obozie?

– Którym?

– A ile ich jest?

– No trochę jest. Przede wszystkim jest obóz główny, Jedyńka, to bardziej miasto. Siedzą tam całe rodziny. To taka baza, stolica, można powiedzieć dumnie, jeśli tylko przedefiniujesz stolicę na miejsce o największej ilości dużych sal do rozmów w większym gronie i sporej ilości wolnych łóżek do przenocowania gości.

– No i jest tam więzienie?

– Jest, ale dość małe. Na początku tworzenia się kolonii dosłano mi z Pałacu projekt architektoniczny olbrzymiego budynku więziennego. Pousuwaliśmy kilka ścian i zrobiliśmy z tego przytulne biuro. Usuwanie ścian nie było do końca roztropne, kilka części się pozawałało, ale nikt nie zginął, a miejsca i tak pozostało dużo.

Jak to się stało, że nigdy nie słyszałam szczegółów o tych miejscach? Jak bardzo grupy takie jak nasza i z naszych okolic są odcięte od informacji, zamknięte? Dezerterzy to zwykle osoby z obrzeży. Mało który trafił do Jedyнки. Zwykle od razu mają jechać w bok. Gdy mnie opuszczono po środku Nigdzie to właśnie dlatego, że miałam jechać do Jedyнки, a tamci gdzieś w bok.

Niesamowite. W naszych warunkach pięciuset ludzi w jednym miejscu to metropolia. On ma pewnie z kilkadziesiąt tysięcy. Są oddaleni od nas o trzy tygodnie drogi, powinniśmy wszystko o nich wiedzieć.

Później przy okazji okazuje się, że to nie jest kilkadziesiąt tysięcy, tylko sto dziesięć. Otrząsam się, *co? ilu?* Czuję się mała. Czuję się gówniarzem.

– A reszta obozów? Jak tam jest? – wypytuję zaciekawiona.

Opowiada mi o tej strukturze, siatce, o obozach tymczasowych, zewnętrznych, o „dwójkach”, „trójkach” i „czwórkach”, o tym jak to działa, o organizacji. Trochę się w tym gubię, bo nie potrafię sobie tego wyobrazić. Tego jest dużo. To dużo ludzi. Nas jest trzydzieści setek. Matko przenajświętsza, jaki ze mnie przywódca... w porównaniu do niego. Przecież ja jestem jak szczeniak przy nim. Byle sołtys ma u niego więcej ludzi. Zakładając, że istnieją u niego „sołtysi”.

Czuję się przez chwilę jak kropla w morzu, a potem sobie myślę – moi ludzie to *Moi* ludzie! Wszyscy są dla mnie ważni i może jakby było ich kilkadziesiąt tysięcy, to by tacy ważni nie byli. Nie dbałabym o życie każdego z nich. A tak to wszystkich znam z imienia!

Poza tym, u nas też jest podział osady, choć nie można tego nazwać siatką. Poza główną osadą, jest też tymczasowa. Jej tymczasowość nie polega na zmiennym położeniu, tylko na tym, że ludzie przebywają tam tymczasowo. Sprawdzamy, czy nie przenoszą chorób, trzeba ich odpchlić, odwszyc, umyć, przedstawić podstawowe zasady. To dotyczy dużych grup, bo

pojedyncze jednostki przechodzą przyśpieszony proces, lądują w łaźni i są poinformowani, że mają nikogo nie zabijać i dbać o higienę, żeby żyło nam się długo, komfortowo i bez epidemii.

*Wcale nie jestem taka beznadziejna*, powtarzam sobie raz po raz.

Pan książę się rozgadał. Wystarczy mu zadawać krótkie pytania, by dostawać w zamian cały strumień odpowiedzi. Niestety to, co mówi, ma pod kontrolą, nie raz bardzo gładko schodzi z niewygodnego mu tematu. Teraz rozmowa schodzi na politykę w najprostszym zarysie. Nic więcej nie udało mi się wyciągnąć.

– Mamy mały problem porozumiewania się z Królestwem. Tyle mogę powiedzieć. Na razie to co robimy na Pustce jest traktowane w Pałacu po prostu jako spędzanie wolnego czasu. Tak nas postrzegają: jak bandę zesłańców–nierobów. Margines społeczny. Siedzenie tutaj to podobno sposób na zajęcie mnie i wielu innych osób, żebyśmy w tym samym czasie nie przeszkadzali w Królestwie i nie robili tam burd. Władcy nie są znienawidzani przez lud, gdy nie zabijają w kółko ludzi.



Po wszystkich rozmowach wciąż nie rozumiem, czemu nie wleźli do Puszczy na stałe. Może jest tam coś, o czym ja nie wiem. Może w moim rejonie tego nie ma. Może boją się, że w Puszczy się zgubią. Może czują się lepiej w świecie, którego ja nie rozumiem. Może nie oswoili lasu, tak jak my nie oswoiliśmy stepu.

Dar nie pyta się o mnie i moich ludzi. Nie czuję się z tym komfortowo. Wie więcej, niż powiedziałam.

– Wilczek, nie jest ci za zimno?

– A tobie? Jesteś tak samo ubra-

– -jest ci zimno.

Pyta się, czy może i spokojnie dosuwa. Nie pojmuję, czemu się nie zaczął do mnie bardziej przystawiać, a wszystko kończy się na drobnych flirtach, jakby od niechcienia. Lubi przy ubieraniu czy po myciu zbyt długo zostać bez koszuli, doskonale wiedząc, co robi, bo widzę wtedy na jego twarzy złośliwą satysfakcję. Każda dziewczyna jest taka sama, czyż nie?

On to ogólnie składa się z jednej wielkiej *złośliwej satysfakcji*.

A ja z jednego wielkiego *cichego jadu*.

– Hej, nie... nie czuję się dobrze z tym pomysłem.

– Cicho. Nie pozwolę ci zdechnąć z zimna.

*Sam bądź cicho.*

*Raczej nie zdechnę.*

– Nie grozi mi to. Nic bez mojej zgody, jasne?

Pragnę być dogrzana, niekoniecznie przeleciana. Na ile ktoś taki jak on przywykł do odmów?

Warto dodać, że jestem permanentnie brudna, co po prostu odrzuca od wizji jakiegokolwiek bliższego kontaktu. W opowieściach, które z wypiekami na twarzy czytałyśmy z Dobrą, oni razem uciekali, podróżowali, on dokonywał bohaterskich czynów, bronił ją przed smokami i trolami i złoczyńcami i darzyli się wielką namiętą miłością. Jeśli nie kąpali się choćby razy dziennie, to po prostu sobie tego nie wyobrażam i to ta namiętność, a nie smoki, są największą fikcją.

Odsuwam się. Płoszę. Gdy napiera, wybucham i rzucam tekstem z rodzaju „jeśli mnie dotkniesz, to poświęcę całe życie, by cię zniszczyć”. Mogłam to wyważyć, ale na szczęście za bardzo sobie nie zaszkodziłam. Wygląda na to, że uznał moją przemowę za śmieszłą panikę niegroźnej dziewczyny. Uśmiech – oczywiście, że nieco złośliwy! – wymalował mu się na twarzy, postawił dłoń w geście

„spokojnie, spokojnie” i mogłam sobie spokojnie spędzić noc w przeraźliwym, aczkolwiek bezpiecznym chłodzie.

– Przepraszam, że cię nazwałem wybrykiem natury. Nie bierz tego do siebie – łagodzi atmosferę nim zasypiam.

W nocy ocknę się kilka razy. Obudzi mnie chłód w głowę, naciągnę sobie na nią kaptur (swoją drogą też powinnam kiedyś zadbać o ciepło i rozpalić ogień albo pilnować, by nie zgasł... ale jakoś zawsze tak się dzieje, że on to robi). Kilka razy obudzą mnie hałasy dokładania do ognia. To co na szczęście mnie nie obudzi, to „dogrzewanie”.

Rano jeden z obłoków przypomina mi kominek. Głodnemu chleb na myśli. Muszę się czegoś napić, by zmyć paskudny nocny posmak z ust.

To tak w temacie „jeśli nie kąpali się choćby raz dziennie”...

Zauważam, że mój bukład jest pełny. Przykrył mnie swoją kurtką. Chyba musiał dawno wstać, albo nie spać w ogóle, albo spać snem tak niespokojnym, że wręcz na granicy jawy. Może to, że o mnie dba, wcale nie jest jakimś szczególnym wyjątkiem. Może dba tak o każdego. Może właśnie ze względu na to stał się cenionym dowódcą darzonym szacunkiem, a nie kimś, kogo się nienawidzi.

To jest właśnie prawdziwe lenistwo. Nie to, cośmy praktykowali z przyjaciółmi na stoku, kiedy to miałam cały czas z tyłu głowy, że zaraz muszę wrócić do mojego piekielka. Teraz mogę spokojnie spać. Zасыпаć od razu. Nawet jeśli nie czuję się bezpiecznie.

\*\*\*

Ziemia grzeje. W innych miejscach i tutaj także. Czuję to wyraźnie.

Bijące z dołu ciepło. A może mi się jednak wydaje?

Czemu nikt z patrolujących nigdy o tym nie wspomniał?

– Wadariwon... – zaczynam zamiast „dzień dobry”, gdy się pojawia po chwili. – Zauważyłeś, że coś nie tak jest z tą ziemią?

– Że ciepła jest?

– Tak... – rękoma macam kamień pode mną. Gorący jakby był przed chwilą na słońcu.

– Wiesz czemu? – pyta się takim tonem, jakby chciał mi zaraz sprzedać ciekawostkę.

– Nie.

– Szkoda... – mówi z żalem. Czyli jednak nie wie. – Kilka razy na to natrafiliśmy. Kopaliśmy. Ciepło zniknęło.

Jak się potem okazuje, gorącej ziemi nie da się ani przewidzieć, ani wywołać, a do tego potrafi z godziny na godzinę zniknąć. Za to my możemy robić coś innego – samodzielnie rozgrzewać ziemię. O sposobie dowiedziałam się już w pierwszych dniach podróży z Panem Księciem bez Białego Konia, Za To z Niezłymi Sposobami na Umilanie Podróży. Właściwie to dowiedziałam się dwa tygodnie później, bo gdy stosował ten sposób, zdychałam z gorączki i nie bardzo byłam świadoma, że ktoś wokół mnie kopie dziury.

Rozgrzewanie, niestety, nie jest takie łatwe. Jest potrzebny do tego brak pościgu na głowie, siła w rękach, dobre podłoże, obecność drewna i małych kamieni i końskie zdrowie. Przestrzelony bark, dziura w brzuchu, umieranie z głodu albo inne tego typu okoliczności nie są sprzyjające. Więc kopujemy dziurę i umieszczamy w niej większe kamienie i w niej rozpalamy ogień. Będzie mniej grzał, ale też będzie mniej widoczny, jest to więc całkiem niezły kompromis. Z czasem dokładamy kolejne drewno i kolejne kamienie, byle nie zgasło. I jak chcemy już spać, to rozgarniamy żar i gorące kamienie i to przykrywamy znowu kamieniami i żwirem i inną

warstwą ziemi. W ten sposób otrzymujemy gorącą ziemię prawie na zawołanie!

Niezłe, nie?

Mógłby mnie nauczyć masy takich rzeczy!

Zeszliśmy niżej. Uparłam się, że potrzebuję oczka albo chociaż strumienia. Oczka... są przepiękne! Na tej wysokości zaczynają się pierwsze, niewielkie, nieśmiałe. Rubinowe i amarantowe bojowniki. Mech na kamieniach. Trawa pod wodą. Kocham bliski Skraj. Nawet zrobiliśmy tu króciutki wypad zeszłej wiosny. To znaczy na te wysokości, nie konkretnie tutaj.

Znalazłam takie miejsce, gdzie woda na tyle stoi, że mogę się sobie przyjrzeć, nieruszana prądem strumienia.

I co widzę? Widzę nędzę.

Odkąd podróżujemy po Pustce, nie spotkałam mydlnicy, mojej ulubionej roślinki, którą łączyłam z nasionami gruszy. Wychodził z tego doskonały środek myjący absolutnie wszystko. Moje włosy po niej wyglądały jak z królewskiego balu. Do tego absolutnie zawsze ubóstwiałam wcinąć wątróbkę, od której ładnie rosną włosy, choć na dłuższą metę oczywiście chce się rzygać.

W końcu mówimy o wątrobie. Nie da się tego zjeść cały czas.

Tutaj należą się wyjaśnienia. Przyjęło się myśleć, że księżniczki i dwórki są piękne, ale ich piękno wynika z bogactwa i zadbania. Tego, że są w zdobionej sukni, z kunsztowną fryzurą, codziennie dbają o czystość, są blade, nie skalane pracą w polu, zachowują niewinność i delikatność. Lekarze, pszeniczny chleb z mąki bez piachu, parasolki chroniące przed słońcem, ludzie chroniący przed brutalnością świata. Nauka zwiewności, ruchu, mowy, śpiewu.

Prawie każda twarz w takich warunkach jest piękna.

Gdyby nie zdrowie, moja piękna twarz by nie była wcale taka piękna. Mam zadbane zęby w komplecie. Nie mam grzybicy stóp i paznokcie zawsze mam równe, uporządkowane, nawet teraz. Oparzenia i blizny schodzą w kilkadziesiąt minut. Emanuję zdrowiem. No i ćwiczę. Smukła jestem.

Oczy mam jakieś inne. Włosy ładniejsze. Twarz dziewczęcą, jakbym miała siedemnaście lat. Może w moim przypadku piękno to nie tylko kwestia zdrowia.

Pan książę został za pagórką, choć i tak nie wierzę, by nie podglądał, więc szybko wślizguję się do wody. Szkarłatne

rybki o długich płetwach pierzchną wystraszone. Otrząsam się, okrywam kocem, ciało schnie na chłodzie.

Teraz, kiedy jestem czysta, czuję ten paskudny dysonans między swoim świeżym ciałem, a brudnymi ubraniami. Biorę swoje włosy w ciasny pęk, związuję w niski warkocz, wyjmuję pieczołowicie schowany wzdłuż szwów spodni maleńki nożyk i myślę, czy by ich nie ściąć.

Włosy... we włosach jest siła i moc. Gdy dziewczyna ścina włosy, to zawsze to coś znaczy. To znaczy, że wchodzi na wojenną ścieżkę. Że przeszła przemianę. Że stała się silniejsza, lub chce się odciąć od poprzedniego życia. Że przechodzi żałobę, za stratą kogoś lub stratą samej siebie. Jest w nostalgicznym lub bojowym nastroju. Żarty się skończyły!

W rzeczywistości włosy ścinamy raczej z praktycznych powodów. Gdy są smętne, słabe, brzydkie, zawzione, zapchlone, trudne w utrzymaniu w czystości, rozdwojone, zbyt często jest się za nie łapaną. Albo po prostu: mam dziś ochotę je ściąć.

Odkładam nożyk. Nie wiem skąd moje włosy wiedzą, jakiej są długości. Beznadziejne, po chwili odrastają. To tyle w kwestii symboliki.



\*\*\*

Tego samego dnia napotykam problem. Jednocześnie wielkie szczęście. Ale bardziej rozdzierający problem.

– Widzisz to? – pyta się Dar wskazując na horyzont. – Stado koni.

Przyglądam się. O nie...

– A nie żubry? – wypalam jak idiotka, przecież widać, że konie. Wadariwon rzuca mi rozbawione spojrzenie.

– Czy mi się zdaje, ale czy w tym stadzie jeden jest złoty? – dalej przygląda się oddalonym zwierzętom.

O nie...

– Pewnie tylko tak się słońce układa – próbuję odwrócić jego uwagę i idę dalej, jak gdyby nigdy nic.

*Co on tutaj robi?* Nawet bym go nie podejrzewała, że go tutaj spotkam! Zawsze myślałam, że trzyma się bardzo odległego południa.

– Nie, nie. Jestem przekonany, że jeden jest złoty. Przypatrz się. Widzisz?

Widzę. Doskonale widzę Skowronka. Widzę też, że i on nas zauważył. Mimo że stado jest naprawdę daleko, to ten jeden koń ma uniesioną głowę. Skubany ma naprawdę

doskonały wzrok. Czy to w ogóle możliwe, by mnie rozpoznał? Z tak daleka? Ja widzę tylko migocący punkt. Dla niego jestem odległą ludzką sylwetką. Oby był po prostu czujny.

– Mieliśmy kiedyś złotego konia. To musi być on. Koń Fareja.

Nie wiem czy Fareja to dawne imię konia, albo kim jest Farej, ale nie, to nie jest jego koń. To *mój* koń.

– Takiego nadętego chłopaczka. Z bogatego domu, syn handlowca. Nie wiem czemu dokładnie go wysłano, ale od razu było wiadomo, gdy trafił do nas, że nie łąpał reguł, myślał, że wszystko mu wolno. Spróbował uciec z naszego obozu i wrócić do domu.

– Zabiliście go?

Głupie pytanie.

– Puściliśmy za nim pogoń. Moi ludzie znaleźli go kilkanaście kilometrów dalej po dwóch dniach. Leżał w jakiejś dziurze i kwiczał, złamał sobie kość udową i żebra. Konia już nie było. Nie zabiliśmy od tak po prostu, to niehonorowe zabijać leżącego. Chłopak umarł po miesiącu. Nie zniósł złamania.

A ja sobie myślę, że te żebra i udo to się same nie złamały, panie przywódco. Myślę, że ktoś się mógł do tego przyczynić. Nie tak łatwo sobie złamać udo spadając z konia.

– To najlepszy koń, pokrył dużo naszych klaczy. Muszę posłać ludzi, by go znowu odłowili. Nawet jeśli jest tak daleko. Jest nadzwyczaj cenny.

*O nie...* Tylko go nie łapcie! Oby się nie dał. Oby był mądrzejszy ode mnie.

Jednak nie jest, bo to co widzę, to koń powoli udający się w naszym kierunku.

*Idź sobie!* Krzyczę w głowie. Wrzucą ci twarde siodło na grzbiet, zamkną w ciasnej zagrodzie, wepchną munsztuk do pyska i podkopiają ostrogą, jeśli będziesz się opierał. Odejdź ode mnie i odejdź od wszystkich ludzi!

Dar na początku po prostu podziwia migocące złote stworzenie, ale i on zaczyna zauważać, że zwierzak postawił uszy i idzie do nas z wyraźnym zainteresowaniem. Wbijam wzrok w ziemię. Nie wiem, jak mam się zachować. Nie byłam na to przygotowana.

– Wilczek...?

Sznuruję usta. Alter ego, alibi, bajka. Nic nie mam. Jestem naga.

– O koniu wspominałaś. Co się do ciebie dołączył. To ten?

Pewnie, że ten. To mój koń, zabiłabym się, gdyby ktoś obcy miałby sobie dupę na nim obijać i sprawiać mi przykrość, kiedy to taki dobry koń jest, duszę oddałby za mnie. Raczej do obcej osoby nie podejdzie, ale przecież każdego futrzaka da się złapać, jeśli się człowiek postara.

Co mam odpowiedzieć? Nic nie mówię. Serce mi wali. Może koń zawróci i odejdzie daleko.

W jakiś sposób Skowronek jest do mnie podobny. Nie tylko dlatego, że jest złotawy, rudawy. Jest najsilniejszym spośród wszystkich koni, które tutaj żyją. Zawsze zdrowy. Za każdym razem, gdy go widziałam, czy to w Puszczy czy na Skraju, miał się dobrze i nawet opuszczał stado, by się ze mną przywitać. A wtedy, gdy taki pół żywy szedł za mną przez Pustkę... powinien umrzeć, ale nie umarł i bardzo szybko się po tym podniósł.

Już tyle razy przychodził do mnie! Zabierałam go ze stada, spędzałam sobie z nim trochę czasu i wypuszczałam (wypuszczałam? To nie jest dobre określenie. Rozstawaliśmy się). Imię samo do niego przyszło, jakby sam je sobie nadał. Jest pełen życia i radości i zdaje się być po prostu zadowolony

ze swojego zwierzęcego życia. Zapał, lekkość, piękno, cały on. I do tego przyniósł mi szczęście.

Jakieś źrebiątko wybiega przed mojego ogiera, stara się zgrywać odważnego twardziela, ale gdy tylko powiewa wiatr, długonogi maluch wybija się w powietrze i zmyka przerażony do matki. Stado zostało w tyle, klacze nie planują się nawet na kilkaset metrów zbliżyć do nas. Ale złoty idzie. Co chwilę przystaje, kluczy dla wygody.

– Proszę... – patrzę na mojego towarzysza błagalnie i jest to szczerzy wzrok, *tak, jeśli mnie zmusisz, to będę cię o to błagać, błagać na kolanach.* – Zostaw go...

– Przecież sam tu do nas idzie. Po prostu.

– To mój przyjaciel.

Mężczyzna jest naprawdę zdziwiony. Konie nie przychodzą do ludzi. Z zasady również nie rozpoznają ich na kilometr.

– To może gdy przyjdzie, to na nim dalej pojedziesz?

– Nie ma mowy – zdecydowanie zaprzeczam głową.

– Nie, bo co?

– Nie, bo mi go zabierzesz.

Przyjedziemy do obozu i tyle będę Skowronka widzieć. Od czterech lat go trzymam na Skraju i naprawdę nie życzę sobie, żeby robił za wojskowego konia.

– To mój koń, wiesz? Jednak.

*Twój? Chyba sobie żartujesz!*

– Nie jest twój, nie jest wasz. Na dobrą sprawę mój też nie jest. To koń. Jest swój. Symbol wolności.

Skowronek idzie do mnie, oczywiście teraz mu nic nie grozi. Ale jeśli pan dowódca wyśle ludzi, by go złapali... Wiedza, że Skowron został złapany przez wojsko, jest dla mnie tym samym, co oglądanie pożaru własnego domu, albo śmierci przyjaciela. Marka, chociażby.

– Wilczek, ja nie mówię, że go wezmę. Mogę ci obiecać, no dobrze, niech sobie szczęśliwy siedzi na równinach i tylko wcina trawę, ale on świeci się na kilometr. Jest najładniejszy i najbardziej rosły ze wszystkich. Nie został podpisany i nie jest pilnowany. Ktoś go złapie prędzej czy później. Jest niesamowity.

O rany, podnieca się Skowronkiem jak chłopiec klockami. W tym wysokim, pięknie zbudowanym, dojrzałym i pewnym siebie dowódcy właśnie obudziło się małe dziecko, które naprawdę, ale to *naprawdę!* chce pogłaskać kucyka.

Koń staje pięćdziesiąt metrów przed nami. Postawił uszy, przygląda się. Nic nie robię. Skowronku, nie mam serca cię odganiać.

– Nie wierzę, w to co się dzieje! On naprawdę do ciebie przyszedł! Na pewno stworzycie piękny duet, byś wjechała do obozu jak bogini.

– Nie ma najmniejszych szans.

– Wilczek, będziecie niezwykli. Zrobisz wrażenie.

Proszę, miej przy sobie tego wierzchowca.

*Rytualnie mnie zabijesz na sam koniec, piękną dziewczynę i jej złote zwierzę. Czytałam mity.*

– Nie da się złapać tak łatwo. Ty myślisz, że on mi się ukłoni i poleci za mną jak pies?

– Dokładnie tak uważam. Wszystko na to wskazuje.

Koń dalej się patrzy. Ukłonić się nie ukłoni, ale że polezie, jest ryzyko. Już raz się tak włókł. Odganianie go nic nie dało. Jeśli nie będzie chciał odejść, to odjadę na nim i nie podążę do obozu. A na pewno nie wjadę w środek wojska na idealnym bojowo–hodowlanym ogierze.

– Poczekaj chwilę – zostawiam Dara za plecami, by przywitać się z kimś, kogo znam. Przechodzę czterdzieści

metrów, odchodzę od mężczyzny na tyle, żeby mój zwierzak poczuł się pewnie.

Spokojnym stępem zbliża się do mnie, kluczy między kamieniami i większymi kępami trawy. Zatrzymuje się tuż przede mną i chrapie. Nie na mnie. Na postać za moimi plecami. Nie jest z niej zadowolony.

– Słusznie go nie lubisz – mówię tak, żeby tylko koń usłyszał. – Chce cię złapać i stąd zabrać.

Mam przy sobie przyjaciela. Znajomą postać w nieznanym świecie. Skowronki to łączniki między niebem a ziemią, a mój z kolei zaciera przepaść między kamienistym zachodem, a życiodajnym wschodem.

– Należy być wobec niego czujnym. Ale coś mi mówi, że będzie dobrze. Nie szłabym, gdybym uważała inaczej. A zawsze mam dobre przeczucia, prawda?

Ociera pysk, prawie mnie tym przewraca. Ma piękną, zwiewną i lekko wytartą grzywę. Może by mu ją kiedyś ściąć na krótko? By wyglądał mocniej. Dumniej. Bardziej... dowódczo. Faktycznie byśmy robili wrażenie. Kopia do tego i bojowe smugi na twarzy i zadzie i każdy by nas podziwiał. Albo odwrotnie. Długa grzywa, wplecione kwiaty, lekka, biała sukienka. Daniel od lat robi za stylistę mojego wizerunku.



Może czas, abym się sama wzięła za kreację samej siebie.  
Więcej różyczek i stokrotek w tym będzie.

– To coś pięknego, ten koń – kwituje pan książe o oczach podekscytowanego dziecka. – Weź ty go sobie wyobraź w złocie. To koń do stania na czele.

– To koń do stania na trawie.

Myślę sobie, może chociaż na chwilę wsiądę na zwierzaka. Skoro już tu jest. Wszystko jest dobrze i tak naprawdę to nic się nie zmieniło, skoro napotkałam kogoś znajomego. Wskakuję na mojego malowanego kasztanka. Ma gładką sierść. Miejscami zmechaconą i zabrudzoną, ale wciąż jedwabistą.

– Jesteście królewscy, Wilio – kwituje Wadariwon, a koń rusza gładkim galopem wyłapując moje intencje. Robimy kółeczko, rzucam, że przejadę się kawałek i zaraz znikamy ze Skowronkiem za jakimś małym zagajnikiem i górką.

Wadariwon jest królewski z urodzenia, koń jest królewski całym sobą. A ja co? Ja jestem utyłana błotem.

\*\*\*

Stajemy, widzę tę cudowną przestrzeń z gęstą Puszcza nie tak daleko. Zaczynam kochać Skraj, może i Pustka kiedyś mi się spodoba. Ku niej chce się kierować koń. W stronę swojego stada.

– Nie możesz zabrać mnie ze sobą – mówię bardziej do siebie, niż do niego.

Odpowiada mi ruchem. Rusza przed siebie kłusem, dalej, wbrew mojej prośbie. Nie chce jej spełnić. Zniża głowę, gdy spotykamy się ze ścianą wiatru. Wącham jego grzywę. To najpiękniejszy zapach na świecie.

– Gdy zejdziesz z ciebie, błagam cię, odejdziesz do swojego stada. Zabierz to stado daleko. Jak najdalej stąd. Złapią cię. Ale najpierw mnie zabierz z powrotem.

Nie podoba mu się moja decyzja by wrócić i nie chce się posłuchać. Udaje, że „nie słyszy”. Udaje, że „słyszy” tylko tę część o odejściu do stada.

W końcu niechętnie zawraca i marudnie stąpa w nadanym przeze mnie kierunku. Ile rozumie z tego co mówię? Myślę, że więcej rozumie emocji. Że nie chcę iść dalej wraz z nim. Mój sprzeciw jest duży.

– Tutaj nie jest bezpieczne. Idźcie na południe, jak najdalej. Ludzie chcą was schwytać. Nie podchodź do ludzi. Bywamy paskudnym gatunkiem.

Wiatr się zerwał, olbrzymia wichura i ciemne chmury zapowiadają koszmarną pogodę. Spotykamy się z Darem w pół drogi. Gdy zeskakuję, koń prawie natychmiast odkłusowuje w głąb Pustki. O dziwo, zrozumiał! Dziękuję mu w duchu.

– Jeśli do konia dotknie się ktoś inny niż ja, zabiję go – informuję pana dowódcę, który przystanął wpatrzony w oddalające się zwierzę.

– Zabiłaś ty kiedykolwiek kogokolwiek? – mężczyzna wykorzystuje okazję, żeby wyciągnąć to ze mnie.

– Nie... – no bo własnymi rękoma, to nie.

– To wymyśl lepszą groźbę.

– Nie powiedziałam, że zabiję człowieka. Zabiję konia.

To go wprawia w osłupienie. *Tylko nie zabijajcie kucyka!* płacze jego wewnętrzne dziecko.

Złoty wierzchowiec przystaje z zadartym ogonem. Chrapie przez rozdęte nozdrza, łapie zapachy przychodzące z ostrym podmuchem wiatru. Rzuca w moją stronę ostatnie krótkie pojrzenie i odgalopowuje prężąc szyję.

Niesamowite, że mimo oddanej mu wolności i tak się mnie trzyma.

\*\*\*

Równy marsz wczoraj i dziś. Trochę rozmawiamy, ale nie czujemy większej potrzeby gadania. Miło jest po prostu wspólnie iść, wspinać się, pokonywać kolejne wzniesienia, ostrzegać się przed śliskim kamieniem. Przypomina mi teraz Karola. Tylko Karol by sobie podśpiewywał pod nosem. Kocham to, że śpiewa.

Czasem rytm jest wszystkim, czego potrzebuję.

Równy rytm.

Równy marsz.

Równy rytm.

Równy marsz.

Dar próbuje pociągnąć rozmowę. Wybiera sobie za temat żubry, najwyraźniej nie ma ich za dużo w jego stronach. Nie zaprzeczę, to przydatne i majestatyczne zwierzęta. Nie mówię mu, że korzystamy z ich mięśni przy ścinie, to by oznaczało, że osada jest większa. Mówię, że jest ich dużo w okolicy, ale zatrzymuję dla siebie fakt, że jest absolutny zakaz polowania

na nie, jako że są jednymi z najbardziej użytecznych zwierząt, a ich stada są przetrzebiane przez świrów i choroby. Draży temat polowań. Nie schodzę ze stanowiska, że króliki, chruściele i maleńkie antylopki są łatwiejsze w zabiciu od żubrów. Dorzucam jeszcze, że nie miałabym serca zabić takiego żubra i że mało poluję, a noże to dla samoobrony.

Niewinna dwórka. Moja nowa rola. Już ją kocham. Wszystko jedno, czy on w to wierzy, czy nie. Ja wierzę.

Nad nami krąży kruk. Skąd tu kruk? Nie zdążam wyciągnąć jedyne go logicznego wniosku, bo mój przewodnik zastyga w bezruchu. Wpatruje się w odległy punkt i to wcale nie w kruka.

– Szlag... – mruczy z niezadowoleniem i zerka na mnie z pewnym niepokojem.

Zrównuję się z nim również zaniepokojona.

– Dwójka – mówi brodą wskazując dwie postacie. Nie są tak daleko, nie zauważyliśmy ich wcześniej przez skałki.

Dwójka! I kruk. Dwa dni pod rząd, jak spotykam przyjaciół. Wiem, kto to jest, a jeśli się nie mylę, to wiem nawet bardzo dokładnie. Lena i Miko. Na początku tego roku zostali sparowani przez Radego, bo dotychczasowy partner Miko uległ kontuzji. Rady wziął Lenę – czujną i wytrzymałą

dziewczynę o doskonałym oku łuczniczki – idealna kandydatka na skrajny patrol. A Miko zawsze czuł się lepiej na Skraju i od samego początku, gdy do nas trafił, zadeklarował chęć pozostania na otwartej przestrzeni. Szybko stali się parą nie tylko w pracy.

Cieężko nie być partnerami, gdy się długo lezie razem przez Skraj i Pustkę. Ciekawe na jak długo moja groźba o zniszczeniu podziała na Wadariwona. Nie mam nic przeciwko, jeśli już nie podziała na długo.

– Uh! Chyba nas widzieli – Dar upewnia się, że ma swoją broń pod ręką. I moją, bo jeszcze mi nie oddał. – Może pójdą swoją drogą. Jakby co, jesteśmy parą podróżników. Zgubiliśmy się w Puszczy i szukamy naszej osady. Nie wojsk. Jasne? Nieuciekanie jest najlepszą strategią. Nazywam się Jakub. Ty... Nie wiem, wszystko jedno, niech będzie Olga. Jasne?

– Jasne – sprawiam mu tę przyjemność i przytakuje z rozbawieniem. Ale zdziwisz się, Jakubie. Czuję, że Lena i Miko w pierwszej kolejności będą chcieli z Olgą rozmawiać, nie z tobą, mimo że jesteś na codzień przywódcą. To będzie pewnie dla ciebie nowość.

Poza tym widzę, że się niepokoi, czy to nie zapowiedź podstępnej zasadzki z mojej strony. Jeśli tak podejrzewa, to ma po części rację. Zasadzki nie ma, ale ludzie są ode mnie.

Obie postaci zbliżają się do nas ostrożnie, obserwują otoczenie, słusznie nie mają pewności, czy i nas jest tylko dwójka, a nie większa grupa. Kobieta trzyma w pogotowiu długi łuk, mężczyzna ma w ręku krótki sztylet i miecz u pasa w gotowości. Widzę ich twarze i mam pewność, że to oni. Nigdy wcześniej nie miałam okazji zobaczyć ich w pracy – szkoda że i teraz nie zobaczę, bo ta sytuacja rozwiąże się w ciągu chwili.

– Stać! – krzyczy Dar. Oboje unoszą broń w zdziwieniu, bo odsłoniłam twarz i teraz widzą, kto towarzyszy „Jakubowi”. – Opuście broń!

„*Opuście broń*”? Po co normalni ludzie mieliby to robić? Z łukiem i kilkudziesięcioma nożami najróżniejszego kształtu i rodzaju mają przyjemną przewagę.

“*Niech myślą, że jest nas stu!*”, to chyba ta sama taktyka. Albo jest durny jak but. Od razu przechodzić do konfrontacji... Ja bym zaczęła od “cześć”. Albo “hej!”.

Lena spogląda na mnie, bo mimo odległości od razu mnie rozpoznała. Zza pleców mojego towarzysza puszczam jej

uśmiech, pokazuję gestem, że wszystko jest w porządku. Chcą się teraz schylić, by położyć broń na ziemi, żeby złagodzić sytuację robiąc to, czego chciał Wadariwon. Może odczytali mój znak jako rozkaz podążenia za rozkazem, może uznali, że jestem zakładniczką.

Nie no, nie wygłupiajmy się.

– Znamy się – mówię Darowi. Wszystko w porządku, zapewniam go.

– Tak? – patrzy na mnie zdziwiony. – Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna. Już raz kiedyś ich spotkałam – kwituję i idę przywitać się z tą dwójką. Wadariwon chce iść za mną, ale dłonią go powstrzymuję. Nie chcę, by nas słyszał. – Zostaw to mnie. Nie są mili dla obcych.

– Nie do końca spodziewaliśmy się ciebie tutaj – zaczyna Miko, gdy już podeszłam i uścisnęliśmy sobie dłonie. – Miło cię widzieć!

– Mi was też! Dobra robota. Nie przemknęliśmy się. Kocham was.

– Mieliśmy szczęście – zachnęła się Lena. – Nasz kruk nad wami krążył. Podążyliśmy. Wiesz, że niedaleko jest stado ze Skowronkiem?

Teraz się orientuję, co jest nie tak.



– Gdzie wasze konie? – na moje pytanie wyraźnie się peszą i patrzą po sobie.

– Straciliśmy je, jeden złamał nogę, a drugi uciekł, ale na szczęście bez siodła. Rząd jest schowany, zabezpieczony. Przy najbliższej okazji damy znać, by ktoś odebrał – tłumaczy się Lena.

– To dobrze. Jesteście świetni. Naprawdę!

– Dzięki. – Miko wskazuje wzrokiem na mojego towarzysza. – Wszystko w porządku?

– Tak. Gdy będziecie mieć okazję, przekazcie Grupie, że nie będzie mnie przez dłuższy czas. Powiedzcie, że Mander nie żyje.

Oboje unoszą brwi w zdziwieniu, więc tylko przytakuję, by i oni zbytnią ekspresją nie zdradzili się, jak ważna to dla nas informacja.

– Powiedzcie Grupie, że podążam w stronę wojsk. A ten tutaj to w istocie Wadariwon.

– Słyszeliśmy – Lena mówi ściszym głosem, nie przygląda się, żeby nie okazać, że o nim rozmawiamy.

Dobrze, że nas nie słyszy. – Grupa nie miała pewności, w ogóle nie wierzyli. Daniel powiedział, by nieco zwiększyć czujność.

– Naprawdę?

Co ja mówiłam Danielowi? Że go za to zasiekę?

No ale czujność patroli a podążanie za mną to dwie różne sprawy. Dobrze więc, nie ukrećę łba za to. W końcu to troska! Uwielbiam troskę, nawet jeśli staram się zgrywać twardziela.

– Tak, ale aż trudno uwierzyć, że faktycznie na was trafiliśmy. Nie spodziewaliśmy się. Zaraz puścimy informację.

– Jak ręka? – Miko zauważa, że mam rozdartą koszulę ze starą krwią, domyśla się, że coś było nie tak. Ale tylko pozornie skupia uwagę na mnie. Po pierwsze dobrze wie, że wszystko jest z w porządku. Po drugie próbuje jakoś niepostrzeżenie przyjrzeć się mężczyźnie. To najślynniejszy człowiek po tej stronie gór. Miko na pewno jest bardzo ciekaw. Mimo, że dezerter, nie musiał go nigdy widzieć.

– Ręka jak to moja ręka, dzięki. Słuchajcie, Wadariwon niewiele o nas wie. Niech tak na razie zostanie. Zróbcie coś, jakbym was obraziła, żeby nie było, że jesteście ode mnie.

Patrzą po sobie, Miko wyciąga miecz, Lena naciąga łuk w stronę Dara i ogólnie mówią całymi sobą, że jest źle. Nieźle grają. Podnoszę dłonie do góry, cofam się wystraszona.

Słyszę za mną ruch, nie odwracam się, biorę dłoń trochę w bok w geście zatrzymania.

– Stój! – krzyczę do Dara. – Wszystko jest w porządku.

Stój teraz!

Słyszę, że stanął. Po dłuższej chwili mój patrol jako–tako wraca do porządku, ale zachowuje udawaną czujność względem mnie.

– Ślicznie dziękuję. Może ta szopka go przykonała, że nie jesteście ode mnie. Pójdziemy dalej, a wy swoją drogą.

Dobrze, że nie wyszło od razu, że jesteście naszym patrolem.

Postaram się mu nakłamać.

– Idziesz z nim do jego wojsk? – dopytuje się Miko. – Po co?

To jest właśnie urok naszej osady. To dlatego przyłączają się do nas ludzie. Bo szeregowy członek może się zapytać dowództwa wprost: „*po co tam leżysz?*”. I jak ja miałabym się obrazić albo zezłościć? To pytanie nie jest kontrolowaniem mnie. To nie jest: „*wytłumacz się, to zdecyduję czy to dobra decyzja*”. To jest bardziej: „*wytłumacz mi, bo to brzmi ryzykownie i martwię się*”.

Mogą wyskakiwać z takimi pytaniami nawet do mnie, kiedy ja jestem tym świrem, tą „złą” w naszej osadzie!

– Rozejrzę się. Wybadam, czy jesteśmy bezpieczni. Zbiorę informacje – odpowiadam trochę zgodnie z prawdą, a trochę nie. Bo co jak co, nie jadę tam szpiegować... prawda?

Ale swoją drogą... tak, to jest niezła okazja. Tak jak powiedział Daniel. Czym innym są opowieści ludzi, a czym innym zobaczenie na oczy i to w takiej bliskości z dowódcą. Możemy wysłać każdego, ale nie każdy zbliży się tak bardzo do Dara. Mi się udało.

– Dalej już nikogo od nas nie ma. Skrytki dwie tylko. Tysiąc sześćset kroków za dzień i pięć tysięcy za dwa.

– To niedaleko patrolowaliście. Ile to? Sto?

– Nie no, więcej. Szczyt Północ wkrótce.

Skinam głową. Ten punkt charakterystyczny jest mi znany jedynie z opowiadań. Choć dwukrotnie go widziałam, to było to na początku mojego pobytu w Puszczy i nie zwrócił mojej uwagi i go nie zapamiętałam. Ale domyślam się, że wysoka góra majająca na zachodzie to właśnie słynny Szczyt. Dostajemy trochę prostego jedzenia, w tym suszoną wieprzowinę, na widok której aż oczy mi się szklą.

Pożegnalny uścisk. Lena ostatni raz unosi dłoń na do widzenia do mnie i do Dara. Gdy odchodzą, wysyłam krzyk w stronę napotkanego patrolu:

– Idźcie bezpiecznie!

– Wy też! – odkrzykuje dziewczyna.

To jedyny patrol na jaki nacięłam się w tych dniach. Lena i Miko w istocie mieli szczęście, to nie tylko kwestia umiejętności, skoro inni (a musieli być inni!) na nas nie trafili. Nas była dwójka, oczywiście że dwójka a większa grupa to różnica, ale wciąż lepiej, by nikt nie mógł się przemknąć. Może kiedyś, gdy będziemy mieć wolny czas (*aha, akurat...*), to wyślę w tajemniczy grupę, by przebyła tę drogę i przetestowała skuteczność naszych ludzi. Być może będziemy musieli znacznie lepiej wyszkolić nasze ptaki, albo poeksperymentować z kolejnymi gatunkami. Może trzeba będzie gęściej obsadzić miejsca, gdzie Skraj jest wąski. Te dwa ostatnie pomysły są najlepsze.

Wracam do mojego towarzysza. Czas na trochę tłumaczenia.

– To był Miko i Lena. Kiedyś z przyjaciółmi zaproponowaliśmy im wspólne spędzanie czasu, ale odmówili. Wolą Skraj.

– Wyglądali na zwiadowców albo patrol – od razu stwierdza, nie daje się zwieść. Staram się coś z tym zrobić.

– Są dość bojowi, świrnięci. Kiedyś wyszliśmy z moimi przyjaciółmi na Skraj. Nas była czwórka, prawie nas zabili. Tak się poznaliśmy.

– Może należą do jakiejś większej grupy? Są od tych, co ich rozbiliśmy? – wierci temat.

– Nie... wątpię. Tamci nie wychodzą z Puszczy.

– Może należą do twojej grupy...? Co, Wilczek?

Złośliwa satysfakcja.

– Bym chyba poznała, raczej! I raczej by nam nie grozili! Mówię ci, że to ekscentrycy. Zaproponowali dołączenie się. Grzecznie odmówiłam. Nie spodobało im się to.

– Łatwo odpuścili. Za łatwo jak na „dość bojowych”.

– Nie wiem, co mają w głowach!

– Poza tą sytuacją wyglądaliście na całkiem dobrych przyjaciół.

– Bo jesteśmy nimi. Z ludźmi należy trzymać się blisko i przyjaźnie. Tak jak my teraz. Żadne z nas nie próbuje drugiego zamordować, prawda? Albo jest się przyjacielem, albo wrogiem. Jeśli nie jest się jednym lub drugim to tylko dlatego, że jeszcze się nie spotkało.

To ostatni raz podczas podróży, gdy widzę znajome twarze.

Od tego momentu ostatecznie nic nie muszę. Jest mi rozkosznie bezdecyzyjnie.

Żegnaj, osado.

## CZEŚĆ 2

Pustka to bardzo dużo kamieni i żwiru. Ciągną się przez setki kilometrów w pasie otaczającym Królestwo. Między kamieniami wyrastają większe kamienie, olbrzymie głązy wielkości człowieka bądź większe. Z zasady kanciaste, okrągłe stanowią punkty charakterystyczne. Niżej są płaskie płaczące kamienie przeradzające się w przyjazną kamienistą równinę, wyżej więcej kamieni i jeszcze więcej kamieni, za którymi są kamienie, a potem jest już pustynia. Kamienista, rzecz jasna.

Nienawidziłem tego miejsca tak długo, aż je pokochałem.

„Płaczące kamienie” to jedno z najbardziej delikatnych określeń, jakie do tej pory usłyszałem, a które padły z ust mojej zwiewnej towarzyszki. Inne nazwy, które słyszę, zwykle są mniej poetyckie. Wachlarz nazewnictwa sięga od „o! Woda”, aż do całej litanii bluzgów, gdy ktoś się akurat na jednym z nich poślizgnie.

Czy są płaczące, trudno mi powiedzieć. Pocące się, to bardziej pasuje, jakby ziemia za wszelką cenę chciała pozbyć się wody. My tam na nie od początku zaczęliśmy mówić, że są mokre. Mokradła.

– Tam jest jeden mokry! – zakrzyknął Pall, mój przyjaciel, mój brat. To były dopiero początki naszego pobytu na Pustce, byliśmy gówniarzami, nie mieliśmy więcej niż piętnaście lat, niektórzy byli znacznie młodsi, przy nich czułem się jak prawdziwy Dowódca. Pall co prawda był nieco starszy. Ale wiek a doświadczenie to niestety dwie różne sprawy.

Biegniemy do tej skałki, z której wypływa woda i dokładnie w momencie, w którym zanurzamy dłonie, źródelko znika.

– No po prostu rwąca rzeka... – Pall osuwa się na ziemię w zmęczeniu i rezygnacji. – Mokradła. Po prostu mokradła.



No i zostało. Mokradła. Nie poprawiam Wilczki. Płaczące kamienie też mogą być. Tutaj jest całkowicie wszystko jedno, co nazwiemy w jaki sposób.

Wtedy z Pallem i trójką innych wystarczało, byśmy zeszli jeden kilometr w dół, byśmy już mieli nieograniczony dostęp do wody, mokradeł byłoby znacznie więcej, tak samo jak roślinności, zwierząt i ogólnego optymizmu. Ale zarządziłem, że muszę się wyrwać. Druga męska decyzja, zaraz po „idę zobaczyć, co jest po drugiej stronie”. Uciec od nich wszystkich. Niby uciekłem z Królestwa, ale teraz płaczą się wszyscy ci ludzie od mojego ojca i sprawdzają, czy aby na pewno Książę się dobrze czuje i czy wszystko, Książę, w porządku i według mnie, Książę, tam powinniśmy rozbić obóz, a przed tą godziną należy pójść spać. Tak, piętnastolatek na drugim końcu świata z królewskim pochodzeniem i misją badawczą usłyszał coś takiego, jak zalecana pora udania się w kimę!

Zrobiłem sobie więc kilka dni przerwy od tych wszystkich nadopiekuńczych kretynów, wziąłem czwórkę najbliższych przyjaciół, co i moimi rówieśnikami byli, więc nie mogli się mądrzyć w ten okropnie dorosły sposób, i sobie poszliśmy w najgłębszą cholereę. Zniknęliśmy na tydzień czy

dwa, doprowadzając ludzi mojego ojca do szału, rozpaczy i stresu jakich mało, w końcu zgubili Księcia. Wszyscy jak jeden mąż szukali mnie w Puszczy, co dobrze przewidziałem, więc poleźliśmy całkowicie w drugą stronę.

A potem znów postawiłem na swoim, głównie na złość ludziom mojego ojca, którzy uosabiali mojego ojca, i zamiast rozbić główny obóz tuż przy Puszczy albo w Puszczy, ustawiłem go nie dość, że na Skraju, to na dodatek tym bardziej zachodnim Skraju, właściwie na Pustce.

Pierwszy rok na Pustce był pieruńsko trudny, bo jako ten główniarz musiałem wreszcie ustanowić jakieś granie. Urwałem się z Pałacu, a Pałac przywłókł się wraz ze mną, nakazując, zakazując, wskazując i troszcząc się jakbym był różowym storczykiem.

Rozumiem, czemu to robili. Raz, mój ojciec im to nakazał. Dwa, wylądowaliśmy miesiąc ciężkiej drogi od granicy Królestwa i dwa od Pałacu, więc nawet dla mojego kochanego braciszka taka droga i potencjalne niebezpieczeństwa czyhające po drugiej stronie gór mogły być trudne. Po trzecie, nie byłem typowym bojowym dzieciakiem. Byłem szkolony na artystę. Obsługi broni uczyłem się potajemnie, tylko po to, by zrobić na złość

mojemu bratu. Nie zamierzałem jej kiedykolwiek użyć. Wśród najstarszego rodzeństwa dostawało mi się od ciepłej kluchy i panienczki w sukieneczce.

Pierwszy pobyt za górami Pustki pokazał, jak bardzo absurdalna jest ta kretyńska królewsko–pałacowa kontrola.

No kurwa!

Jestem na drugim końcu świata!

*Mogę* tutaj wszystko i *chcę* tutaj wszystko i na pewno *nie chcę* was!

Ten pierwszy pobyt uświadomił mi pewną prawdę: jeśli coś ma być zrobione, należy to zrobić samemu i nie czekać, aż się samo wydarzy. Nagle stanąłem na tej nieskończonej przestrzeni z wiedzą, że nikogo nigdy tu nie było, że ta przestrzeń jest *moja*. Miałem piętnaście lat, więc naprawdę silne zrozumienie tego, że trzeba wszystko robić samemu, bez wsparcia innych, było krokiem milowym. Wymagało to siły, ale powiedziałem zdecydowanie, kogo nie życzę sobie w następnej wyprawie, a kogo *chcę* mieć u swego boku i jakie są moje pierwsze plany odnośnie tego miejsca.

Chuja to dało, bo ojciec postanowił, że zacznie za góry wysyłać niechcianych ludzi w ramach więzienia i że mamy sobie z nimi radzić. Oczywiście nie powiedział tego od razu

tak prosto. Były narady, w których uczestniczyli wszyscy poza mną i ze dwie takie, gdzie kopnął mnie ten zaszczyt i byłem na tych naradach. Było wieszanie się nad mapami i długie dyskusje i ja wrzeszczący i ja wściekły i ja bardzo pragnący, do jasnej cholery, wolności po drugiej stronie gór. Ojciec zechciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbyć się ludzi i pozbyć się mnie z nadzieją, że wyrosnę na prawdziwego mężczyznę, a nie ostatnią pizdę. Więc proszę: szesnaste urodziny, gratuluję synu, masz tutaj dwustu przedstawicieli śmietanki marginesu społecznego oraz drugie dwieście żołnierzy do ich kontrolowania. Przejdź sobie na drugą stronę gór i wiedzcie szczęśliwy żywot, tylko pamiętaj, na siedemnaste urodziny dostaniesz ich dwudziestokrotnie więcej.

Tamta pierwsza dwusetka dała mi popalić i nauczyła kolejnej życiowej prawdy, która przyćmiła tę pierwszą: gdy się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. I łatwiej jest zaakceptować swoje życie, niż na siłę z losem walczyć.

Zostałem postawiony przed takim chujowym wyborem, który wyborem nie był: albo zostaję w Pałacu, wychodzę na tchórza niegotowego stanąć na wymyślonej przez ojca pozycji (jakże wymarzonej, no dzięki wielkie, zawsze chciałem być

naczelnikiem więzienia, a nie że na przykład odkrywać piękne krainy albo rysować w dzienniku niesamowite gatunki ptaków). To był pierwszy wybór. Drugi: jadę na Pustkę i uciekam do Puszczy. Żyję wraz z kilkoma czy kilkunastoma kolegami i w tym zbyt męskim gronie spędzamy całe lata. Nie muszę wymieniać, jak wiele wad miałby ten wybór. A najgorsze w tym byłoby bycie znowu najniżej w hierarchii. Najmłodszy z braci. Najgorszy z rodu. A teraz do tego uciekinier, którego ludzie Królestwa z polecenia samego Króla szukają (czy też bardziej: ścigają). W międzyczasie ta śmietanka marginesu społecznego pragnie ściąć mi łeb jako swoiste trofeum. Nie ma lepszego miejsca na zabijanie książąt, niż Koniec Świata.

Trzecia opcja, jaką miałem i na którą padło: zostać tutaj z tymi wszystkimi psycholami, odmieńcami i dewiantami.

Uważałem, że świat jest wielki. Obce krainy zdawały się być daleko, a potem odkryłem prostą prawdę: tak naprawdę świat wcale nie jest taki duży. Zechciałem znaleźć inne miejsce do bycia, do życia. Wyszło na to, że gdziekolwiek pójdę, będę mógł to miejsce nazwać *moim* domem.

Padło na Pustkę.

Podjąłem się tej fatalnej roli, roli przywódcy wojsk i naczelnika więzienia. Tylko po to, by to miejsce należało *do mnie* i stanowić tutaj *własne* zasady i mieć wszystko pod *moją* kontrolą i robić to, co *ja chcę*.

A nie, że *pora już iść spać!*

Wilczce najwyraźniej to „pora już iść spać” zupełnie nie przeszkadza. Gdy ostatni raz jej to powiedziałem, to wyglądało mniej więcej tak:

– Chyba czas już-

I mniej więcej przy „już” już spała.

Ostatni raz tak mocno spałem, gdy miałem siedemnaście lat. To było, niech policzę dokładnie... cholerne wieki temu.

Za to pamiętam, kiedy ostatni raz próbowałem tak spać. To już świeża historia. Będzie mniej niż dwa tygodnie temu. Pięciu ludziom odebrano życie w sposób, który pragnę zapomnieć, a ja sam ledwo się uratowałem. Stoi mi to kulą w gardle i mam ściśnięty żołądek, jakby mnie ktoś skopał metalowym buciorem po brzuchu. Tylko dlatego zachowuję się normalnie, że nie był to pierwszy raz, jak traciłem swoich ludzi i przyjaciół. W ciągu piętnastu lat nauczyłem się zachowywać pokerową twarz, bo inaczej się nie da.

Jak widać wyraźnie, Wilczek takich doświadczeń nie ma.

Śpi twardo i tylko czasem coś mruczy. Szczęśliwy sen tych, którzy nie oglądali mordy tysięcy ludzi i nie przeszli musztry w obozach na Pustce.

Pustka to góry, ale bez zauważalnych szczytów. Gdybym teraz wyszedł z niecki i spojrział na zachód, nie zobaczyłbym nic, tylko kolejne odległe wzgórza. Wysokie nachylone Nic.

Zwykle ci, co pierwszy raz przechodzą góry, na „szczycie” Pustki mówią coś w rodzaju: to my naprawdę jesteśmy teraz w górach? Za chwilę ci ludzie zaczynają odczuwać spadek, a ich nieprzywykłe do wędrówek stawy kolanowe kwiczą z bólu od ciągłego schodzenia.

A potem płasko. Najpierw kamienie, żwir, krzewy, potem różnorodnie, zielono, wilgotno, strumienie, krzaczki, zwierzątka, kwiatki i tęcze, naprawdę nie żartuję! jak kocham tę krainę, co deszczyk, to tęcza. Jeśli na tym etapie przechodzi przez myśl: „ale kicz!” to lepiej nie wchodzić do Puszczy, bo tam to znacznie gorzej. Jelenie na rykowisku są na rykowisku także wtedy, kiedy nie są jeleniami i nie ma rykowiska.

Gdybym umieścił w Puszczy główny więzienny obóz, wszyscy od razu by mi się po nim rozprysli jak karaluchy. Więzienie musi być na otwartej przestrzeni. To nie jest więzienie w dosłownym sensie, budynków więziennych,

budynków o grubych ścianach i zakratowanych oknach jest niewiele. Chodzi o chęć pozostania na wskazanym miejscu bez potrzeby dalszej niekontrolowanej podróży.

Wiele aspektów się złożyło na decyzję, żeby więcej czasu spędzać nie w pięknym lesie, a na Skraju i jego zachodniej części. Nienawidziłem tego miejsca tak długo, aż je pokochałem. Można narzekać na Pustkę, ale jedno jest pewne – nie jest tak niemożliwa jak Pałac.

\*\*\*

\*\*\*

\*\*\*

## **KREPLE**

*Co ja tutaj robię.*

Sala mieści na oko trzysta osób. Pięćdziesiąt z tych osób jest tak nisko w hierarchii, że nawet ich nie zauważam. Drugie pięćdziesiąt to moi rówieśnicy i młodsi. Trzecie pięćdziesiąt to moi wujkowie, czwarte pięćdziesiąt to ciotki. Pozostałe sto to osoby, do których zwracam się Pani Ciociu i Panie Wujku, mimo że nimi nie są, mimo że zwracanie się do nich w ten



sposób jest udupiające, mimo że w tej chwili burmistrzem Kiętrznic jest Jasiek, który jest ode mnie dwa lata młodszy i zwracają się do niego Panie Jaśniepanie, a ja jestem *O! Dar! Ale ty wyrosłeś! Pani Ciociu. Panie Wujku*, ocipieć można.

Braciszek między nimi przemyka. Panie Sztofie, Panie Srofie, Pani Liwo, Pani Sriwo. Próbuję do jednej się zwrócić normalnie, wiem jak się nazywa, wiem to od zawsze, wszyscy wiedzą, po prostu chcę poprosić o miejsce, bo chcę przejść. *Przepraszam, Pani Eldin, mogę przejść?* Trzepnięcie w głowę od pierwsrodnego i że dla ciebie to Pani Ciociu i że *Won* mi stąd, *przepraszam, Pani Eldin, za mojego brata*.

Chcę się z tamtąd wydostać. A nie, a gównno, mam tu sterczeć i gadać o dupie Maryni z Panem Wujkiem i Panią Ciocią, *przywitaj się – witam Panie Wujku*, no kurwa.

*Ależ kawaler z niego! Ale wyrósł! A jeszcze nie dawno to... Tak, tak, widziałam jego prace. Coś niesamowitego!*

Uśmiecham się ładnie, tak jak należy, wszystko uprzejmie, *dzień dobry, Wujku, dziękuję, Pani Ciociu, to prawda, Panie Wujku, ha ha ha, Pani Ciociu!* Wszyscy mnie kochają.

Ktoś Pani Cioci na sukienkę nadepnął. Sukienka się przedarła, będzie i z dziesięć centymetrów. Poruszenie na sali i ta sala się uprzejmie uśmiecha i żartem rozładowuje tę

napiętą sytuację, ale już zrobił się obóz broniący Pani Cioci Sukienki i obóz za Panią Ciocią Nieuważną. Nic nie mówią, po prostu widzę, że ten rozerwany kawałek materiału jest skandalikiem roznoszącym się po sali jak kręgi na wodzie po topielcu.

– Wszystko w porządku? – za plecami pojawia się Prawowid.

– Nie daję rady.

– Jeszcze godzina i jesteś wolny.

– Wiesz, nie żeby coś, ale wolałbym robić co innego.

– Wiem, wiem. To się tylko wydaje straszne. Dzień dobry, Pani Eldin! Tak, zaraz podejść! Jesteś niepojęcie dziecinny. Przesadzasz. To jest fajne. Ci ludzie są naprawdę niezwykli. Byś chociaż spróbował z nimi porozmawiać, to byś sam zobaczył, że są w porządku. Już nie mówiąc o tym, że wszyscy cię kochają.

Prawowid jest starszy ode mnie o dwanaście lat. Bardzo rzadko go widuję, bo wraz z żoną objęli nadzór nad południową częścią Królestwa. Nie najbardziej odległą, ale dobre dwa tygodnie trzeba jechać, by go odwiedzić. Byłem u niego w zeszłym roku, no i teraz przyjechał, tydzień temu. To mój wzór i autorytet.

– Daj spokój, kilka godzin na kilka tygodni. Masz być tu jeszcze tylko godzinę. Napchaj się ostrygami i rozmawiaj o sztuce, wszyscy ją kochają i ciebie też kochają.

– Prawy, możesz mi jeszcze raz wytłumaczyć, czemu ja, do kurwy, do nich wszystkich Pani Ciociu, Panie Wujku?

– Odpuść. Wkrótce będziesz mógł normalnie. I nie przeklinaj – po czym znika w fontannie pstrych falbanek.

– Dar! Nasz ulubieniec! – słyszę od Pani Cioci. – Już się bałam, że się tutaj zgubiłeś. Co tam u ciebie, kochany?

– Dziękuję, Pani Ciociu. W porządku, Pani Ciociu.

– Widzieliśmy twoje rysunki. Jesteś bardzo utalentowany!

– Dziękuję, Pani Ciociu. Nie chcę się chwalić, ale przyjmuję komplement!

Potem rozmawiamy o moim malowaniu i cudzym malowaniu i trwa to dużo za długo.

Z tym rysowaniem i malowaniem to się naprawdę wkopałem. Każde dziecko przechodzi taki etap, kiedy bardzo chętnie sięga po wszystko, co może ubrudzić coś innego. Mi ten etap nie przeszedł, aczkolwiek zazwyczaj tym czymś brudzącym była ziemia, a czymś ubrudzonym ja, Dobry i przyjaciele. Na szczęście, jako najmłodszy, mogłem sobie na takie zabawy pozwalać, bo i tak nikt we mnie nie pokładał

jakichkolwiek nadziei. Przez lata wszystko wskazywało na to, że będę już ostatnim dzieckiem, jedenastym w rodu, co brzmiało bardzo ładnie. Zgodnie ze wszystkimi oczekiwaniami, powinienem być warty i gnębiony przez wszystkich innych i udać się za góry, by przeżywać przygody.

Zabawne, że to ostatnie się w końcu spełniło. Tyle się nasłuchiwałem o tym spierdaleniu za góry jedenastego królewskiego syna, że nie prostu nie było siły, by się to nie wydarzyło.

Ogólnie to my najmłodsi nie byliśmy chlubą rodu, nie mniej Panie Ciocie i Panowie Wujkowie nas zawsze uwielbiali. Na przykład teraz stoję obok Dobrego, który rozmawia z Panią Ciocią o przepisach na nie wiem co, na jakieś krepki czy coś, nie wiem co to krepki, ale Dobromił takie rzeczy wie i zawsze ma dobry powód do rozmowy.

– Co tam, kochaniutki? Wszystko w porządku? –  
podchodzi do mnie Pani Ciocia.

– Dziękuję, Pani Ciociu. Tak, oczywiście.

– Wciąż malujesz?

– Tak, Pani Ciociu. Moje prace może Pani Ciocia obejrzyć na antresoli. To nie są moje najlepsze prace, ale jestem z nich bardzo zadowolony.

– Na pewno zaraz zajrzę! W zeszłym roku podziwialiśmy i to było coś niesamowitego! O, Dobromi! Kreple, mówisz...?

Kreple. No dobrze, dowiem się, co to jest. Dobry na chwilę odrywa się od rozmowy, żeby przyjrzeć się jakimś wypiekom na stole. Oprócz ciasteczek ma też wiele innych zainteresowań, ale wyroby cukiernicze są najwygodniejsze. Wszyscy chcą o nich rozmawiać. Może nie ruszać się przed stołem i cały czas gadać o tym samym. Ja muszę latać między dółem a antresolą. Powinienem postawić na swoim i przenieść swoje ochlapiny na dół, bym mógł sterczeć przy nich i się nie ruszać i Panowie Wujkowie by tylko podchodzili, a ja bym miał przygotowaną śpiewkę. Tak, to jest drzewo. Tak, długo je malowałem. Tak, inspirowałem się sztuką Starego Świata. Tak, to prawda, ćwiczenie dłoni zajmuje lata. Tak, to dopiero początek, liczę, że za kilka lat będę lepszy. Nie, to nie skromność, taka prawda. Dziękuję, Pani Ciociu.

– Dobry – łapię go w momencie, kiedy patrzy na babeczki i akurat nie znalazł się żaden nowy interlokutor do krepli. – Wiesz, gdzie jest Borka?

– Się w kanciapie zaszyła. Chyba też się zwijam. Ojciec mnie złapał pół godziny temu, chyba się nie wścieknie, jak już

zniknę. Kurcze, idzie Pani Lora. Ta przejdzie na babeczki, nie mam gotowego schematu na babeczki. Zwijamy się. Szybko.

Borkę znajdujemy na zapleczu w kanciapie na słoiki z ogórkami, wraz z dwoma dziewczynami, których zupełnie nie kojarzę. Nie ma tutaj za dużo miejsca, wszystko jest zajęte przez ogórki.

– Hej, zmieścimy się jeszcze?

– A bardzo jest źle?

– Bardzo. Ja od godziny gadam o kreplach, a pół sali wie już, że u Dara wszystko w porządku i że wciąż lubi malować.

– Właźcie.

– Miła, Mona – koleżanki przedstawia moja siostra o kręconych, brązowych włosach i brązowych oczach, w zasadzie to łatwo poznać, że jesteście rodzeństwem. – Dziewczyny, to jest Dobromił, Dobry, Miły, do wyboru. Wadariwon, Dar, co wolicie. Młodszy bracia.

– Cześć. Cześć.

– Cześć. Cześć.

– Dziewczyny przyjechały od Ciska – teraz zwraca się do nas. – Jako pomoc przy dzieciakach. Dziś się Mira zajęła wszystkimi.

– Borka, a ciebie Kotor to ścigać nie będzie?

– Nie. Ściga Fionę. Mam go z głowy na kilka godzin albo dni, jak dobrze pójdzie. Mogę spokojnie się zaszyć z dziewczynami.

Dobry już wyciąga jakiś bliżej nieokreślony wypiek.

– Chcecie? – częstuje je czymśtam, co wygląda jak cośtam, a co widzę dziś kolejny raz i wiem już, że to krepl.

– O, kreples! – cieszy się Mona. – Słyszałam, że w Pałacu powstają najdoskonalsze.

– No ba! – wcina się Borka. – Dobry je robi!

Nie wiem, które miejsce jest gorsze. To z kreplami na dziesięciu metrach kwadratowych, czy to z kreplami na nie wiem, hektarze czy coś.

– Zwijam się już całkiem. Kryjcie mnie – rzucam do Borki, Dobrego i tych dwóch dziewczyn.

– Mmm – potwierdzają wszyscy mając usta wypełniona kreplami.

– Ne chcefl pepfla? – dopytuje się Dobromił mlaskając.

– Dawaj jednego.

Wściska mi do rąk jakiegoś brudzącego cukrem kruchego zawijasa. Gdy idę na trzecie piętro, okazuje się, że kreples są bardzo smaczne.

Z tym malowaniem to się wkopałem dlatego, że jak zauważono, że lubię malować i rysować, to cała energia poszła na rozwijanie tej zdolności. A niech będzie, jedenasty z rodzeństwa, Wielki Artysta. Wypełniono mi grafik akwarelkami, srelkami, olejem, srelem, węglem, sręgłem. Tylko się na to godziłem, bo w istocie bardzo to lubiłem! A w alternatywie miałem wielogodzinne obijanie dupy i jaj na koniu i pozorowane walki na drewniane miecze, które pierwosrodny uwielbiał oglądać i mi dosrywać, że ciepła klucha jestem, a Jakobór, jeśli akurat był, dorzucał, że przesadzam i że to żarty są tylko i że gbur jestem.

Nie byłem gburem. Miałem od groma kumpli, znajomych i byłem prowodyrem tej grupki. Jasne, jedna sprawa, że byłem Książę, więc już przez ten sam fakt masa osób się do mnie garnęła jak ćmy do pochodni. Poza tymi, którzy uważali za zaszczyt, że Książę na nich w ogóle spojrzeł, miałem też kilku prawdziwych przyjaciół. Jeśli tylko Panie Ciocie nie oglądały moich prac na antresoli, albo nie malowałem prac, które miały zawisnąć na antresoli, spędzałem z przyjaciółmi cały czas. No i z Dobrym, który był moim przewodnikiem po życiu.

Od Dobrego bardzo wiele się nauczyłem. Niby tylko półtora roku różnicy, ale wystarczało, by na prawo, lewo, w



przód, tył i skosem rzucał dobrymi radami. Rada balowa: jeśli nie wiesz, po co cię tam umieścili, to wyobraź sobie, że ty ich tam umieściłeś. Wszyscy są tam z twojego polecenia.

Niektórych kopnie ten zaszczyt i będą mogli z tobą porozmawiać, inni go nie doświadczą i ciesz się złośliwie, gdy ktoś nie porozmawia i czuj się jak dawca łaski, gdy się do kogoś odezwiesz. Jesteś najważniejszą osobą na balu i rządzisz tymi ludźmi!

To nie do końca była rada, bo to było stwierdzenie faktu. W końcu byliśmy Książętą, schodek niżej od Króla, można powiedzieć, że ludzie byli tam też z naszego polecenia. Kolejna rzecz, to był zaszczyt. Książąt to tak dużo po świecie nie chodzi, dokładnie to siedmiu, to jest coś, rozmowa z nami. Byliśmy najważniejszymi osobami na balu, pomijając inne najważniejsze osoby. Jeszcze nimi nie rządzimy, ale kiedyś będziemy. Dobry dowalił radę, by sobie wybrać dwa do trzech tematów rozmów i wszystko do tych tematów sprowadzać.

– Dobromi! Słyszałem, że uczysz się zaawansowanej kartografii!

– To prawda. Jeśli tylko mam czas, bo teraz skupiam się na udoskonalaniu wypieków. Proszę spróbować krepli!

Ja nie musiałem daleko szukać tematu, była nim antresola. Wystarczało, bym dowiesił kolejne mazajce i już się zbiegali jak głodne kundły i mogłem w kółko rozmawiać o tym, że na tym obrazie jest drzewo, za którym jest słońce. Jakby ktoś chciał ze mną o czymś innym porozmawiać, to na dobrą sprawę też by mógł. O sztuce, przyrodzie, geografii, muzyce, tańcu, nie wiem, polowaniach, wyścigach, w zasadzie o wszystkim, hutnictwie, przemyśle wydobywczym, mieczach, koniach, seterach i o handlu, tylko tak nie bardzo wiedziałem, co mam mówić, gdy przychodziło do dyskusji na temat numizmatyki i innego marnowania czasu. *Dar, kochaniutki, ale my cię kochamy!* Na zmianę z *Dar, piękne obrazy!* I do tego *Dar, co tam u ciebie, w porządku?*

W istocie przesadzam z tym nielubieniem ich wszystkich i tych spotkań. Było wielkie oczekiwanie, intensywne przygotowania, masa dobrego jedzenia, muzyka i tańce, dużo osób w różnym wieku, którzy gadali o masie nawet ciekawych rzeczy. Można było wiele z tych rozmów wynieść i wiele się dowiedzieć i poznać osoby, które mogły mnie czegoś nauczyć, choćby władania mieczem. Sobie sam załatwiłem lekcje, tak żeby pierwszodni nie wiedział, kiedy i gdzie się odbywają i żeby nie wiedział, że jestem w tym coraz lepszy. Spotkania

przebiegały w dość normalnej atmosferze uśmiechów, śmiechów, ochów i achów. Tylko raz na jakiś czas jakiejś Pani Cioci ktoś nadeptywał na sukienkę i wtedy był standal, jakby, kurwa, nie mieli lepszych powodów do skandali.

Mijają trzy miesiące od balu. Ojciec zarządza wycieczkę do Wodogrzmotów, naszej zimowej posiadłości, gdzie mamy się spotkać z rodzicami Izy i rodzicami Toli oraz z Izą i Tolą.

Iza jest starsza ode mnie o rok, co jest bardzo widoczne, bo mam czternaście lat, a ona piętnaście, więc ja wyglądam jak dzieciak, a ona jak kawał wyrośniętej baby, którą jest, dawno mogłaby mieć dzieci. Do Wodogrzmotów jedziemy z Dobrym, Wszeborą, jej mężem i Miłką, już bez męża, co mnie bardzo cieszy, bo Miłkę rzadko widuję, a z jej mężem to nie bardzo mam o czym rozmawiać w związku z tym, że jest o dobre piętnaście lat starszy ode mnie. Do tego jeszcze z dwudziestką innych osób, w tym, na szczęście, z moimi dwoma kumplami.

Dobrze wiemy z Dobrym, po co jedziemy i obojgu nam się to średnio podoba. Dobry, lat sześćnaście, Dar, lat czternaście i pół, kochaniutcy, załóżcie grzecznie te błyszczące szaty i proszę, bądźcie uprzejmi, wszystko tak, jak się uczyliście. Niezły cyrk. Oboje z Dobrym na co dzień

byliśmy ufajdani błotem od latania po okolicznym lesie, podrapani od spierdalania pierwosrodnemu, oblepieni cukrem pudrem i usmarowani paletą akryli. Doszorowywaliśmy się tylko z jakichś oficjalnych durnych powodów, jak na przykład poznawanie swoich przyszłych żon.

A cyrk to niezły nie tyle z powodu szat, co tego „bądźcie grzeczni”. Raz, że no kurwa... nie, nie będziemy grzeczni, naplujemy na Izę i Tolę. Od urodzenia jesteśmy uczeni *zachowywania się* i naprawdę umiemy to robić, kiedy potrzeba. Protokoły i etykieta to jest coś, co mamy w małym palcu. Jakim cudem mielibyśmy tego wszystkiego nie wiedzieć? Możemy szkołę prowadzić, należymy do śmietanki tych osób, które najlepiej w całym Królestwie orientują się w *zachowywaniu się*. Więcej, my należymy do tych osób, które będą mogły wyznaczać trendy i sami stanowić zasady. Inna sprawa, że niekoniecznie mamy ochotę się tego wszystkiego trzymać, przez co pierwosrodny nie jest naszym fanem. Dziesiąty i jedenasty syn. Tyłu jest przed nami, naprawdę nie ma potrzeby, byśmy byli chlubami rodu. Pierwosrodny na nas, że my to jesteśmy chujami rodu. Za ten tekst dostał od Dobrego pączkiem po twarzy.

Więc posrebrzane i pozłacane szaty, trochę gadania o niczym, obiad rozłożony na pięć części i dwadzieścia widelczyków, uprzejmości, miłości, potem rozmowa delikatnie zachaczająca o pakty, jachty, królestwa, męstwa, przejęcia, przyjęcia, obowiązki wszelakiego rodzaju i rzeczy, które, całe szczęście, są wciąż mi odległe. Lubię mieć w obowiązkach akwarelki, a nie że, na przykład, co zrobić z epidemią, która już w tej chwili na zachodzie zabrała dwadzieścia tysięcy ludzkich istnień.

W tym całym cyrku znajduje się czas wolny, by młodzież się zapoznała, co w praktyce oznacza naburmuszenie i podejrzliwe patrzenie na swojego przyszłego współmałżonka. Czas wolny to zwykle spławienie dzieciaków, by głupotami nie zawracały dupy starszym.

Idealne warunki do pączkującego nielubienia swojej przyszłej żony przez sam fakt, że ma się zaraz mieć coś takiego jak żona i że się jej samemu nie wybrało i że dziewczyny trzeba będzie kryć po kątach jeszcze bardziej niż do tej pory. Dla wszystkich jest jasne, że te oficjalne małżeństwa to w praktyce nie bardzo działają, bo służą do umacniania więzów między rodami przez wspólnych potomków, a jaki stosunek do siebie mają małżonkowie, to już

wszystko jedno, byle ładnie wyglądać. Aczkolwiek Iza na początku robi wrażenie fajnej dziewczyny, ładnej, uśmiechniętej i tak dalej.

Mimo sytuacji, nie ma powodu, by nie spędzić tego całego czasu miło. Ładna okolica, sporo osób i to na szczęście bardzo, bardzo wiele w naszym wieku, a „nasz wiek” to nie tyle wiek, co fakt, że się nie zostało sparowanym, choć faktycznie jesteśmy homogeniczni rocznikowo. Punkt naszego młodzieżowego programu to noc, gdy oficjalnie wszyscy pójdą spać, a my będziemy mogli w jednej z sypialni dziewczyn urządzić najzwyklejszą w świecie imprezę. W sypialni takiej Toli udaje się upchnąć dobre szesnaście osób, a przez sypialnię mam na myśli dosłownie część sypialną, bez całej pozostałej przestrzeni jej dedykowanej. Sypialnia Toli jest logicznym wyborem, jako najdalsza i tym samym gwarantująca niesłysznie nas.

Picie, jedzenie, normalna garderoba, a nie że wkurwiająca, oczywiście złote! szaty. Mniej więcej po godzinie Dobry stwierdza, że zrobiło się sztywno i że gramy w butelkę odmiana wyznanie czy wyzwanie na zdejmowanie ubrań przy odmowie i picie za każdym razem. Niezła kombinacja.

I tak dowiadujemy się, że niewidzialna Tola ściągałaby gacie ludziom na balach, że zdecydowanie nie umie śpiewać i że może włożyć język do pępka osobie po lewej stronie, co jest dość nieciekawe, bo osobą tą jest Iza. Iza z kolei bardzo szybko zostaje w samej bluzce i halce i jest pijana tak, że odpływa. Karna miała jeden naprawdę fatalny dzień życia i naprawdę jest nam wszystkim jej żal i że raz nie myła zębów przez trzy tygodnie. Z Palla wyciągają, że jest w stanie zamienić się ubraniami z Rolką, że umie pocałować własną stopę, że nigdy by nie wyruchał owcy, a z Dobrego, że raz starszemu bratu ufarbował najlepszego konia na niebiesko oraz że ma mocną głowę i przewidział zabawę i ubrał wiele warstw. Ze mnie, że nie, nie namaluję w tej chwili aktu Izy, ale tak, maluję akty, na co wszyscy reaguja chichotami, a dla mnie to codzienność, i nie, nie zjem tamtej myszy, co jest pod dywanem, i tak, umiem przez minutę udawać psa.

To nie koniec, jest nas szesnastka, zabawa dopiero się rozkręca. Pall kręci, butelka znów wskazuje na mnie.

- Wyzwanie czy wyznanie?
- Wyzwanie – zawsze jest wyzwanie.
- Zobacz, co jest po drugiej stronie gór.

Tak. Decyzja o udaniu się za góry zapadła podczas gry w butelkę odmiana wyznanie czy wyzwanie na zdejmowanie ubrań przy odmowie i picie za każdym razem.

Dość szybko nakrywa nas Borka i równo zjeżdża, że my to chyba sobie żartujemy. Dwa dni później wyjeżdżamy. Już bardzo dobrze wiem, że nie znoszę Izy ze wzajemnością. Niesamowite, że wystarczały trzy dni, by dojść do wniosku, że po prostu **nie**. I nie, że Iza nie. Aranżowane małżeństwo **nie**. Mam głęboko w dupie, że wszystkie są aranżowane, a konsekwencje wyłamania się ogromne. Po prostu **nie**.

Wyzwanie rzucone przez Palla, wkurwiająca Izożona i kolejny bal, na którym wywołałem książęcy szczyłowaty skandalik, bo zacząłem wszystkim mówić po imieniu, mimo że nie powinienem, i pierwsrodny, że *Won mi stąd*. Cztery doskonałe powody, by najmłodszy królewski syn spierdolił za góry i zamienił marmur na żwir.

----

To jest mniej niż połówka tekstu. Kto zainteresowany resztą (cd Dara, część 3 – wilia, 4 – karol i 5 - Dar) niech pisze :)